

*Jak mężczyzna mógł napisać tak pięknie i tak prawdziwie
o rozpaczy i bólu kobiety? A że to mężczyzna, a nawet który,
poznać od razu. Po wyjątkowym poczuciu humoru...*

Anna Dymna

JANUSZ MAJEWSKI

Zima
w Siedlisku

CIĄG DALSZY OPowieści
O PENSJONACIE NA MAZURACH



JANUSZ MAJEWSKI

*Zima
w Siedlisku*

WYDAWNICTWO MARGINESY

Pamięci czasu w Laśmiadach

W tej powieści wszystko jest fikcją, ale niektóre fakty, zjawiska, postacie mogą przypadkowo przypominać rzeczywistość.

Krzysztof odszedł nad ranem, nie odzyskawszy świadomości. Nie otworzył nawet oczu. Marianna drzemała koło niego na krześle, kiedy obudziła ją cisza, piknięcia w monitorze ucichły, sinusoidalne wykresy zamarły. Wybiegła w pończochach na korytarz i szeptem obudziła pielęgniarkę.

Wracał z Warszawy i zjeżdżał w Grajewie na Ełk, miał zielone światło, gdy uderzył w niego rozpędzony TIR na litewskich tablicach. Pchał jego volvo przed sobą jeszcze kilkanaście metrów, aż wbił je w narożny sklep. Na wystawie wypchany niedźwiedź trzymał w łapach tabliczkę z napisem „Niedźwiedź”. Krzysztof nie czuł żadnego bólu, zobaczył jeszcze, jak z kabiny TIR-a wyskakuje młody kierowca albinos i rzuca się do ucieczki. Śledził gasnącym wzrokiem oddalającą się wicherę prawie białych włosów otaczających głowę jak aureola i falujących w rytm kroków, jak na zwolnionym filmie. Pogoń przechodniów dopadła albinosa po kilkudziesięciu krokach, starszy mężczyzna zaczął bić go po głowie filcowym kapeluszem. Rozśmieszyło to Krzysztofa, pomyślał: „Przecież to nie boli, po co bić?”. Wtedy zemdłał. Oprzytomniał na parę sekund, kiedy karetka wjeżdżała na podjazd szpitala wojskowego. Za szybą mignęła tablica: *Helicopter landing area*.

– Wiem, gdzie jestem. U nas! – powiedział na głos do siebie i zapadł w sen, z którego się już nie obudził.

Lekarz dyżurny w randze porucznika podał Mariannie jakiś środek uspokajający i nakłonił ją, aby na chwilę położyła się w separacie. Leżała na boku, z otwartymi oczyma, starała się nie myśleć o niczym.

Potem zaczęły się zwyczajne problemy: Marianna już zgodziła się odstąpić od pomysłu pochowania męża na cmentarzu w Starych Juchach i zamówiła transport zwłok do Warszawy, gdy przyjechała siostra Krzysztofa z Krakowa i powiedziała, że wolą rodziców było, aby wszystkich chować w grobowcu na Rakowicach, razem z nimi. Jeszcze przed śmiercią ojciec wykupił dużą kwaterę z pozwoleniem na zbudowanie obszernej krypty na osiem trumien. „A gdyby państwo kazali się skremować, będzie tu można umieścić trzydzieści dwie urny” – powiedział urzędnik w zarządzie cmentarza.

Marianna apatycznie zgodziła się na Kraków, chociaż dzieci do końca optowały za Powązkami.

– Będiesz wciąż jeździła do Krakowa? – krzyczał zduszonym głosem Jacek.

– Nie, nie wciąż. Dam się skremować i położycie mnie koło niego – odpowiadała,

patrząc pytającym wzrokiem w oczy szwagierki. Tamta potakiwała głową uspokajająco.

Pułkownik W., komendant szpitala wojskowego, grywający u nich w brydża, zgodził się na przetrzymanie ciała Krzysztofa w chłodni przez jeszcze jedną noc, a przedsiębiorca pogrzebowy na przełożenie przewozu na następny dzień. Pojechały razem z trumną czarnym, błyszczącym karawanem ze złotym napisem na drzwiach: *We proudly offer you our Cadillacs.*

– Co za luksus! – zachwyciła się szwagierka.

– Tu dużo ludzi wraca z Ameryki, z emigracji. Przywożą coś, na czym można robić biznes – wyjaśniła rzeczowo Marianna. Potem już milczały całą drogę, zapadając się w poduszki wygodnej pluszowej kanapy i trzymając się kurczowo za ręce w czarnych skórzanych rękawiczkach. Z głośników sączyła się cicha, żałobna muzyka, ale poprosiły kierowcę, żeby ją wyłączył.

Na pogrzeb Krzysztofa do Krakowa przyjechało więcej ludzi, niż Marianna się spodziewała. Poza oficjalną delegacją z Uniwersytetu Warszawskiego, jego kolegami i studentami dostrzegła też wielu sąsiadów z Mazur i gości często bywających w ich pensjonacie. W pewnej odległości przesunęła się elegancka młoda dama, w której Marianna rozpoznała doktorantkę Basię, kiedyś powód swoich zgrzyot. Udawała, że jej nie widzi, ale tamta przyłapała jej spojrzenie i przez sekundę patrzyły sobie w oczy. Oczy Basi prosiły o przebaczenie, oczy Marianny były puste. Na cmentarz przybyła też spora grupa krakowskich przyjaciół szwagierki, jak również gimnazjalnych kolegów Krzysztofa – większość z nich wyglądała dużo starszej niż on, i Marianna doznała muśnięcia irracjonalnej dumy, że jej mąż wciąż tak się trzyma, co tylko poskutkowało kolejnym, bezradnie tłumionym szlochem. Szwagierka wskazała jej wzrokiem mocno starego pana w czarnym palcie z aksamitnym kołnierzem i szepnęła:

– On był jeszcze asystentem naszego ojca. Zawsze przychodzi tu w rocznicę jego śmierci, był też na pogrzebie mamy.

Kiedy po nabożeństwie wychodzili z kaplicy, dawny asystent stał przy wejściu. Marianna poczuła silny zapach naftaliny, ale nie była pewna, czy to od niego. Szła za trumną podtrzymywana z jednej strony przez Jacka, z drugiej przez Jasia, który przyleciał z Londynu prosto do Krakowa. Marianna z rozpaczą i bólem wpatrywała się w jadącą przed nią trumnę, ale co chwila odwracała wzrok na wnuka i wtedy odczuwała wielką dumę i pocieszenie. Karciała się nawet w duchu, że nie powinna tu i w takiej chwili doznawać uczucia radości, ale nie mogła się napatrzeć na niego,

nadziwić, że tak urósł i wydoroślał. W lecie skończył szesnaście lat, ale wyglądał na więcej, może ze względu na wysoki wzrost i poważny teraz wyraz dziecinnej jednak twarzy, na której cień zarostu toczył zaciekłą walkę z trądzikiem młodzieńczym. Za Marianną, Jackiem i Jasiem szedł Robert. Trzymał mocno pod ramię osłabioną Kasię, prowadzącą za rączkę już prawie dziesięcioletnią Anię. Trochę za nimi, jakby onieśmielona podążała samotnie Iza. Te dziewięć lat, które minęły od jej rozvodu z Jackiem, bardzo ją zmieniły: zaszczuplała i jakby nawet odmłodziła. Była świetnie ubrana, dobrze uczesana i jakieś drobne, prawie nieuchwytne szczegóły od razu wyróżniały ją z otoczenia, kwalifikowały jako cudzoziemkę. Chociaż wprawne oko dostrzegłoby, że jej odzież nie pochodzi z markowych butików, ewentualnie w najlepszym razie od Marksa i Spencera, emanująca z niej energia świadczyła, że jest kobietą sukcesu, może tylko gardzi współczesnym systemem sygnalizacji, pokazującym pozycję społeczną za pomocą torebek Fendi i butów od Versacego. Te, które stukały teraz po asfalcie cmentarnej alejki, były niezaprzeczalnie w dobrym gatunku, ale ich marka nie stałaby się przyczyną wnikliwych dociekań żyjących takimi tajemnicami bytu dam, gdyby takowe znalazły się przypadkiem na tym pogrzebie. Na szczęście się nie znalazły, ku mniej lub bardziej szczerzej uldze Jacka, który wciąż lubił się przedstawiać jako ich ofiara.

Gdy dotarli do grobowca ziejącego dziurą odwalonej płyty, kościelny trzymający w dłoniach dwa do złudzenia podobne do siebie przedmioty: mikrofon i przenośne kropidło, bez wahania wybrał pierwszy z nich i podał księdzu. Ten podrapał w siateczkę urządzenia, odchrząknął i przez nadmiernie wielki głośnik popłynęła na cały cmentarz zagmatwana mowa, w której chwalił zmarłego, a także wymieniał jego zasługi, opisując je tak ogólnikowo, że pasowałyby do każdego. Z uznaniem powitał decyzję pochowania go tutaj, co określił jako „powrót do prastarych korzeni rodziny krakowskiej”, a co świadczyło o tym, że nic o tej rodzinie nie wie. Grobowiec był trochę uproszczoną repliką dziewiętnastowiecznej kaplicy rodu Kalinowskich na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, którą niedługo przed swoją śmiercią kazał był wybudować stary profesor, i to w pewnym sensie tłumaczyło trochę księdza: tu też roilo się od takich kaplic w stylu galicyjskiej pseudoklasyki, które krakowianie uważają za swój wkład do kultury ogólnoludzkiej, choć są one kopiami wiedeńskich lub paryskich grobowców.

Po pogrzebie goście zostali zaproszeni na poczęstunek do starej restauracji Hawełka w Rynku. Wysoka, trochę posępna sala o ścianach wyłożonych ciemną boazerią i obwieszonych obrazami w złotych ramach, która w innym mieście

uchodziłaby za muzeum, była dobrym miejscem na smutną stypę. Ksiądz, teraz już po cywilnemu, zatarł ochoczo ręce.

– Mają tu dobrą maczankę – powiedział.

Marianna aż drgnęła, słysząc to słowo.

– Co za wulgarna nazwa!

– Nazwa prostacka, ale smak wykwintny – odparł ksiądz z dwuznacznym uśmiechem, jakby czytał w jej myślach. Przeprosiła go i podeszła do Kasi, która czekała na nią z boku. Objęły się bez słowa i uściskały.

– Jestem w ciąży... – szepnęła jej Kasia do ucha.

Marianna się rozjaśniła.

– Wspaniale! Od kiedy?

– Już trzeci miesiąc.

– I nic nie mówiliście?

– Tym razem chcieliśmy to ukrywać, ile się da. Zwłaszcza jak doktor wyliczył termin. Powinno się urodzić w twoje urodziny, dwudziestego czwartego kwietnia. Bardzo byśmy chcieli, żeby był taki jak ty, chociaż to będzie chłopiec...

Marianna się rozpłakała. Do tej chwili trzymała się dzielnie, szybko ocierała wilgotniejące oczy i w szpitalu, kiedy lekarz stwierdził zgon, i nad grobem, kiedy podchodzili z kondolencjami, a teraz ta radosna nowina zburzyła wszystkie tamy. Kasia objęła mocno matkę i chociaż przywołała wszelkie swoje szorstkości, całe swoje opanowanie i dystans wobec świata, też nie mogła powstrzymać łez. Uciekły do łazienki, jak dwie koleżanki na przerwie w szkole, żeby się wyplakać, naszeptać i poprawić rozmazany tusz.

Nie chciała wracać z Robertem i Kasią ich samochodem. Jacek postanowił wyskoczyć do Zakopanego odwiedzić kumpla, skoro był już tak blisko, a jego mina łgarza zdradzała płęć tego przyjaciela. Iza zdecydowała się zostać, aby pokazać Jasiowi Kraków. Marianna wybrała powrót pociągiem. Jasio odprowadził ją aż do wagonu, pożegnała się z nim czule, a on obiecał przyjechać na ferie świąteczne.

Całą drogę przedrzemała, zakryta połą płaszczka. Czasem uchylała ją troszkę i patrzyła na przesuwające się za szybą szare, mokre listopadowe pola. Obrazy traciły ostrość, rozmazywały się, przelatowały przez nie strzępki niedawnych wydarzeń, ale bez żadnego porządku i sensu, jakieś nieistotne fragmenty, nagle ostre szczegóły: tabliczka na trumnie, ksiądz na stypie zasłaniający sobie usta serwetką, czarne okulary Jacka, w których odbija się bezlistne drzewo na cmentarzu. To drzewo nie

wiedzieć czemu wzruszało ją bardzo i kiedy czuła strużkę łez ściekających jej po policzku, ocierała ją wierzchem dłoni i chowała głowę pod płaszcz, ale zaraz znów robiła sobie szparkę i wpatrywała się w coraz bardziej ciemniejące pasmo pejzażu wytrwale uciekającego za oknem. Cały czas wracała myślami do słów Kasi: „Bardzo byśmy chcieli, żeby był taki, jak ty...” i nie mogła się nimi nacieszyć. Kasia, córeczka tatusia, zawsze oschła, najeżona, krytykancka, i nagle taka zmiana?! Jeżeli ma się urodzić pod koniec kwietnia, jeśli nawet nie 24, to w każdym razie będzie Byk, jak ja... Ale – policzyła sobie na palcach – jeśli będzie w kwietniu, to znaczy, że był poczęty pod koniec lipca, pod znakiem Lwa... Jak Krzysztof.

W Ełku na dworcu czekał Józek z samochodem. Pocałował ją w rękę, czego nigdy nie czynił, wymamrotał jakieś niezręczne kondolencje, po czym przez całą drogę do Panistrugi opowiadał, co się wydarzyło przez ostatnie dni, a nie wydarzyło się nic. Na podwórzu entuzjastycznie powitały ją psy, Najki i Czarny, mały Heniek, szorstkowłosey jamniczki, pupilek Krzysztofa, płakał, wyrzucając z siebie pretensje za jej długą nieobecność, i szarpał karcąco nogawkę jej dżinsów.

Heniek był następcą Baxtera, bardzo podobnego jamnika, też szorstkowłosego, którego Krzysztof kupił Mariannie na urodziny zaraz na początku ich mazurskiego życia. Miało być ono tylko wakacyjnym epizodem, a czym się stało, teraz właśnie się okazuje. Baxter był psem mądrym, o zdecydowanym charakterze i wyrobionych poglądach na życie, na przykład nie lubił dzieci, zwłaszcza małych. Niewykluczone, że maluchy przypominały mu o jego kompleksie małego wzrostu, chociaż mogły mu też, odwrotnie, dodawać tym otuchy. Jak było naprawdę, już się nigdy nie dowiemy, zwłaszcza że biedak zmarł, w każdym razie liczba ugryzionych (nie pogryzionych, bo zawsze było to tylko jedno capnięcie) i postraszonych dzieci zatrważająco rosła. Kalinowscy grali wobec gości komedię, że się tym przejmują, było jodynowanie, uśmierzanie bólu czekoladą, przeprosiny, pokazowe karcenie Baxtera surowymi słowami, godnymi nieprzejeđnanych prokuratorów świętej inkwizycji, zawstydzenie go publiczne i karanie karcerem (w rzeczywistości zamykanie w sypialni, gdzie rozwał się w ich pościeli i podżerał herbatniki zapomniane na nocnej szafce). W skrytości ducha cieszyli się, że może przynajmniej niektórzy, z najbardziej dokuczliwymi bachorami, z powodu psa zrezygnują z następnego przyjazdu. Klasyczny układ kija i marchewki: kijem był Baxter, a marchewką – marchewka à la książkę Radziwiłł, gotowana w mleku z pieprzem i odrobiną miodu. Łakomczuchom trudno było z niej zrezygnować.

Niepohamowane wścibstwo Baxtera, który musiał zawsze być blisko Marianny,

więc łąził za nią krok w krok, przysłuchiwał się jej rozmowom telefonicznym, skrobał do drzwi, kiedy zamykała się w łazience, szwendał się po schodach w górę i w dół, uganiał się za zającami po polach, wczołgiwał do podziemnych, lisich labiryntów, doprowadziło jego kręgosłup do ruiny: został dotknięty paraliżem tylnych łap. Wożenie go po weterynarzach i klinikach nic nie dało, władzy w nogach nie odzyskał. Włókł za sobą tylne bezwładne łapki po kamieniach podwórka, ścierając je sobie do krwi, bo za nic nie chciał abdykować ze swego tronu władcy tego małego świata. Co prawda wyglądał raczej na Łazarza niż króla Dawida, pogromcę Goliata – Najkiego, którego potrafił nieraz zdrowo pogonić. Marianna najpierw wyprowadzała go, unosząc mu tyłek na szaliku, potem Krzysztof obstalował dla niego dwukołowy wózek, który przytwierdzony paskami do jego tułowia zaczął mu dobrze służyć. Baxter stał się atrakcją podwórka, które dumnie przemierzał, turkoczając kółkami, niczym wóz bojowy. Kiedyś na widok nadjeżdżającego dziwnego wózko-psa jakiś zabłąkany kundel, klasyczny wiejski raubritter, rzucił się do panicznej ucieczki ze skowytom prostaczka, który spotkał kosmitę. Na noc biednego inwalidę wstawiano do dziecinnego kojca, gdzie po bezskutecznych próbach sforsowania ciasnych sztachet spał, chcąc nie chcąc, na pampersach do rana. Na tydzień przed Wigilią Marianna, która zawsze wstawała wcześniej od Krzysztofa, zobaczyła, że Baxter, zamiast w kojcu, śpi na środku hallu, obok ogromnej kałuży sików. „Nie wsadził go na noc w pampersy!” – złorzeczyła w myślach Krzysztofowi, a dopiero za trzecim przejściem przez hall zobaczyła, że Baxter nie żyje. Jakąś nadprzyrodzoną, nadjamniczą siłą wydostał się z kojca, może wyleciał na skrzydłach, których na chwilę mu użyczył anioł śmierci, aby umrzeć wolnym, dumnym psem.

Krzysztof i Józek pochowali go na zwierzęcym cmentarzyku za starą obórką, gdzie leżała już sędziwa jamniczka Józka, która się utopiła w basenie, co wyglądało na samobójstwo, piękna Lolka, *fesche* Lola, z brwiami Marleny Dietrich, zabita mercedesem przez stęsknionego autochtona, otruty podstępnie, w tajemniczych okolicznościach Graf i dwa zaduszone przez niego łąbędzie oraz kilka bezimiennych kotów, szurów i ptaków padłych w walce o byt. Józek z mozołem rozbijał zmarzniętą już ziemię, Krzysztof przyglądał mu się w milczeniu. Włożyli do płytkiego grobu ciało Baxtera spowite w całun z folii kuchennej, Józek zasypał dół i uklepał mały kopczyk. Postali nad nim chwilę w milczeniu, potem podali sobie ręce i rozeszli się bez jednego słowa. Ilekroć Krzysztof opowiadał o tym Mariannie, odwracał głowę, żeby nie widziała, że mu wilgotnieją oczy.

– O której był pogrzeb? – zapytał nagle Józek.

– O pierwszej.

– On od wczoraj, gdzieś właśnie od pierwszej, nic nie jadł. Tylko wodę pije.

Mariannie łzy zakręciły się w oczach, ale nic nie powiedziała. Dopiero gdy znalazła się w łóżku, zgasiła światło i wsłuchiwała się w znajome nocne odgłosy swego domu, gdy zamarła w bezruchu w oczekiwaniu na głuchy łoskot pompy w piwnicy, który kiedyś brała za jęk jakiejś potępionej duszy i ten jęk, już oswojony w końcu nastąpił, gdy zaczęła machinalnie liczyć skrzypnięcia blaszanej chorągiewki na dachu, którą każdej nocy Krzysztof obiecywał naoliwić, a zawsze o tym rano zapominał, wtedy nagle spostrzegła, że pancerne skrytki w przechowalni na starym dworcu zapomnianej linii kolejowej, w których pochowała wszystkie swoje wspomnienia, zaczynają się teraz z tym rytmicznym skrzypieniem otwierać, że wysypują się z nich obrazy wspaniałych lat, pięknych dni i chwil przeżytych z Krzysztofem, i gdy zrozumiała, jak bardzo był jej bliski, jak mocno go kochała, dopiero wtedy nakryła głowę kołdrą i rozryczała się jak dziecko.

Rano wstała o zwykłej porze, szybko umyła się i ubrała, po czym zeszła do kuchni. Pani Helenka podała jej kawę i żeby pohamować chęć rozmowy, poszła gdzieś, udając zaafierowanie, jakby był szczyt sezonu, pensjonat otwarty, a jadalnia pełna gości. Marianna piła kawę zapatrzona w jakiś daleki punkt za oknem, potem poszła na strych i wyszukała kartonowe pudło z IKEI z napisem „1999–2004”. Było ciężkie, ale Marianna przemogła chęć, aby tam je otworzyć, i zniosła je z wysiłkiem do biura, odpoczywając co kilka schodów. Tu otworzyła pudło i wyciągnęła kilkanaście kartonowych teczek i dużych kopert. Na każdej był pedantyczny napis czarnym flamastrem: „Dokumenty”, „Fotografie” lub „Listy” z zaznaczeniem daty. Zaczęła od koperty ze zdjęciami z 1999 roku.

Na kopercie był napis: „Lato 99 – nasi goście”. Marianna wysypała fotografie na biurko i zaczęła je przeglądać. Powtarzała się reguła: goście uśmiechnięci, opaleni, trzymający w rękach stoiki przetworów, którymi obdarowała ich na pożegnanie, otaczają gospodynię uśmiechającą się z lekkim zażenowaniem, ale i z satysfakcją. Na odwrocie często znajdowała pochwalne dopiski i podziękowania za udany pobyt, „fantastyczne wakacje”, „niezapomniany klimat”, „cudowną kuchnię” itd. Zauważyła, że na takich z reguły przysyłanych potem z odległych miast i krajów fotografiach, bardzo rzadko uchwycony był Krzysztof. Uchwycony – to dobre określenie, bo zawsze wyglądało na to, że trafił na zdjęcie, gdyż właśnie przechodził obok albo dał się uprosić w ostatniej chwili i migawka przyłapała go w ruchu, powodującym lekką nieostrość, zamazanie rysów twarzy. Powtarzało się to z niemal chroniczną uporczywością, niezależnie od tego, kto był na zdjęciu i kto je wykonał. Teraz, kiedy Marianna rozłożyła kilkanaście fotografii obok siebie, uderzyło ją to i zastanowiło. Jak gdyby Krzysztof ukrywał się przed czymś lub przed kimś i bał się, że takie zdjęcia go zdemaskują. Marianna oczywiście знаła jego niechęć do zawierania nowych znajomości, do nawiązywania bliższych kontaktów z osobami, które nie budziły w nim zaufania, nie mówiąc już o tych, których uważał za kretynów, czyli, co tu kryć, większości ludzkości.

Kiedy wyjeżdżali nad morze z małymi jeszcze dziećmi, Krzysztof prowadził rodzinę w najdalszy kąt plaży, kopał tam grajdoł i otaczał płóciennym parawanikiem w nadziei, że nikt tam nie przyjdzie i nie rozłoży się tuż obok. Niestety po kilkunastu, no, może kilkudziesięciu minutach spokoju, podszytego jednakże nerwowymi obawami, kiedy Krzysztof co jakiś czas wystawiał głowę zza parawaniku i czujnie lustrował okolicę, co rozśmieszało Mariannę, bo upodabniało go do pieska pustynnego czy innego gryzonia oglądanego w telewizji, na horyzoncie ukazywała się liczna rodzina – dzieci, dziadkowie, upiorne ciotki pod kierownictwem zaradnego ojca lub apodyktycznej matki – i rozkładała się tuż obok nich. Przeważnie byli to Ślązacy, zawsze mieli radio Szarotka skrzeczące na cały regulator. Krzysztof przeżywał tortury: z jednej strony, oburzało go chamstwo takich intruzów, z którego oni nie zdawali sobie wcale sprawy i nawet sygnalizowali chęć nawiązania znajomości, z drugiej za nic w świecie nie okazałby swojej dezaprobaty, nie mówiąc o wygłoszeniu słów protestu. Pół biedy, jeśli wśród intruzów trafiła się jakaś młoda zgrabna dziewczyna albo dorodna dojrzała kobieta o rubensowskich kształtach,

wtedy Krzysztof dawał niekontrolowany koncert obłudy: niby fukał niezadowolony z sąsiedztwa, ale zza gazety, albo kryjąc oczy za ciemnymi okularami i niby patrząc na morze, zezował w kierunku przybyłego obiektu i z przyjemnością kontemlował ulubione kształty. Marianna zawsze wyczuwała to natychmiast jakimiś czujnikami umieszczonymi w ciele kobiety wszędzie: na plecach, na tyle głowy, na piętach. Nie patrząc, widziała, jak Krzysztof nie może się napatrzeć na kobiece wdzięki. Szczególnie gustował w urodach prostych, żeby nie powiedzieć prostackich. Ładna proletariuszka albo wieśniaczka, której figura była niby zgrabna i prawie szczupła, lecz wszystkie kobiece atrybuty, biust, pupa, uda, jakby o numer większe, wyrazistsze – to był jego ideał. Potrzebował szczypty wulgarności albo jakiegoś przerysowania. Kobiety, na które zwracała mu uwagę Marianna, zwykle posągowe piękności czy szlachetne profile, w ogóle go nie interesowały. W domach pięknych dam zawsze łypał pożądliwie na ładne pokojówki, jeśli takie u nich służyły. Marianna, w swojej wielkiej mądrości, nie miała mu tego za złe. Z jednej strony wiedziała, że on się za bardzo jej boi, żeby zaryzykować przygodę na boku, z drugiej była zadowolona, że tak docenia uroki kobiecości, że jest takim koneserem damskich wdzięków.

Kiedyś spotkali na deptaku kolegę Krzysztofa ze studiów z jakąś długonogą gidią i zaprosili ich do swojego grajdoła. Marianna zlustrowała krytycznie dziewczynę i uspokoiła się na widok jej przeraźliwie bladego, chudego ciała z wyraźnymi „solniczkami” i spiczastymi łokciami. Ledwo nakremowali się i ułożyli pokotem na ręcznikach, nadeszła jakaś hałaśliwa rodzina, jak na złość ze Śląska. Nie zdążyli nawet rozłożyć koca w szaro-burą szachownicę, a już kolega Krzysztofa zaproponował podniesionym głosem, żeby raczej mu się położyli na ręczniku albo po prostu na jego głowie, żeby mu, kurwa, wpierdolili jego kanapki, a dzieciak żeby się porzygał na jego gazety! Ślązacy oddalili się bez słowa z przerażeniem w oczach i rozłożyli się w bezpiecznej odległości. Krzysztof uśmiechnął się z aprobatą i pokazał koledze uniesiony kciuk, chuda panna nie uniosła nawet głowy, tylko opiaszczoną stopą potarła czule łydkę swojego pana, on klepnął ją w tyłek i mamrocząc pod nosem jakieś obelgi, wyciągnął się na ręczniku. Marianna, chociaż macho zaimponował jej zdecydowaniem, trochę żałowała, że odpędził tak brutalnie dość sympatycznie wyglądających ludzi. Ona w takich wypadkach często sama zagadywała do intruzów, wdawała się w rozmowy, w pokazywanie sobie wzajemnie zdjęć, częstowanie owocami, a to dla Krzysztofa było torturą i powrót z plaży przemieniał się w przykrą kłótnię.

Właściwie wszystkie ich znajomości, które potem zamieniały się nawet w wielkie przyjaźnie, zaczynały się od naburmuszonej nieufności Krzysztofa. Brało się to stąd, że on w gruncie rzeczy był bardzo nieśmiały, wręcz wstydlivy, nie potrafił rozmawiać „o wszystkim i o niczym”, musiał kogoś znać, wiedzieć, czym się interesuje, mieć z nim wspólny język, wtedy otwierał się, okazywał się rozmownym, ciekawym, sympatycznym, a nawet dowcipnym gospodarzem lub gościem, w zależności od tego, gdzie spotkanie miało miejsce.

A w latach siedemdziesiątych zaczęło w Warszawie kwitnąć życie towarzyskie. Względny dostęp do niespotykanych wcześniej dóbr, zagranicznych alkoholi, cytrusów, słodyczy, lepsze zaopatrzenie sklepów, pozory otwarcia się na świat dzięki wakacjom w Bułgarii czy Jugosławii, wszystko to zachęcało do organizowania spotkań w domach, coraz bardziej wartych pochwalenia się nowymi meblami, do wykazania się talentem kulinarnym, pokazania slajdów z podróży, poczęstowania przywiezionym z Węgier winem egri bikaver, które było wtedy dla nich szczytem luksusu. Ich mieszkanie nie było duże jak na standardy przedwojenne, ale Gomułka i jego eksperci, ustalający normy mieszkaniowe w latach sześćdziesiątych, słynne M2, M3, nazwaliby ich pokoje salami (nie mylić z włoską wędliną!). Obszerne, a przede wszystkim wysokie, o wielkich oknach i dwuskrzydłowych drzwiach, sprawiały wrażenie większych niż w rzeczywistości i luksusowych. Estetyczne kwalifikacje Marianny i zamiłowanie do pedanterii Krzysztofa zaowocowały pięknymi wnętrzami, chociaż nie mieli cennych mebli ani obrazów. Marianna dostała od jakiejś ciotki piękną sypialnię w stylu art déco, której jej dzieci pozbyły się ze wstrętem na rzecz modnych meblościanek. Krzysztof przywiózł z Krakowa parę obrazów po rodzicach, a ogólny klimat tworzyli oni sami swoją gościnnością, jego poczuciem humoru, zapachami jej kuchni już od progu witającymi zaproszonych. Że potrafi dobrze gotować, w ogóle kiedyś nie wiedziała, pomagała nieraz mamie czy babci w kuchni, ale wtedy mało ją to ciekawiło, nie starała się zapamiętywać ich przepisów. Jakoś przecież wchodziło jej w krew i teraz nagle zakwitło. Na gastronomiczny debiut zaprosiła swego profesora z akademii, świetnego, chociaż trochę niedocenianego malarza Antoniego M., konesera i smakosza, który wiele jeździł po świecie, ale przed wojną, kiedy to jeszcze było normalne. Profesor surowo zrecenzował każde danie, każdą potrawę, ale jego krytyka nie była jałowa, lecz twórcza, połączona z praktycznym szkoleniem. Tego wieczoru Marianna nauczyła się gotować ryż na sypko, a białe wino podawać schłodzone, profesor natomiast pochwalił smak Marianny, ponieważ jej potrawka cieleca w sosie

cytrynowo-koperkowym okazała się wyborna.

W tym okresie zbliżyli się do trzech kolegów ze studiów, którzy w odróżnieniu od Krzysztofa podjęli praktykę w swoich specjalnościach: Euzebiusz w gastrologii, January w endokrynologii, a Waław w chirurgii naczyniowej, poznali ich żony, dzieci w wieku ich własnych, a że wszyscy mieszkali na Żoliborzu, zaczęli u siebie bywać. Wkrótce utworzyło się kółko bliskich przyjaciół, do którego przyłączył się jeszcze jeden ich rówieśnik i kolega ze studenckich czasów, Ludwik, reżyser operowy, posiadacz pięknej willi i gospodarnej żony oraz pary rasowych posokowców, gdyż jego prawdziwą pasją było myślistwo. Dzięki temu wciąż byli zapraszani na udźce, combry i pasztety świetnie przyrządzane przez panią Ludwikową. Dzielnym nemrodem miał jeszcze jedną obok polowań pasję: zbieranie antyków. Ich dom wyglądał jak wielki antykwarjat, a trzeba przyznać, że gospodarz miał wyjątkowy smak i wiedzę, więc nie uświadczyło się tu żadnego kiczu ani falsyfikatu. Zbierał obrazy i miał kilka świetnych: parę barokowych portretów kawalerów maltańskich wyszabrowanych kiedyś z zamku joannitów w Sonnenburgu (o czym świadczył dokument nalepiony na odwrocie płótna), a mimo to bezczelnie wstawionych do Desy i przez nią mu sprzedanych; świetny portret oficera w czerwonym fezie i galowym mundurze obwieszonym medalami, z ordynansem trzymającym za uzdę pięknego konia rasy arabskiej, podpisany nazwiskiem malarza Grandchamp (Ludwik wykrył, że wybitnego, posiadającego nawet osobne muzeum w Lozannie czy Genewie) i datą – Caire 1861. Dziwne było to, że w tle namalowana była panorama nie Kairu, lecz Konstantynopola z charakterystyczną kopułą i minaretami meczetu Hagia Sofia... Stop! – wspomnienia Marianny, rozwijające się jak nić ze szpulki, zatrzymały się. „Nie mogę tak rozpędzać pamięci, bo oszaleję! – skarciła siebie w duchu. – Trzeba przejrzeć i uporządkować papiery, jeśli znajdzie się jakaś niedoprowadzona do końca sprawa, jakaś korespondencja bez odpowiedzi, będę musiała to wszystko pozatławiać”.

Ta perspektywa poważnie ją przeraziła. Biuro prowadził zawsze Krzysztof, to on pilnował faktur, on obsługiwał komputer i zaprowadził tam swoje porządki, on zajmował się korespondencją i rozmowami z klientami w obcych językach, a nie dość, że miał idealny porządek w papierach i komputerze, to i niezawodną pamięć. Nie mogła się nadziwić, że ktoś taki, kto przestrzegał wszystkich terminów płatności, czytał, rozumiał i zapamiętywał przepisy urzędowe, nie jest w stanie zapamiętać dat popularnych imiennin, kto się kiedy i z kim rozwiódł, jak się nazywają państwo, którym odkłoniłiśmy się przed chwilą na ulicy i skąd ich znamy. Taką

wiedzę ona miała wykutą na blachę i z tą wiedzą teraz została, jak ze stertą zdewaluowanych banknotów, za które nie można już nic kupić.

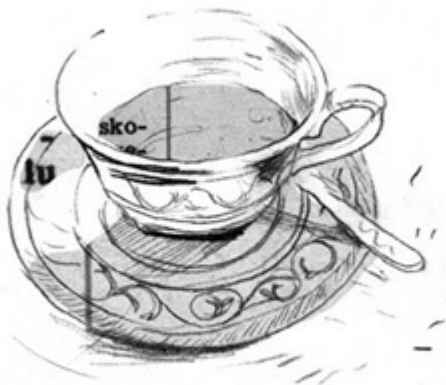
Wsunęła fotografie do koperty i odłożyła ją do pudła. Włożyła nieprzemakalny płaszcz i wyszła na podwórze, kierując się w stronę pól. Psy, Najki i Czarny, bez żadnej zachęty wylazły ze swoich bud i z radosnym poszczekiwaniami pobiegły przodem, mały Heniek szedł przy nodze. W głowie Marianny dopiero w tej chwili zapalił się wielki, żółty neon: JESTEM W DOMU.

Minęła piramidę, swoją dumę zbudowaną niedawno mimo protestów Krzysztofa, który nie wierzył w jej rzekomo lecznicze działanie i mówił, że taniej będzie i na jedno wyjdzie zlepić miniaturowe piramidki z kartonu i przywiązać tasiemkami do głów, o czym z powagą przekonywał autor artykułu w jakimś specjalistycznym piśmie wydawanym chyba przez cyników dla łatwowiernych maniaków. Kiedy jednak piramida powstała, a on z grzeczności ulegał entuzjastycznym namowom żony i wchodził tam na sakramentalne dwadzieścia minut, zawsze po wyjściu twierdził, że nic nie czuje. Nie wiedział, że Marianna szybko odkryła jego tajemnicę: po prostu natychmiast tam zasypiał, więc cóż miał czuć? Inaczej ona: kiedy tam siedziała na podwyższeniu, w wygodnym fotelu, słuchając cichej muzyki albo nagranych dźwięków natury, fal morskich lub szumu wiatru, wydawało się, że niemal widzi strumień pędzącego promieniowania kosmicznego, które przepływa przez jej mózg, zostawiając w nim lecznicze cząstki materii. Wychodziła z piramidy naładowana energią, emanująca entuzjazmem i poszukująca dla niego ujęcia. Zastanawiające było to, że stadko jej kur zawsze rozpierzchało się wtedy z panicznym gdakaniem i uciekało w krzaki, gdy normalnie zlatywało się na jej widok, wiedząc, że zawsze coś sypnie. To ją trochę deprymowało, podobnie jak wypadki zasłabnięcia, które zdarzały się gościom, tak że od czasu, gdy mecenasowa R. z Krakowa dostała tam ataku epilepsji, zawsze wysyłała którąś z dziewczyn z kuchni, aby czuwała nad bezpieczeństwem śmiałych amateerek „kosmoterapii”. Krzysztofa nigdy nie przekonały naukowe argumenty inżyniera Margło, który chociaż tylko podjął się budowy piramidy jako kolejnego zadania fachowego, tak się zainteresował nietypowym obiektem, że przestudiował całą literaturę przedmiotu i zaudzał wszystkich swą wiedzą, będącą wszelako zbyt blisko zabobonów. Krzysztof, racjonalista i urodzony niedowiarek, mówił wtedy: „Jeśli mi powiecie, że w to po prostu wierzycie – w porządku, nie w takie brednie ludzie wierzą i nawet jak zaczniecie się do niej modlić, obchodząc ją w koło ze śpiewem, sztandarami i z biciem w bębny, to niech będzie, okay, róbcie sobie, co chcecie, ale jak mi

zaczniecie udowadniać naukowo, że to działa, zróbcie najpierw badania laboratoryjne i to najlepiej na myszach”. Przypomniała sobie teraz te spory i zezłościła się znowu na Krzysia, ale natychmiast się zmytygowała i skarciła w duchu: teraz już nic w nim nie mogło jej zdenerwować, teraz musi mu zawsze wybaczać wszystko.

Przeszła koło Czekoladowego Drzewa, które było swoistą miarą czasu. Co roku w wakacje jakieś dzieci, dotąd z przejęciem i nadzieją biegnące, aby w jego dziuplach znaleźć łakocie, przestawały wierzyć, że zostawiają je tam krasnoludki, i zaczynały stroić porozumiewawcze miny – znak, że dorośleją. Minęła kapliczkę i uśmiechnęła się na wspomnienie święcenia tu wielkanocnych koszyczków i grasowania Baxtera, który nauczył się podkraść dzieciom kiełbasy ze święconek, i skręciła w stronę altany. Kiedy do niej weszła i zatoczyła wzrokiem po krajobrazie, w którym znała każde drzewo, każdą zatoczkę jeziora, każdy łuk wzgórza, łyży polały się ciurkiem po jej policzkach. Ale stłumiła szloch i wytarła chusteczką oczy.





Następnego dnia Marianna umościła się wygodnie w biurze z zamiarem systematycznego przejrzenia zaniedbanej przez ostatnie wydarzenia korespondencji, kiedy zadzwoniono do bramy. Uniosła wzrok i zobaczyła na monitorze domofonu twarz Krystyny, mieszkającej niedaleko sąsiadki. Tłumiąc westchnienie rezygnacji, podniosła słuchawkę.

– Otwieram, Krysiu! Wjeżdżaj!

W słuchawce ostro zaskrzeczał zniekształcony głos przyjaciółki:

– Wjadę, ale tylko po to, żeby cię zabrać, ubieraj się!

– Gdzie zabrać? – zapytała lekko przerażona Marianna, ale Krystyna już odchodziła od domofonu i wbiła się w siedzenie swojego auta. Energiczne ruchy nie pozostawiały złudzeń co do zdecydowania gościa.

Marianna posłusznie nacisnęła klawisz, brama zaczęła się odsuwać.

Krystyna pojawiła się w życiu Marianny, a ściślej rodzina Wierczyńskich pojawiła się w pensjonacie Kalinowskich, blisko dziesięć lat wcześniej, najpierw reprezentowana przez młode pokolenie, to znaczy przez ich córkę i zięcia, rówieśnika i kolegę Jacka ze szkoły na Żoliborzu, w której obaj cieszyli się sławą ancymonków: Jacuś, czołowy czaruś i playboy, a Paweł rozrabiacz i boiskowy zabijaka. Obu stałe groziło relegowanie z porządnej szkoły przy parku na Cytadeli do osławionej „Sorbonny” po drugiej stronie placu Inwalidów, zbiorowiska wszystkich wywalonych ze szkół całej Warszawy. Że do tego nie doszło, dwaj młodzieńcy zawdzięczali swoim tatusiom: pan profesor Kalinowski robił wrażenie na pani polonistce, wychowawczyni, która przez niego grzeszyła, myśląc o nim nawet w ramionach swego już trochę nudnego męża, a co potem wypytywał ją spowiednik ze szczegółową wnikliwością seksuologa, a ojciec Pawła był znanym adwokatem, obrońcą w głośnych procesach politycznych, co z kolei odstraszało dyrektorke szkoły, może dlatego, że była partyjna, a od stanu wojennego w szeregach partii zaczęło się szerzyć podskórne drżenie niepokoju o nadchodzącą przyszłość.

Paweł i jego młoda żona, de domo Wierczyńska, uciekli na jeden weekend z Warszawy, zostawiając swoją kilkumiesięczną córeczkę dziadkom. Trafili na jeden z tych dni na początku października, kiedy słońce świeci z melancholijną dobrotliwością, w powietrzu unoszą się srebrne nitki babiego lata, a drzewa na przeciwległym brzegu jeziora prezentują całą gamę zieleni, żółci, brązów i złota. Przyjechali późnym wieczorem, szybko zjedli kolację i zamknęli się w swoim

apartamencie, gdzie w ogromnym holenderskim łożu, wypatrzonym przez Mariannę na targu staroci w Ełku, dali upust tłumionym przez miesiące głośnym kantatom, psalmom, ariom, duetom a nawet recitativom na cześć Erosa, ich Pana.

Nazajutrz, jedząc śniadanie na werandzie, patrzyli oniemiała, lekko podpuchniętymi po nocy oczyma na ten spektakl cudów, który wielkodusznie zafundowała im na powitanie natura. Wtedy jednocześnie podjęli decyzję, że muszą tu zamieszkać, że muszą sobie tu coś znaleźć. Paweł, który poszedł w ślady ojca i stał się wziętym i bardzo skutecznym notariuszem, specjalizującym się w obsłudze wielkich koncernów międzynarodowych, zdążył już odłożyć trochę oszczędności, jego żona Ewa, jedynaczka, oczko w głowie zamożnych rodziców (produkowali tylko jeden prosty wyrób: kapsle do butelek, ale zaopatrywali połowę browarów w Europie), też mogła być pewna, że ich na to stać, pozostawało tylko dowiedzieć się, jak szukać i jak znaleźć. Jeśli chodzi o doradztwo w kwestii znalezienia odpowiedniego miejsca do osiedlenia się, chyba na całych Mazurach nie było bardziej kompetentnej osoby od Marianny. Oni jeszcze tego nie wiedzieli, nie miało to jednak znaczenia – ona wiedziała. Miała zresztą niemałe doświadczenie, udało się jej namówić już kilka rodzin z Warszawy, które coś tu kupiły, zaczęły remontować lub budować, wrastać w tutejsze klimaty.

Przyszła na werandę, aby swoim zwyczajem obejść stoliki i zapytać, czy gościom czegoś nie brakuje, i kiedy podeszła do Ewy i Pawła, już po ich minach zorientowała się, że wpadli.

– Podoba wam się tu? – zapytała. – Pewnie mnie zapytacie, czy nie ma tu czegoś do kupienia?

Trochę ponad pół roku później, kiedy pola już się zazieleniły, bo kwiecień był wyjątkowo ciepły, pewnej słonecznej soboty na podwórko Kalinowskich wjechały trzy luksusowe samochody z warszawską rejestracją. Pierwszym jechali młodzi: Paweł i Ewa ze starszym synem Michałem, w drugim teściowie Pawła, czyli rodzice Ewy, Krystyna i Henryk, z już roczną wnuczką Maniusią, a w trzecim niedawno owdowiały ojciec Pawła, słynny mecenas L. Przyjęci zostali na tarasie, gdzie słońce zmusiło ich do zdjęcia swetrów i marynarek, przygotowanym ad hoc, ale wystawnym drugim śniadaniem, wystrzeliły korki szampana przywiezionego przez nich w podziękę za pomoc w kupnie pięknego siedliska w sąsiedztwie. Wystraszone hukiem psy aż pochowały się w budach. Po chwili jednak wróciły: łakomstwo pokonało strach, bo od początku wiedziały, że mecenas L. ma miękkie serce. Rzeczywiście podkarmił je pod stołem, kiedy tylko Marianna odwróciła się

na chwilę, więc nie odstępowały go na krok. Nie uciekły nawet wtedy, gdy ekscentryczny gość nagle wyciągnął rewolwer i zaczął go ładować.

– To jest Smith & Wesson model 29,44 Magnum, z lufą 10 i 5/8 cala. Prezent od mojego ostatniego klienta, którego wybroniłem od co najmniej pięciu lat więzienia.

– To był gangster? – zapytał Krzysztof.

– Nie. Policjant. Komisarz. Sądził go za nieumyślne spowodowanie śmierci. Artykuł 155 k.k.

– Kogo zabił?

– Złodzieja, który się włamał do jego domu. Swoją drogą pechowiec. Pani gospodyni pozwoli, że oddam salwę ku czci tego pięknego miejsca?

Marianna skinęła głową.

– Zatkajcie państwo uszy – poradził mecenas i wstał od stołu. Podszedł na krawędź tarasu i oddał trzy strzały w powietrze, ale w kierunku jeziora. Psy o dziwo nie uciekły, chociaż huk był ogłuszający.

Mecenas wrócił do stołu i schował rewolwer do kabury, którą miał na szelkach pod pachą, jak nie przymierzając Clint Eastwood.

– Obliczyłem trajektorię lotu tak, aby pociski wpadły do wody – rzucił flegmatycznie, wciąż czując się jak Brudny Harry.

– A gdyby tam była łódka? – zapytał Henryk, teść Pawła, wyraźnie poirytowany i zażenowany zachowaniem mecenasa.

– Cóż – uśmiechnął się mecenas – oskarżono by mnie z artykułu 155.

Marianna, wkładając pikowaną kurtkę Barboura (prezent od Jasia z Londynu), wyszła na podwórko na spotkanie Krystyny, która zatoczyła koło, opuściła szybę i nie gasząc silnika, zarządziła:

– Jedziemy do Ełku. Dziewczyny czekają na nas w Mango.

Marianna posłusznie wsiadła.

Po drodze bezwolnie poddała się paplaninie sąsiadki, poczuła się w jakiś sposób bezpieczna i zwolniona od myślenia. Wiedziała, że przyjaciółka robi to świadomie, chcąc oderwać ją od smutnych myśli, i wzruszała ją ta troska, chętnie podejmowała różne wątki, a wszystkie kręciły się wokół spraw neutralnych, niedotykających osobistych tematów. Jechały do ich ulubionej kawiarni, niedawno powstałej na pięknie zagospodarowanym brzegu jeziora. Marianna nie po raz pierwszy poczuła dumę, wjeżdżając do miasta, które rozkwitało z roku na rok coraz piękniej. Wyglądało jak żywa reklama liberalizmu i gospodarki wolnorynkowej, powstawały

wciąż nowe apartamentowce, wielkie markety, obwodnica i nowe nawierzchnie dobrze utrzymywanych ulic, a nawet zbudowano nową bibliotekę miejską, ewenement w epoce spadającego z roku na rok czytelnictwa. Ten ostatni przybytek był szczególnie ukochanym miejscem Marianny. Wypożyczała książki, głównie po to, aby tam bywać, rozmawiać z przemiłymi bibliotekarkami, zawierać nowe znajomości.

Krzysztof często żartował, że szuka tam sobie narzeczonego, jakiejś romantycznej przygody, elektryzującego *coup de foudre*. Śmiała się z tego i w stylu jego żartów odpowiadała, że musiałaby najpierw zmienić orientację seksualną, bo w bibliotece płęć męska nie występuje, ale młode gimnazjalistki czasem są całkiem, całkiem... W tych małżeńskich przekomarzaniach ukrywał się cierpki masochizm: Krzysztof czasem, cierpiąc, snuł erotyczne fantazje, w których widział Mariannę krzyczącą z rozkoszy w ramionach jakiegoś obficie owłosionego latin lovera lub błękitnookiego Skandynawa, któremu morski wiatr rozwiewa jasne włosy, gdy pochyla się nad nią, ułożoną z oddaniem w zagłębieniu bałtyckiej wydmy. Marianna zaś, gdy wzbierała w niej fala czułości i oddania, wyobrażała sobie, że przyprowadza mu do sypialni jakaś sarnioką Sulamitkę, pokorną, lecz pomysłową i biegłą w sztuce miłości, sama siadając w kąciку, aby cieszyć się i cierpieć, patrząc na zachwyconego i usatysfakcjonowanego Krzysztofa. (Była jeszcze inna wersja takiej fantazji: Krzysztof w turbanie wezyra leży w namiocie w otoczeniu hurys w zwiewnych szarawarach, prześcigających się w karmieniu go rachatłukum i pojeniu małmazją – ona jest wśród nich i cierpi, bo on wypluwa wszystko co mu podaje! – na środku naga faworyta wykonuje taniec brzucha, a w jej pępku tkwi diament wielkości Koh-i-noora!).

– Co ty z tym Orientem! – złościł się Krzysztof. – Napatrzyłaś się na jakieś kicz egzotyczne, ale to, w Boga, był świat twojej babki, no, może i matki!

– To był świat mojego niedoszłego ojca. Moja mama często opowiadała mi o swoim pierwszym narzeczonym, koledze ze studiów na uniwersytecie w Wilnie. Studiował filozofię u profesora Wincentego Lutosławskiego i był pod jego przemożnym wpływem. Kiedyś zacytował mamie swoją definicję człowieka kulturalnego: „Człowiek kulturalny to człowiek wykształcony. Musi koniecznie znać łacinę i grekę, bo to są fundamenty naszej cywilizacji, musi znać angielski i francuski, bo to są języki światowe naszej epoki, języki wielkiej literatury i filozofii: każde tłumaczenie zniekształca istotę, trzeba znać oryginały. No i aby naprawdę być człowiekiem kulturalnym, trzeba jeszcze znać sanskryt!”. I właśnie ten

mamy narzeczony, bardzo ambitny, zaczął studiować te języki, a kiedy je opanował, zajął się jeszcze arabskim i tureckim. Dziś jest profesorem, pewnie emerytowanym, na orientalistyce we Wrocławiu.

– A mama? – zapytał Krzysztof.

– Co „a mama”?

– Nie zaczęła się uczyć sanskrytu?

– Może i zaczęła, jak to czynią zakochane kobiety, które są gotowe ponieść każdą ofiarę dla swego wybranka, ale wybuchła wojna i ich rozdzieliła. Mama w czasie powstania została zasypana w piwnicy razem z pewnym przystojnym i bogatym dziedzicem wielkiej jubilerskiej firmy warszawskiej i tego właśnie wybrała na mojego ojca...

– „Jak to czynią zakochane kobiety...” – dokończył za nią Krzysztof, uchylając się przed ciosem poduszką, który mu wymierzyła.

Marianna ocknęła się ze swoich wspomnień i jednocześnie skonstatowała, że wszystko to przeleciało przez jej głowę szybko jak wydruk z kasy fiskalnej w kiosku, przy którym zatrzymały się, aby kupić gazety. Zostawiły samochód na parkingu i zeszyły schodkami w dół skarpy, do swej ulubionej kawiarni Mango. Na wyspie, za żelaznym mostem przerzuconym przez jezioro, piętrzyły się ponure mury średniowiecznego więzienia zwanego zamkiem. Był to rzeczywiście kiedyś zamek krzyżacki, ale po wielkim pożarze w 1833 roku przekształcono go w więzienie i stopniowo ogołociono z wszelkich atrybutów architektonicznej urody, z wieżyczek, wykuszy, lukarn i nadproży, pewnie po to, aby uczynić życie skazanych jeszcze straszniejszym.

– Czy wiesz, że to więzienie było jedną z nielicznych budowli, których Sowietci nie spalili, kiedy weszli tu w czterdziestym piątym roku? Opowiadał o tym ojciec Moniki, który przyjechał tu z Wilna, jako jeden z pierwszych. To było pierwsze niemieckie miasto, które zdobyła Armia Czerwona, i żołnierze dostali je do dyspozycji na trzy dni. Kiedy się już nagrabili, nagwałcili, najedli i napili, postanowili je spalić. Podpalali dom za domem, kościół za kościołem, szkołę za szkołą. Po przejściu tych pierwszych zdobywców miasto wyglądało jak Warszawa po powstaniu, a potem przyszli tu ludzie, którzy je pieczołowicie, dom po domu odbudowali, choć przecież, na początku, było dla nich obce. Po tylu latach jest nie do poznania, dalece przerosło obszarem i rozmachem dawny niemiecki Lyck, a zawdzięcza to dzieciom tych pionierów, tu urodzonym i dziś tu mądrze administrującym.

Marianna popatrzyła zdziwiona.

– Co ty, Krysiu, jakiś referat przygotowujesz? Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek interesowała się Ełkiem, przyjeżdżasz do siebie na wieś, a tu wpadasz tylko na zakupy. Co innego my z Krzysztofem, musimy się udzielać, oni tego od nas oczekują... To znaczy oczekiwali – poprawiła się.

– I nadal będą tego oczekiwali od ciebie.

– Kto wie, czy ja tu zostanę.

– Mogę się założyć, że zostaniesz.

– Nie wiem.

Zanim weszły do kawiarni, Krystyna przypomniała sobie, że ojciec Moniki opowiedział też o pewnej starej już mocno przeoryszy jakiegoś mazurskiego klasztoru, która wspominając tamte straszne dni, westchnęła z nostalgią: „Kałmucy, ci to gwałcili!”.

– E, wymyślił to sobie, stary zboczek! – fuknęła Marianna.

W kawiarni przy stoliku czekały już Kasia i Monika, ich stałe partnerki do brydża, w którego z braku czasu grały niestety coraz rzadziej. Zresztą przekonały się, że brydż jest tym z nielicznych zajęć, przy którym w żaden sposób nie można sobie swobodnie poplotkować.

– Jak gram, to nie mogę o niczym innym myśleć. Nawet w łóżku z mężem, kochając się z wielkim zapalem, jestem w stanie obmyślać sobie, co podam na obiad w niedzielę, kiedy przyjdą teściowie – mówiła Monika, parodiując paplanie pewnej wzorcowej idiotki, którą znały wszystkie.

Monika była anestezjologiem w miejskim szpitalu. Marianna zaprzyjaźniła się z nią, gdy leżała tam z podejrzeniem zapalenia wyrostka. Teraz Monika wstała na widok Marianny i przytuliła ją bez słowa, mocno i serdecznie. Kasia, która była z mężem na pogrzebie Krzysztofa w Krakowie, a potem także na stypie, wyrwała Mariannę z uścisku Moniki i powiedziała z wyrzutem:

– Jestem na ciebie obrażona. Dlaczego uciekłaś nam w Krakowie? Chcieliśmy z Mirkiem przywieźć cię do domu.

– Bała się, że zamęczysz ją kawałami – docięła jej Monika.

– À propos: powiem wam nowy – powiedziała niezrażona Kasia. – Przychodzi żaba do doktora i mówi, że ma bóle kolana. Doktor zbadał ją i mówi: „No cóż, ma pani raka w stawie”.

Marianna uśmiechnęła się, Monika zaśmiała, a Krystyna zapytała:

– No i co dalej?

– Nic. Raka w stawie. Koniec... – Kasia wymieniła z Moniką porozumiewawcze spojrzenie.

– Aa... – Krystyna załapała. – Bo teraz już nie ma raka, są tylko nowotwory...

– I nie ma stawów, tylko hodowlane. Reszta wyschła – podsumowała Monika. – Ale, to nie twój ulubiony *genre*, co, nie masz nic nowego?

Kasia rozłożyła bezradnie ręce, tylko spojrzeniem dała koleżankom do zrozumienia, że może ma, ale hamuje się ze względu na żalobę.

– No właśnie! – pociągnęła bezlitośnie Monika. – Marianna nie wróciła z wami z Krakowa nie dlatego, że bała się, że zamęczycie ją kawałami, ale że litując się, będziecie całą drogę się pilnować, aby ich nie opowiadać, a to by były dla was tortury...

Rzeczywiście Kasia i jej mąż Mirek byli fanatykami dowcipów i z pasją je kolekcjonowali. Ona, okulistka, preferowała tak zwane świńskie, Mirek, optyk, wolał bardziej abstrakcyjne. Oboje prowadzili sklep optyczny i mieli trzech synów, już na studiach. Jeden z nich odziedziczył po ojcu poczucie humoru i stale dostarczał mu nowych kawałów. Mieli też jeden rodzinny, do znudzenia powtarzany, tak że obrósł w piętra aluzji i kontekstów: Policjant pyta górala: „Gazdo, jaki macie zawód?”. „Fryzjer”. „Fryzjer?”. „Ano tak, obgalam turystów z dutków”. „No, to u was rodzinne”. „E, ni. Mój tatulo był optyk”. „Optyk?” „Optyk. Obtykał chałupy mchem”.

– A ja wam powiem, że nie lubię kawałów – oznajmiła Krystyna. – Często ich nie rozumiem, nie śmiesz mnie. A już nie znoszę dowcipnych mężczyzn, którzy cały czas żartują i mają opinię ludzi hojnie obdarzonych poczuciem humoru. Kiedyś mnie podrywał taki jeden przystojniak na basenie Legii. Zaciągnął mnie do kabiny i tam się dopiero uśmiełam z jego obdarzenia...

Do stolika podeszła przemiła właścicielka kawiarni, żeby zebrać zamówienia. Popatrzyła ze współczuciem w oczy Marianny, ale nic nie powiedziała.

– Dziękuję państwu za dobre słowa, dostałam list... – wyszeptła Marianna i zamówiła espresso.

Trzy pozostałe wybrały cappuccino. W powietrzu rozszedł się cudowny aromat dobrej kawy, na stoliku pojawiły się pyszne ciasta, zamówione przez rozochoczone „dziewczyny” (średnia wieku 55), widelczyki i filiżanki zadzwoniły na marmurowym blacie, a Marianna poczuła się bezpieczna, otoczona przez życzliwe przyjaciółki w miłym, ulubionym miejscu, tylko czasem, gdzieś daleko, głęboko, cichutko, jakby

ktoś skrobał paznokciem po szorstkim całunie, odzywały się ból, żal i rozpacz.





Jesień w tym roku była wyjątkowo długa i ciepła. Listopad nie różnił się od października, grudzień też przyszedł tylko dzięki kalendarzowi. Marianna stanowczo odmówiła prośbom dzieci, aby spędziła z nimi Boże Narodzenie w Warszawie, wymawiając się potrzebą odreagowania stresu w samotności, a także oczekiwaniem na przyjazd z Londynu Jasia, którego chciała mieć na Wigilii tylko dla siebie. Niestety, Jasio zatelefonował do babci i w bardzo delikatnych słowach wyprowadził ją z błędu: obiecywał przyjechać na ferie, ale te na Wyspach są gdzieś w marcu, a Gwiazdka ogranicza się tu do dwóch dni, bo o Wigilii dawno zapomniano. Wtedy Marianna przeraziła się samotnych świąt na wsi, ale było już za późno: Robertowie wykupili sobie rejs po Karaibach, a Jacek pojechał na narty do Austrii. Na szczęście sąsiedzi zaprosili ją do siebie i Wigilia z nimi okazała się bardzo ciepła i miła, a święta przeciągnęły się aż do Nowego Roku, bo przejmowali ją kolejni sąsiedzi, jakby była kołędnikiem. Dorośli licytowali się w degustacjach swoich nalewek, na co zapanowała ostatnio moda, a raczyli się nimi obficie, więc humory dopisywały, tylko dzieci rozczarowały się, że Święty Mikołaj nie przyjechał saniami, i martwiły się bezrobociem wśród reniferów, piękne panie przewidywały, że kosztowne futra noc sylwestrowa potraktuje deszczem i będą wyglądały w nich jak zmokłe kury. Wszyscy nabrali przekonania, że zim już nigdy nie będzie, zaczęły się bankructwa firm oczyszczających miasta ze śniegu, zwolennicy teorii spiskowych biedzili się nad stworzeniem dowodów na to, że pogodowa anomalia to skutek tajnych chińskich eksperymentów zmierzających do upłynnienia gigantycznych zapasów letniej odzieży, a zwłaszcza gumowych kłapek, aż pewnego dnia pod koniec stycznia spadł śnieg, a z nim, na łeb, na szyję, słupek rtęci. Temperatura ustabilizowała się na poziomie minus 25 stopni Celsjusza – rozpoczęła się ciężka, mroźna zima.

W ciągu tych ponad dwudziestu lat, które upłynęły od ich osiedlenia się na Mazurach, kilkakrotnie remontowali i modernizowali dom. Najważniejszą inwestycją było ocieplenie i system ogrzewania. Ostre miejscowe zimy nauczyły ich, że zapewnienie ludziom ciepła jest jeszcze ważniejsze niż zapewnienie pożywienia, w rezultacie od kilku lat funkcjonował u nich nowoczesny, sterowany elektronicznie palnik na olej opałowy, wspomagany jeszcze bateriami słonecznymi oraz – chociaż to już bardziej była dekoracja – kilkoma kominkami. Największy znajdował się w ich salonie, przez to często nazywanym pokojem kominkowym. Miał duże palenisko, prostą architekturę z białonych cegieł i grubą starą belką podpierającą

skośny komin, na którym wisiała zabytkowa, osiemnastowieczna szabla. Kupili ją przed laty w Budapeszcie, w czasach naiwności, kiedy ceny w tamtejszych antykwariatach były przystępne nawet dla turystów z PRL-u. Sarmacko zakrzywiona, na grzbiecie główni miała wygrawerowany podpis płatnerza: Johannes Mayrschoffer in Passau Anno 1746, a na płazie herb Węgier i łacińską sentencję: *Siblus pronobis suis contro nos*. Tamtejszy kwartalnik naukowy tuż przed wakacjami przedrukował jakiś stary artykuł Krzysztofa, wręczono mu egzemplarz tłumaczenia, w którym tylko łacińskie nazwy pozwoliły mu się zorientować, o czym kiedyś pisał, oraz kopertę pełną forintów i ściskano dłoń, mamrocząc coś o bratankach. Potem dowiedział się, że to hojne honorarium było wynikiem spontanicznej zrzutki grona profesorskiego, wciąż jeszcze pieszczącego wspomnienia polskiej pomocy Węgrom w czasie rewolucji 1956 roku. Ale wtedy o tym nie mieli pojęcia, więc chwając wysokie honoraria węgierskie, szaleli przez trzy dni w budapeszteńskich restauracjach, dzieci zajadały się gundelpalacinkami, taplały w gorących basenach na Wyspie Małgorzaty, rodzice raczyli się w nadmiarze barackpalinką, aż w różowych nastrojach trafili na antykwariat i zobaczyli, jak niskie są tu ceny. Kupili wspomnianą szablę i wspaniały komplet do madżonga, w którego nauczyli się grać w pierwszych latach małżeństwa, za sprawą pewnego przyjaciela, szalonego, acz sympatycznego maniaka gier. Ten budapeszteński egzemplarz był niezwyklej urody – miał kostki z kości słoniowej, podkład z bambusa, a wszystko poukładane w szufladkach kasetki z różanego drzewa. W najmniejszej znaleźli broszurkę z regułami gry, drukowaną w 1920 roku w Nowym Jorku, kiedy Amerykanie oszaleli na punkcie madżonga, grali w to wszyscy, *high society* i pospólstwo, ale w takim wydaniu musiało to tam wtedy kosztować majątek.

Kiedy wracali do kraju przez Łysą Polanę, szabla leżała pod tylnym oknem ich fiata, za oparciem siedzenia. Owinęli ją gazetą, ale tak, aby rękojeść wystawała, madżonga schowali do walizki. Celnik podszedł flegmatycznie i zapytał, skąd wracają i co wiozą. Jacek natychmiast wrzasnął chełpliwie: „Szablę!”. Celnik czujnie zlustrował ich naiwnie uśmiechnięte twarze i z pogardliwą wyższością człowieka znającego się na rzeczy, przynależącego do warstwy ludzi praktycznych i zaradnych, cwanych i kutyh na cztery nogi, różniących się diametralnie od takich frajerów, jakichś bida-inteligentów, powiedział: „Szablę?! Z Budapesztu to się futra wozi!”. Iniedbałym machnięciem dłoni nakazał im odjazd.

Szabla zawisła w ich żoliborskim mieszkaniu, na buczackim kilimie, podarowanym im kiedyś przez jakąś ciotkę z Kresów i wywołała straszliwy napad

pożądania u znajomego szablisty, olimpijczyka, który był gotów zapłacić każde pieniądze, a nawet zamienić się na jeden z dwóch mieczy samurajskich ze swojej kolekcji, ale Marianna, której kiedyś śnił się Krzysztof walczący nią zaciekle z jakimś Turkiem o jej, Marianny cześć, nie chciała o tym słyszeć. Szablista pokiwał smutno głową.

– Nawet nie wiedzieliście, że macie prawdziwą passawską szablę, kiedyś marzenie każdego polskiego szlachetki! Każdy, kto tu wejdzie, powinien uklęknąć...

Przez jakiś czas naśmiewali się z tego i dla żartu przyklękali, przechodząc przed orężem, co uradowało kiedyś ciotkę z Kresów, bo myślała, że oddają hołd jej buczackiemu kilimowi. Bawiła ich prostoduszność ciotki, dopóki nie zorientowali się, że ona myśli, że czynią to za sprawą ryngrafu z Matką Boską Częstochowską, który powinien tam wisieć, tak jak kiedyś wisiał u niej, a którego im nie dała. Ale okazało się, że wspomnienie ryngrafu wywołało u staruszki wyrzuty sumienia, które wyraziły się w pytaniu, czy skąpstwo, które leżało u podstaw tej decyzji (ryngraf był srebrny), można usprawiedliwić czią i przywiązaniem do starej pamiętki po rodzicach. Dylemat ten męczył ją kilka dni, aż powierzyła go swemu spowiednikowi, co prawda nie w konfesjonale, ale w swoim saloniku, gdzie często zapraszała go na herbatkę z kruchymi ciasteczkami domowej roboty. Spowiednik, proboszcz miejscowej parafii, pamiętał ten kilim bardzo dobrze, nieraz przyglądał się mu z podziwem i przemyślał, jakby skłonić wierną parafiankę, aby uczyniła z niego dar dla fary, ozdobiłby przepięknie surową ścianę zakrystii i portret świętego Franciszka prezentowałby się na nim świetnie. Zniknięcie kilimu ze ściany saloniku wiązało dotąd z pralnią, toteż wyznanie parafianki uderzyło w niego jak grom z jasnego nieba i tylko tym można wytłumaczyć, że z jego ust wyrwały się nierozważne słowa:

– Cholera jasna, podarowała go pani?! A ja tak chciałem go mieć u nas w zakrystii!

– Ależ, księżo proboszczu, nic o tym nie wiedziałam, Bóg mi świadkiem!

Dalszy ciąg wieczoru przeszedł im na rozpamiętywaniu własnych grzechów, bo i kapłan poczuł wyrzuty sumienia, że zgrzeszył mową, myślą i uczynkiem (tu miał na myśli niepohamowane łakomstwo, z jakim pożarł paterę kruchych ciasteczek, nie bacząc, że cukier puder ośnieżył mu cały przód sutanny) – w sumie była to jednak sesja wzniosła i pozytyczna, oboje przeżyli głęboko ten wstrząs, a na końcu, po spożyciu paru naparsteczków nalewki orzechowej domowej roboty, według kresowego przepisu wuja Maurycego, prawdziwe katharsis. Można by więc

powiedzieć, że sędziwa passawska szabla pośrednio przeżyła po wiekach drugą młodość, znów stanęła do obrony przedmurza i okopów Świętej Trójcy.

Niebieski zmierzch nad zamrażniętym jeziorem za oknami namówił Mariannę, aby rozpaliła kominek i usiadła w fotelu albo wyciągnęła się na kanapie, wpatrzona w płomień i wsłuchana w trzaski palącego się drewna olch, otaczających ich półwysep. Krzysztof lubił ją straszyć, że czasem w jesieni, o zmierzchu, kiedy wiatr świszcze w kominie i niesie tumany suchych liści, można zobaczyć ojca, pędzącego na koniu wzdłuż brzegu jeziora i w rozpaczy tulącego do piersi swego syna, który widzi majaczącego w zaroślach Króla Olch, przecucie rychłej śmierci. *Wer reitet so spät durch Nacht und Wind? / Es ist der Vater mit seinem Kind. / Er hat den Knaben wohl in dem Arm / Er fasst ihn sicher, er hält ihn warm.*^[1] – recytował posępnym szeptem Goethego, a Marianna udawała że się boi.

– Język niemiecki stał się dla nas językiem strachu, wszyscy, którzy otarli się o wojnę, reagują zawsze przerażeniem – mówił Krzysztof i na dowód wrzasnął nagle za uchem pani Helenki: – *Hände hoch!*

Biedaczka upuściła półmisek z kotletami, a on za karę zjadł na obiad same kartofle i kapustę. Żeby zatrzeć złe wrażenie z powodu tego niefortunnego doświadczenia, a mimo to udowodnić swoją tezę, przybił na drzwiach ich garażu emaliowaną tabliczkę, podarowaną mu dla żartu przez przyjaciół z Wiednia, z napisem: *Privatgrund! Widerrechtlich abgestellte Fahrzeuge werden kostenpflichtig abgeschleppt.*^[2]

Mało kto z gości rozumiał, o co dosłownie chodzi, ale rysunek dźwigu zabierającego nierozważnie zaparkowane auto i język niemiecki robiły swoje.

Każdej jesieni Józek wyjeżdżał traktorkiem z przyczepką, aby uprzętać wszystkie powalone przez wichury lub uschłe drzewa, zwieźć je na podwórko i długo, uporczywie ciąć na polana do kominków. Marianna przypominała sobie, jak Krzysztof nieraz mawiał, że zastanawia się, dlaczego dźwięk piły motorowej, kiedy cały dzień pracuje nią sąsiad, rozjusza go i rozstraja, a ten sam odgłos, kiedy Józek tnie konary na opał, wprawia go w błogi, pełen zadowolenia nastrój. Zawsze w takich chwilach przypominała mu wydarzenie sprzed lat, kiedy przyjechali Jackowie z Jasiem i przywieźli ze sobą trochę starszego kolegę ich wnuka, wyjątkowego urwisa. Tego dnia Krzysztofa zbudziły hałasy na korytarzu: krzyki, śmiechy, bieganie. Poirytowany włożył szlafrok i ruszył do drzwi, żeby skarcić chłopca i pouczyć, jak powinien zachowywać się w gościnie. Marianna pośpieszyła przed nim, żeby w razie czego pohamować męzowski gniew, wzbierający groźnie z każdym krokiem ku drzwiom, a kiedy je otworzyła, zobaczyła cud: czerwona, nabrzmiała

żądzą kary twarz Krzysztofa w sekundę złagodniała: na korytarzu czał się na kolegę sprawca hałasów, ich ukochany wnuk Jasiek.

– Jasiu, chodź do dziadziusia... – powiedział Krzysztof głosem chórzysty śpiewającego w raju najtkliwszą kolędę dla Dzieciątka i wyciągnął do wnuka ramiona.

Uśmiechając się do tego wspomnienia, Marianna zaczęła sprawnie układać na zmiętej gazecie mały namiocik z cienkich drzazg naciętych przez Józka na podpałkę, a nad nim stos bierwion, ale też jeszcze nie najgrubszych. Rozpalanie kominków to była jej specjalność, nikt nie potrafił robić tego lepiej: Józek nawet nie próbował, Krzysztof też z góry zakładał, że nie potrafi, a kiedy raz chciał lekkomyślnie udowodnić jej, że to żadna sztuka, zadymił cały dom i twarz miał usmoloną jak kominiarz.

– Przyjdźcie, człowieku na Nowy Rok, dostaniecie ze dwie dychy do usmolonej łapy, jak to kominiarzom się należy, ale od kominków trzymajcie się z daleka. I na dach lepiej też nie włączcie, bobyście spadli, łamago jedna!

Marianna zmięła drugą gazetę i utworzyła z niej coś na kształt żagwi, pochodni, otworzyła szyber, podpaliła żagiew i włożyła ją na chwilę w przewód kominowy, aby zagrzane powietrze utworzyło cug. Jak tylko dotknęła gazety pod stosem drewna, płomień buchnął, zdawać się mogło, wesoło i z entuzjazmem, a Marianna mogła sobie nalać pół kieliszka ulubionego martella. Usiadła w fotelu i zapatrzyła się w ogień. Wtedy chyba właśnie zdała sobie sprawę, że tak będzie teraz wyglądało jej życie, że czegokolwiek dotknie, gdziekolwiek spojrzy, z mrocznych kątów tego domu wyjdzie do niej przeszłość, jej przeszłość z Krzysztofem, ze sprawami, które umarły razem z nim albo jeszcze wcześniej; z dziećmi, takimi, jakie są teraz, i takimi, jakie były kiedyś. Może później to wszystko zasypie popiół czasu, ale teraz, przynajmniej przez tę zimę, będzie się musiała temu poddać. Poczuła, że ma w sobie siłę, aby temu sprostać, i nawet, gdzieś głęboko, na dnie jej serca, zatliła się mała iskierka radości, że los zechciał, aby tu znalazła odpowiednie miejsce i odpowiedni czas na przemyślenie i zrozumienie wielu wciąż ważnych lub już zastarzałych spraw, na uważne przyjrzenie się sobie samej.

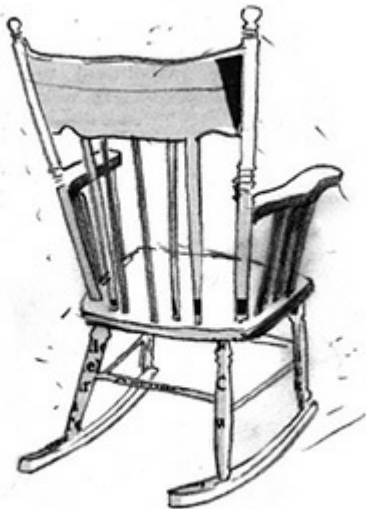
[1] Kto z wiatrem wśród nocy galopem tak gna?

To ojciec z dziećciem jak cienie mkną dwa.

On czule je tuli i bieży przez błoń,
I serce przy sercu, i w dłoni ma dłoń.

J. W. Goethe, *Król olch*, przekł. W. Lewik.

[2] Teren prywatny. Bezprawnie parkujące samochody będą odholowywane na koszt właściciela.



Przeglądając szuflady w biurku Krzysztofa, Marianna znalazła gruby notatnik oprawiony w paskudną czerwoną dermę z tłoczonym złotym napisem „VII Międzynarodni Konferencje SMCA – Praha 1988”. Przypomniała sobie, że Krzysztof, który stronił od takich imprez, dał się raz przebłągać i pojechał w czymś zastępstwie na tę konferencję do Czechosłowacji. Wrócił wściekły, ale niewiele opowiadał, jakby wiązało się to z czymś żenującym lub stanowiło jakąś tajemnicę służbową. O tajemnicach w jego zawodzie mikrobiologa nie mogło być mowy, więc Marianna była skłonna podejrzewać, że może przytrafiła mu się gafa albo co gorsza nie powiódł się okazyjny podbój, że na przykład dostał kosza od jakiejś pięknej Czeszki. Myśląc o tym teraz, aż zaczerwieniła się ze wstydu; była zakochana w Krzysztofie do szaleństwa, zamęczała go swoją zazdrością, a równocześnie miewała czasem najszybsze marzenia, w których kładła go do łóżka z innymi kobietami, czasami naszkicowanymi zaledwie fantomami młodych blondynek lub brunetek, zawsze długonogimi cymbalkami, o tak wypiętych pośladkach, jakby cierpiały na *lordosis*, ale często też ze znajomymi, nawet ze swoimi przyjaciółkami. W tym drugim przypadku był jeszcze inny aspekt, nie chciała tylko jego zadowolenia z takiej atrakcyjnej odmiany, nie karmiła się tylko grzesznie pociągającą, sekretną mieszkanką wspaniałomyślności i cierpienia, chciała się nim pochwalić przed przyjaciółkami, chciała, żeby dał im zakosztować rozkoszy, której zapewne nigdy nie zaznały, ale potem przypilnować, aby już tego nie mogły powtórzyć, chociażby skamlały i całowały próg ich domu (uprzednio dokładnie, ze względów sanitarnych, przez nią samą wyszorowany).

Zawahała się przed otwarciem notatnika: może nie powinna grzebać w przeszłości, może natknę się na jakieś sekrety, o których Krzysztof wolałby nie mówić, może zrodzą się pytania, na które nikt jej już nigdy nie odpowie, ale ciekawość, zwykła babska ciekawość – to zdanie wyszeptana na głos, jakby chciała się przed kimś usprawiedliwić – wzięła górę, więc uchyliła okładkę notatnika. Poczula wstrętny, rybi zapach kleju introligatorskiego, zapach wszystkich książek wydawanych w krajach RWPG, i zobaczyła pierwszą stronę żółtawego liniowanego, lichego papieru, na którym uczestnicy zjazdu mikrobiologów krajów socjalistycznych mieli notować ważne informacje, refleksje i złote myśli, płynące z prelegenckiej mównicy lub zrodzone w głowie słuchacza. Stronę zapełniał róż szkieł, zygzaków i bohomazów, zwykle powstających pod wpływem nudy,

charakterystycznej dla każdej konferencji, zwłaszcza w tamtym okresie, po tej stronie świata. Krzysztof pewną kreską, jakby był architektem lub wykształconym rysownikiem, narysował kolejno: dach góralskiego domu z okolic Orawy, flet prosty, a może klarnet, Akropol (?), dwie twarze en face i trzy z profilu, uproszczone jak w dowcipach rysunkowych, przy czym jedna była chyba autokarykaturą. Dalsze kilkanaście stron pokryte było drobnym, ale czytelnym pismem Krzysztofa, Marianna zaczęła czytać i nie oderwała się od tego tekstu, dopóki nie skończyła.

Cena tych godzin koszarnej nudy i hipokryzji jest nie do opłacenia. Kto i kiedy za to odpowie? Jedyne co mogę zrobić, to zapamiętać te chwile tortur i policzyć wszystkie ciosy i razy, które spadają na mój biedny mózg, aby kiedyś wystawić rachunek. Jeszcze nie wiem komu, ale na pewno znajdę wystarczająco wielu zbydlęconych skurwysynów, którzy mnie tu wysłali, aby poobwieszać wszystkie latarnie na Krakowskim Przedmieściu, od bramy uniwersytetu aż do Dziekanki, tego najświętszego pierdolnika Warszawy lat sześćdziesiątych. Na latarniach powieszę naszą jebaną Radę Wydziału, z Panem Dziekanem Dupolizem Hipokryckim na czele. Dla członków Wydziałowego Komitetu PZPR rezerwuję samą bramę naszej Alma Mater – jest tam dość wystających ostrych haków i wolut, żeby powiesić ich za żebra, jak Janosika, bohatera ludowego bratnich krajów PRL i CSRS, co to bogaczom zabierał, a biedakom ni chuja nie dawał, tylko chlał po karczmach i karczmareczki wyobracałowywał (?). Co kręcisz nosem, przywidła profesorko językoznawstwa (najlepiej się znasz na języczkach ratlerków cipkolizów, nicht wahr?) – jeśli można wycalaować i wycalaowywać, to można wyobracać i wyobracałowywać, co nie?! Zastanawiam się, czy da się zróżnicować winy poszczególnych członków tej nędznej bandy, czy są różne stopnie skurwysynstwa, czy też wszystko jest jednolitą, doskonale wymieszaną, jak w szwajcarskiej maszynie do czekolady marki Suchard, gładką masą gówna? Myślę, że to ostatnie, ale jeśli udałoby się wyodrębnić jakiegoś supergnoja hipokryzji i bydlactwa, powinien być obłany tą masą, oblepiony cynfolią jak wielkanocny zajączek (uszy można powiększyć) i ustawiony w gablocie w hallu gmachu federacji wszystkich związków, towarzystw, stowarzyszeń, stronnictw i partii wszelkich orientacji politycznych, naukowych, artystycznych i ideologicznych świata, a taki gmach prędzej czy później zostanie, niestety, zbudowany. To te kurewskie organizacje są największymi wrogami jednostki ludzkiej, tego fenomenu natury, który produkuje ona zawsze tylko w niepowtarzalnych odmianach. Czy istnieje na świecie jakaś maszyna, która byłaby zdolna masowo produkować jakiś produkt, tak aby każdy egzemplarz był nieco inny, żeby różnił się czymś od innych, pozostając mimo to tożsamym? Wszelkie organizacje, każda grupa ludzka, formalnie zjednoczona wspólnym celem, to najbardziej perfidny pomysł na zniewolenie wolnego umysłu jednostki. Nawet jedna sekunda uczestnictwa w jakiegokolwiek organizacji zbiorowej, każdy udział w życiu takiego gangu powinien być bezlitośnie karany przez niezależne sądy jako zbrodnia ludobójstwa. Człowiek, w którym tli się jeszcze choć isierka sumienia, powinien wydać nieustępliwą walkę każdej organizacji społecznej, o której istnieniu wie. Dotyczy to zarówno stowarzyszeń amatorskich, nawet

pozornie marginalnych, jak np. hodowców roślin ozdobnych, aż do armii, policji, a szczególnie związków zawodowych. Straż pożarną można wspaniałomyślnie (i przezornie) z tego wyłączyć. Likwidacja choćby jednego członka jakiegokolwiek organizacji liczącej ponad 3 osoby będzie zapisywana złotymi zgłoskami w księdze historii ludzkiego rodu! Rozbicie jakiegokolwiek komórki liczniejszej niż 10 członków nagrodzone będzie 40 dniami odpustu, za eksterminację całej organizacji, która posiada własne legitymacje ze zdjęciem uprawniające do zniżki w państwowych lub komunalnych środkach transportu publicznego...

Marianna miała oczy jak talerzyki, narastające w niej zdumienie zaczęło powoli przerażać się w przerażenie.

– Czy miałam męża wariata?! Ale że ja tego nie zauważyłam... – Wróciła pośpiesznie do tekstu.

..rok krócej w piekle, za wytrucie (przez wodociąg miejski) dużego związku zawodowego – ekspresowy przejazd przez czystiec w kierunku rajy, za wysadzenie w powietrze siedziby dużego stronnictwa lub rządzącej partii – wniebowstąpienie żywcem.

Pałca potrzeba samoobrony jednostki wymaga jednak opracowania metod zwalczania terroru zorganizowanego. Jednym z najbardziej dostępnych środków walki jest bojkot, nieprzyjmowanie do wiadomości istnienia organizacji, ignorowanie wszelkich przejawów działalności tychże. Można to praktykować jawnie lub tajnie: jawnie, to znaczy przez otwarte głoszenie swoich poglądów antyspołecznych, zwłaszcza za pomocą rękoczynów, a tajnie, to znaczy przez błędzenie myślami gdziekolwiek i niesłuchanie mówców na zgromadzeniach, ze szczególnym uwzględnieniem wyjątkowo oblesnych dupolizów (jak np. ten Czech, który już dwukrotnie rzucił hasło: „S Sovetským Svazem po vecne casy, a nikdy inak!”). W wypadku gdy na zgromadzeniu stosuje się tłumaczenie kabinowe (przy obecności cudzoziemców) dobre rezultaty daje podsuniecie tłumaczowi innego tekstu, zupełnie niezwiązanego z tematem obrad, albo (lepiej) recytowanie poezji rewolucyjnej. Dobrą metodą na wyobcowanie się z sali jest intensywne, choć pozorne notowanie, mimo że sposób ten jest dwuznaczny moralnie, gdyż może stworzyć wrażenie głębokiego zaangażowania w meritum obrad, a to już byłby szczyt hipokryzji.

Dla osób o żywej wyobraźni szczególnie efektywnym sposobem wyłączenia uwagi jest fantazjowanie erotyczne. Recepta jest prosta: wybieramy sobie jakiś obiekt w zasięgu wzroku (płeć zależna jest od osobistych preferencji) i wyobrażamy sobie, starając się o precyzję i bogactwo szczegółów, cały proces dochodzenia do celu, od flirtu, poprzez molestowanie, aż po ewentualny gwałt (jeśli okaże się niezbędny).

Posłużmy się przykładem: naprzeciw nas siedzi delegatka z Kuby, Mulatka. Zaczynamy od milczącej obserwacji tego, co widać nad stołem: cera kolorem i fakturą przypomina skórę, jaką psy mają pod pachami lub we wnętrzu uszu, włosy wyglądają jak wata szklana ufarbowana na czarno, nozdrza (nie wiem, czy używa się takich określeń w stosunku do białych ludzi, ale do niej one wyjątkowo pasują) wewnątrz wilgotne też jak u psów, podnoszą się, kiedy zadaje jakieś pytanie tłumacze, która zresztą jest Mongołką. Ten ruch nozdrzy wydaje się jakiś pierwotny, zwierzęcy, dziki, uzewnętrznia wysiłek mózgu,

który musi sformułować jakąś myśl: np. która godzina? Mulatka ma na sobie sukienkę z fioletowej spranej bawełny, która krojem i kolorem przywodzi na myśl Chatę Wuja Toma – wycięty głęboki dekolt odsłania przeraźliwie chudy mostek i każe się domyślać jakichś szczątkowych piersi: płaskich, wyschniętych, obwisłych jak lejki. Odmiennosc rasowa uniemożliwia prawidłową ocenę wieku delikwentki, ale nie ma wątpliwości, że to 50+. Na myśl, że może jeszcze miesiączkować, przenika nas dreszcz takiej grozy, że na wszelki wypadek podwyższamy na 60+. Teraz należy przystąpić do wyobrażonej inscenizacji: na początku migają nam przed oczami (duszy?) oderwane fragmenty, jakby nieuporządkowane do montażu ujęcia filmowe:

- palce przesuwają się wzdłuż pleców (depymujące dotknięcie sterczących, spiczastych kręgów);
- głowa na pomarszczonej szyi wykonuje ruch obrotowo-wahadłowy, ukarminowane grubo wargi szepczą: „No, no, comarade, por favor!”;
- przez pokój przebiega mały kubański chłopczyk – metys (fantom?!), straszna myśl: wnuczek przemity w walizce!;
- w oczach Kubanki, które mają 100 lat (żółte białka), pojawiają się błyski żądzy, zalatuje ryba;
- krzesło przewraca się z hukiem, przestraszeni uderzamy się boleśnie w skroń o mosiężną ramę łóżka, w tej samej chwili do pokoju wpada czeska policja obyczajowa... I chwala Bogu! Jeszcze chwila i moglibyśmy zarazić się AIDS-em. Teraz nadchodzi na nas faza ostateczna: zupełne otępienie. Już nawet nie słyszymy słów prelegenta, patrzymy na niego jak na rybę w akwarium, która otwiera rytmicznie pysk i wypuszcza bańki powietrza. Pałac Zjazdów unosi się w powietrze, przelatuje nad dachami Złatej Prahy, nad Praszną Braną, nad mostem Karola, aż woduje na Wełtawie i zostaje zacumowany jako kolejny Botel, hotel na wodzie przerobiony ze starej barki rzecznej, idealny do zakwaterowania uczestników takiego głównianego zjazdu jak nasz.

Mariannie opadły ręce: co to wszystko znaczy? Po chwili odrętwiałego bezruchu i beładnych myśli zebrała się w sobie i przejrzała dokładnie resztę notatnika, ale nie było w nim już ani jednego słówka. Zaczęła przeszukiwać pudło, z którego wyjęła ten obskurny czeski notatnik. Znalazła tylko czeską temperówkę z korbką i zupełnie nie wiadomo po co zatemperowała pedantycznie wszystkie ołówki znalezione w biurze.





Tej nocy nie mogła zasnąć. Czytała aż do zmęczenia oczu, wydawało się jej, że już morzy ją sen, ale kiedy gasiła nocną lampkę, senność ulatywała i wracały myśli pobudzone dzisiejszym znaleziskiem. Już pogodziła się z tym, że nie pokazał jej kiedyś tego wariackiego rękopisu, wyparła myśl, że chciał to ukryć z powodu jakiegoś sekretu, który snuł się jak gdyby między wierszami tego tekstu, pojawiła się gdzieś w tyle głowy swędząca obawa, że odkryje jeszcze więcej takich notatników, a w nich inne, jeszcze bardziej zagadkowe tajemnice. Z jednej strony nie życzyła sobie tego, z drugiej – jej ciekawość rosła, jak wzbierające podniecenie, jak pragnienie domagające się szklanki wody. Nie wytrzymała i wstała, włożyła szlafrok i ruszyła schodami na strych. Heniek otworzył jedno oko i popatrzył za nią, ale uznał, że nic z tego ciekawego nie wyniknie, więc zamknął je i wrócił do jakichś smacznych snów. Mogła pozapalać wszystkie światła, ale nie chciała, aby pani Helenka i Józek, którzy spali teraz w oficynie, żeby nad nią czuwać, zobaczyli albo co gorsza, zaniepokoiili się tym i przyszli sprawdzić, co się dzieje, więc wzięła swoją mocną latarkę i z nią poszła na górę. Świeciła sobie pod nogi, kiedy szła schodami i kiedy przeciskała się przejściem między paczkami i kartonami zawałającymi strych. Ze wstydem skonstatowała po raz kolejny, że niektóre z nich, zwłaszcza te z książkami, czekają na rozpakowanie od przewodniczki z Warszawy. Ile czasu minęło: dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata? A więc nie warto było ich tu wozić, skoro dało się bez nich obejść tyle czasu, tym bardziej nie warto nawet myśleć o ich rozpakowaniu teraz, bo były to głównie książki Krzysztofa... Przeszła do drugiego pomieszczenia w głębi, tam znajdowały się już archiwalia nowsze i bardziej osobiste. Kiedy promień światła jej latarki liźnął po drodze niszę, gdzie trzymała na przemian odzież zimową lub letnią, zobaczyła kątem oka coś, co kazało jej przystanąć. Wydało jej się, że ktoś stoi, odwrócony do niej plecami, nieruchomo. Odruchowo zgasiła latarkę i zamarła. Z mroku, na tle jaśniejącego już trochę okna, wyłoniła się wielka sylwetka przygarbionego człowieka w kapeluszu i długiej do kostek pelerynie.

– Kto tu?! – wykrztusiła przez ściśnięte strachem gardło.

Odpowiedziało jej milczenie i bezruch. Marianna roztrzęsionymi rękami zapaliła latarkę i skierowała jej światło na intruza. Poczowała ulgę i parsknęła śmiechem: postać okazała się wieszakiem obładowanym odzieżą i okrytym płachtą dla ochrony przed kurzem, kapelusz umieszczony był tam pewnie przypadkowo. Poszła dalej i zaczęła szperać po półkach i szufladach starego biurka, ale niczego ciekawego nie znalazła.

Odczuła zawód, że nie natrafiła na jakieś nowe ślady, rozczarowanie, które miało niemal posmak pretensji do Krzysztofa, że niczego takiego nie zostawił albo tak dobrze przed nią to ukrył. Posunęła się w myślach aż do zarzucenia mu tchórzostwa – powinien był mieć jakieś tajemnice, powinien teraz ukazać się jej i wszystko wyznać, a nie straszyć ją jakimś chochołem z wieszaka! Myśląc o tym wszystkim, przycupnęła na starej otomanie odesłanej tu na wieczny odpoczynek i sama nie wiedząc kiedy, zasnęła.

Obudził ją promyk słońca wpadający przez okienko dachowe. Poczuli, że zmarła na kość, więc szybko wstała i ruszyła na dół. Po drodze spostrzegła małą zieloną drewnianą kasetkę w zakopiańskie wzory i zajrzała do niej: była wypełniona starymi zdjęciami w formacie najwyżej pocztówki. Wiele z nich miało brzegi wycięte w modne kiedyś ząbki, wszystkie pochodziły z krakowskich, dzieciennych czasów Krzysztofa. Zabrała kasetkę i zeszła do swojej sypialni. Spojrzała na zegarek – 6.47. Nie warto było wracać do wyięzionego łóżka, więc weszła do łazienki, aby napełnić wannę gorącą wodą.

Po kąpeli i śniadaniu poszła do biura i zaczęła rozkładać na stole fotografie z kasetki, jak pasjans. Pierwsza, która jej wpadła w ręce, przedstawiała może trzyletniego Krzysztofa, jeszcze we Lwowie. Marianna poznała to po huculskim kilimie na ścianie. Wiek chłopca i lwowskie mieszkanie pozwalały wydedukować datę: 1944 rok, ubranko – ciepły sweterek i grube prążkowane rajtuzki pozwalały określić porę roku na późną jesień. Marianna przypomniała sobie, że kiedyś Krzysztof, prezentując jej to zdjęcie, wskazał na małą plamkę na rajstopkach, nad kolanem.

– Tu kapnęło mi żółtko jajka na miękko i zastygło w tych prążkach. Strasznie mnie męczyło, że nie mogę go wydrapać, właśnie przez te prążki.

– Ty pamiętasz takie szczegóły?! – zdziwiła się wtedy Marianna.

Jeszcze wiele razy Krzysztof zadziwił ją swoją pamięcią takich nieistotnych detali, które jednak uprawdopodobniały opowiadane historie.

A co ja robiłam wtedy? Nic nie mogłam robić, bo byłam tylko marzeniem młodej panienki, która potem została moją mamą. Zgliszczą Warszawy dopalały się, moja matka była już w Pruszkowie i tęskniła za swoim narzeczonym, który przedzierał się przez Kampinos do Ciechanowa, aby zaszyć się we dworze dziadków przyszłej żony, a ja byłam dopiero wstydliwie ukrywanym marzeniem, odłożonym na przyszłość, jeśli będzie jeszcze jakaś przyszłość – myślała Marianna, przypatrując się małemu Krzysiu. Dzisiaj, jak nigdy przedtem, uderzyło ją podobieństwo męża do ich syna

Jacka, gdy był w podobnym wieku. Stał na tle tego huculskiego kilimu i tulił do siebie pluszowego, brązowego misia z czarnym noskiem.

– Syneczku... – szepnęła Marianna, sama nie wiedząc, którego z nich przyzywa. Czy zakreśliły się jej pod powiekami, więc aby je powstrzymać, szybko sięgnęła do kasetki po następną fotografię. Tu mały Krzyś ma już pięć lat, kroczy dzielnie pomiędzy rodzicami przez krakowski Rynek, na Sukiennicach rozpięte transparenty z hasłem: „3 razy tak, Polaka znak!” datują to zdjęcie na rok 1946, rok sfałszowanego referendum.

Przeglądała zdjęcia całe przedpołudnie, wzdychała, zamyślała się, ocierała łzy, ale wszystko to były znajome wspomnienia, żadnych sekretów w tym nie było. Koło pierwszej do biura zapukała pani Helenka.

– Proszę na obiad. Dzisiaj pyszny rosółek...

– Co, już? – Marianna zamrugała nieprzytomnie. – Wcale nie jestem głodna...

– Pani musi jeść, nawet przez siłę, bo jeszcze sobie pani biedy napyta. Anemii można dostać raz dwa!

– Jakiej anemii, pani Helenko?! Gruba jestem jak hipopotam, powinnam zacząć głodówkę!

– Ja tam żadnego hypnopotana nigdy nie widziałam, chyba że na obrazku, ale głodówka to po moim trupie! O, przepraszam! – żachnęła się, zakrywając usta dłonią, co rozśmieszyło i rozczuliło Mariannę.

Wstała i objęła zawstydzoną Helenkę, ruszając z nią do wyjścia.

– Nie ma za co, pani Helenko, trup to trup. Trupy istnieją, duchy niestety nie.

– O, co też pani mówi: duchy są!

– Właśnie! Jeden mnie chciał wystraszyć dziś w nocy...

– No, proszę! Chyba że to był szczur?

– Szczura to bym się naprawdę bała, myśli pani, że u nas są szczury?

– Chyba nie ma, bo się naszej kuny boją.

– Kuny? To mamy kunę?

– Przecież mieszka na stryszku oficyny. Dwa młode w tym roku miała, więc i jakiś pan kuna ją odwiedza...

– Nic o tym nie wiedziałam, jak to się stało...? – spytała Marianna ze szczerym żalem.

– Bo ona rzadko się pokazuje w dzień, boi się naszych psów. Już to Pan Bóg tak urządził, każdy kogoś musi się bać i każdego ktoś się boi: robak ptaka, ptak węża,

wąż drapieźnika, drapieźnik człowieka, a człowiek Pana Boga...

– Pani się boi Boga, pani Helenko?

– Pewnie, że się boję, inaczej bym grzeszyła.

Marianna roześmiała się.

– Pani?! Pani Helenko, pani żywcem do nieba pójdzie!

– E tam, e tam! Każdy grzeszy, choćby w myślach – naburmuszyła się Helenka. –

Pani też się Boga boi!

– Gdybym wierzyła, że jest, to bym się go nie bała. Jakże mogłabym wierzyć w coś ze strachu?!

– Ale on jest. Jest, żeby pani mogła mówić, że go nie ma.

Marianna westchnęła, ugięła się pod siłą logiki pani Helenki i rezygnując z dysputy, siadła do stołu. Pani Helenka nalała jej spory talerz parującego rosółu z żółtym od obfitości jajek domowym makaronem i piękną, czerwoną marchewką, jakby wyjętym śnieżnemu bałwanowi nosem. Gdzieś w głębokich zakamarkach pamięci zabrzmiały śmiechy dzieci, zapachniało puszystym śniegiem, zadzwoniły dzwoneczki sanek. Cień wspomnienia musnął myśli i odleciał z cichnącą wrzawą –

Marianna rozkroiła łyżką marchewkę, nabrała trochę rosółu i podniosła do ust. W dziesiątkach oczek delikatnego tłuszczu pływających po powierzchni rosółu odbijała się uśmiechnięta twarz pani Helenki, jakby wmontowana została tam Photoshopem.



Nazajutrz przejmujący, lodowaty wiatr osłabł, wyszło słońce i zrobiło się dużo cieplej. Marianna wyciągnęła ze schowka narty biegowe i buty i postanowiła trochę pospacerować po polach. Już parę lat temu porzucili stare przyzwyczajenia: narty w zimie, rowery i wiosłowanie w lecie, nawet na spacerzy trudno było Krzysztofa namówić. Stary uraz kręgosłupa dał znów o sobie znać, wróciły bóle pleców i nóg, więc jej mąż spędzał całe dni przed laptopem, a siedzący tryb życia skutkowało z kolei drętwieniem i bólem karku.

– Chyba będę musiał przerzucić się na handel kamyczkami do zapalniczek... – powiedział kiedyś, przeciągając się boleśnie.

– Co?! Co ty bredzisz?! – Mariannę zamurowało, chociaż zdążyła się przyzwyczać do szalonych pomysłów swego męża.

– Chodzi o zawód wykonywany na stojąco. We Lwowie, w czasie okupacji niemieckiej, kiedy nie mieliśmy już z czego żyć, ojciec spotkał na ulicy swego dawnego asystenta i ten zaproponował mu wspólny interes: uliczne sprzedawanie kamyczków do zapalniczek. Ojciec, elegancki pan w edenie, stał pod uniwersytetem i przytupując z zimna, mamrotał nieśmiało: „Kamyczki do zapalniczki, kamyczki do zapalniczki...”. Rozpoznał go przechodzący jego były student, Ukrainiec, zaśmiał się szyderczo i krzyknął: *Ce misce je dla polskich profesorow!* (Oto miejsce dla polskich profesorów). Idący ulicą kolejarz, rosłe chłopisko, strzelił go bez wahania w pysk, a gdy ten zaczął uciekać, dogonił go i kopnął w dupę z precyzją Wacka Kuchara z Pogoni Lwów, aż dureń zarył mordą w przyzmę śniegu. Po tym incydencie ojciec przeniósł się ze swoim handlem na Wały Hetmańskie, w pobliże teatru, ale tam z kolei rozpoznali go jego inni studenci, Polacy. Na ojca wykłady przychodzili także słuchacze z innych wydziałów, zawsze był taki tłok, że rektorat przeniósł je z ulicy Mikołaja do największego audytorium w głównym, posejmowym gmachu, więc ojciec nie znał większości studentów i nie zorientował się, kiedy zaczęli przychodzić bardzo licznie, żeby go wspomóc. W domu tylko dziwił się naiwnie i utyskiwał na młodzież, która teraz tyle pali! Narzekał także na „stojący rodzaj pracy” i mawiał, że jak tak, to już wolałby być na przykład barmanem. „Hola, hola, mój panie! – gasiła jego entuzjazm dla tego zawodu matka. – To co cię w tym pociąga, jest barmanom zakazane: nie wolno im pić w pracy!”. I podkreślała swój triumf gestami, które już wyszły dziś z użycia: strugała palcem palec, wołając: „Zyg, zyg, marchewka!”, albo grała mu na nosie, to jest przykładadała kciuk do czubka nosa, a pozostałymi palcami

poruszała, jakby naciskała klawisze klarnetu. Jakakolwiek by była ta praca, jakiegokolwiek jej rezultaty, ale była, a gdzie ja mógłbym sprzedawać tu dzisiaj kamyczki do zapalniczki? W Ełku? Musiałyby być znowu jakaś okupacja, na przykład litewska. Jakby nazwali Ełk? Ełkunas?

Marianna uśmiechnęła się smutno do swoich wspomnień: taki on był. Godzinami siedział zatopiony w robocie, a kiedy Marianna nieopatrznie wchodziła do jego pokoju i o coś pytała lub coś proponowała, odpowiadał pomrukiwaniem i patrzył nieprzytomnie, po czym jak obudzony rozwijał długie opowieści, piętrzył regresje, sprowadzał wszystko do absurdu i dla dowcipu sprzedawał ojca i matkę Cyganom. Za to go uwielbiała i tego jej teraz było najbardziej brak. No, może jeszcze poczucia bezpieczeństwa, które dawała jej jego obecność, stała obecność od ponad czterdziestu lat. Stała obecność, bagatela! Ależ ona trwa! Nie ma chwili, żeby o nim nie myślała. Cóż za różnica, że jest w grobie, a nie na przykład na uniwersytecie, ten, który jest koło niej, w jej myślach, jest taki sam jak był, zawsze taki sam, nawet lepszy, bo pozostanie taki sam na wieki, już się nie zmieni – pocieszała się naiwnie, ale były to pocieszenia bezsilne, bezradne i nieskuteczne.

Otrząsnęła się z tych myśli i przebrała się w narciarski dres, włożyła buty i ciepłą białą czapkę z czerwonym pomponem. Krzysztof kupił ją gdzieś kiedyś na targu, dla żartu, aby się z niej powygłupiać, ponaśmiewać, a Marianna postanowiła udawać, że nie widzi w niej nic śmiesznego, że jest nawet ładna.

– To klasyczna marusarka – stwierdziła, przymierzając ją przed lustrem.

– To klasyczna bucówka, jak mówią w Krakowie. A wiesz, co to znaczy po krakowsku buc?

– Wiem – odparła niewzruszona – to co w Warszawie: zarozumialec. I grubianin.

Krzysztof zaśmiał się sardonicznie.

– Zarozumialec?! Grubianin?! No tak, w pewnych okolicznościach buc zachowuje się zarozumiale i jest grubianinem albo długaninem, ale może też być cienkaninem i krótkaninem. Buc w Krakowie to, moja droga, członek męski, penis, czyli mówiąc prosto: chuj! Ty bucu! – to w Krakowie grube wyzwisko.

Marianna zachowała się jak dama, bo nie mrugnawszy okiem, powiedziała:

– Członek? W takim razie to będzie nasza czapka członkowska.

Krzysztof docenił jej inteligencję i dowcip, pokręcił z podziwem głową, a mimo to nie dał za wygraną.

– Czapka członkowska klubu buców.

– Ale warszawskich! – musiała mieć ostatnie słowo.

Poprawiła przed lustrem czapkę, żeby pompon był na czubku głowy, i odważnie wyruszyła na podbój zamarzniętej, gładkiej, jakby posypanej cukrem pudrem tafli jeziora. Biały dres, białe buty, białe narty, biały pejzaż, tylko pompon czerwony, jak płomień, jak otwarta rana, jak sygnał alarmowy. Przyczajony w nadbrzeżnych zaroślach bóbr przyjrzał się pomponowi ze zdumieniem i śledził oddalającą się czerwoną plamę, dopóki była widoczna.

Bardzo sforsowała ciało na tych nartach, bolały ją nogi, ręce, plecy, szyja – wszystko. Zadzwoiła do swojej masażystki Doroty, ale dowiedziała się, że ta pojechała z dziećmi na ferie zimowe do Karpacza. Wzięła środki przeciwbólowe, ale niewiele pomogły. Przypomniała sobie, że kiedyś przychodził do nich młody absolwent AWF-u, niejaki Michał, masował bardzo dobrze, ale nie lubiła go, dziwnie sapał, wydawało jej się, że niby niechący dotyka jej intymnych miejsc. Kiedy zaczęło się to powtarzać, przestała go wzywać i znalazła sobie Dorotę. Ból jednak wciąż dokuczał, więc dała za wygraną i zadzwoniła po niego. Przyjechał bardzo szybko, zdziwiła się, jak zmężniał, wydorosłał. Już nie był nieśmiałym chłopcem o spłoszonym, umykającym spojrzeniu. Zachowywał się spokojnie, profesjonalnie, był już jakby zupełnie inny, swobodnie prowadził uprzejmą konwersację, tamten podniecony, jąkający się chłopak już znikł bez śladu. Zmienił się do tego stopnia, że zaczęła podejrzewać, że może to jest ktoś inny, a korowód twarzy, który przez te kilka lat przesunął się przez jej życie tutaj, był przecież tak długi, że mogło się jej coś pomylić.

Pierwszy masaż był dość przykry, trochę nawet bolesny, chociaż przyniósł ulgę i bardzo pomógł, ale Michał powiedział, że trzeba będzie powtórzyć za dwa dni, może nawet dwa razy. Drugi był jeszcze bardziej skuteczny, bóle i skurcze ustąpiły, więc ustalili, że Marianna sama zadecyduje, czy trzeba zabieg powtórzyć. Minęło parę dni, czuła się świetnie, znowu pobięgała trochę na nartach i tym razem wróciła całkowicie rozluźniona, nie zmęczona, ale poczuła, że cały czas odsuwa od siebie potrzebę kolejnego masażu, jakby jakąś krępującą, niechcianą powinność. Wzdrygnęła się, kiedy coś w jej głowie powiedziało na głos: „Grzeszna pokusa? Obawiamy się grzesznych pokus?”. Aż przystanęła, jakby rzeczywiście zatrzymana tym głosem, i zaczęła w pomieszczeniu zastanawiać się, co się dzieje: pierwszy masaż wymusił ból, a obawy, że Michał będzie zachowywał się niestosownie, zniknęły, drugi był już tylko odprężeniem i znowu nie doszło do niczego przykrego, dlaczego więc teraz zapaliło się jakieś ostrzegawcze światełko, czego się mam obawiać? Jeżeli już nie jego, to kogo? Siebie? I jakiejś pokusy? Nieraz zastanawiała się nad reakcjami ciała,

które jeśli niekierowane rozumem, zachowuje się instynktownie, dotyk innego ciała może być przyjemny albo odpychający w zależności od czegoś, co jest pierwotne, wrodzone, a ciało ślepo tego słucha. I wtedy potrzebna jest kontrola rozumu: „To mogłoby być przyjemne, ale nie wchodzimy w to, to grozi komplikacjami, katastrofą, stop!”. Rozum, jak najlepszy komputer, dokonuje setek błyskawicznych obliczeń i na monitorze wyskakuje wynik: można, albo: nie warto. Z reguły pojawia się wynik: nie warto, ale czasem zdarza się inaczej, zwłaszcza gdy rozum śpi albo został zgłuszony. Czy mój rozum śpi? A przed czym miałby ostrzegać? Czy ja się boję tego, że mnie nie ostrzeże, czy przeciwnie, że mnie może ostrzec? A może już ostrzega?

Seks w życiu Marianny zawsze odgrywał ważną rolę. Przed poznaniem Krzysztofa praktycznie nie miała żadnych doświadczeń ani nawet ukrytych pragnień. W domu to był temat tabu, nigdy nie rozmawiała o tym z matką, nie było mowy o jakimś rodzicielskim uświadamianiu, ojciec i matka zachowywali się tak, jakby nic ich nie łączyło, w najlepszym razie jak brat i siostra, nigdy żadnych otwartych czułości, żadnych gestów, żadnych miłych słów. Kiedy czasem słyszała w nocy jakieś pojękiwania w sypialni rodziców, była przekonana, że matkę boli brzuch, bo często miała z nim kłopoty. W szkole prowadzonej przez siostry zakonne widywała czasem, że dziewczyny z internatu mają jakieś swoje sekrety, szeptały sobie coś do ucha, czerwieniły się i śmiały nienaturalnie, ale ona nie była z internatu, dochodziła „z miasta” i nie była dopuszczana do konfidencji. Zawsze wyglądała na dużo młodszą od swoich rówieśniczek, ubierała się w dziecinne sukienki, nosiła warkoczyki typu „mysie ogonki” i była lekko piegowata, co w rozumieniu jej koleżanek redukowało jej szanse u chłopaków do zera. Nie wiedziały, że spotka na swojej drodze konesera, który jej białą, troszkę piegowatą i jakby lekko napuchniętą i wilgotną cerę uzna za wyjątkowo ponętną. Kiedy poznała Krzysztofa na tańcach w Stodole, już zaczynała się w niej budzić płeć. Miała ogromne powodzenie w tańcach szybkich, żywiołowych, niemal akrobatycznych, które wtedy robiły rewolucję na parkietach całego świata, a więc w swojej istocie aerotycznych, ale czasem, dla odpoczynku grano jakieś wolne kawałki. Wtedy, gdy partner przyciskał ją do siebie, robiło się jej przyjemnie, chociaż szczerze mówiąc, nie wiedziała, dlaczego to jest miłe. Kiedyś, w jakimś rozbawionym towarzystwie ktoś opowiedział kawał: „Ja idąc na tańce, zawsze wkładam do kieszeni kaczan kukurydzy. Tańcząc, przyciskam się mocno do dziewczyny tym kaczanem, więc ona z reguły usuwa się na drugą stronę, na drugie udo, a MY już tam na nią czekamy”.

Wszyscy się roześmiali i może nikt nie zauważył, że Manusia zaczerwieniła się gwałtownie, a już na pewno nie mógł wiedzieć, co jej się przytrafiło: nagle, jakby piorun strzelił, doznała pierwszego w życiu orgazmu. Oczywiście wtedy tak nie mogłaby tego nazwać, nawet nie знаła tego słowa, ale zrobiło jej się gwałtownie dobrze, rozkosznie, błogo. Przeraziła się, że ktoś to zauważył, więc szybko wstała i wyszła do toalety. Przesiedziała w niej kilka minut, wciąż odczuwając tę nową przyjemność, teraz wolno odpływającą i trochę obezwładniającą, na pograniczu senności i słodkiego osłabienia. Gdyby przytrafiło się to jej w domu, na pewno by się położyła i zasnęła. Tu jednak otrząsnęła się i wróciła na parkiet, gdzie na szczęście grali rock'n'rolla.

W nocy, już w łóżku wspomnienie tego fascynującego doznania nie dawało jej spokoju. Ze zdumieniem spostrzegła, że nie znała dotąd swego ciała, że istnieją dotknięcia, które są przyjemne, co więcej – mogą prowadzić do tej przedtem nieznannej rozkoszy. Wprawdzie matka przełożona wiele razy napominała dziewczęta, że diabeł tylko czeka na grzeszne praktyki i spisuje w czarnej, piekielnej księdze wszystkie brudne uczynki, od których zresztą można zachorować także tu, na ziemi, cierpiąc na bóle podbrzusza, pieczenie, upławy, zawroty głowy, niemożność koncentracji, wreszcie nowotwory narządów rodnych i w konsekwencji niepłodność. Wszystko to są skutki ulegania tym pokusom, dlatego czystość myśli, skromność słowa i higiena osobista są najlepszą obroną młodej dziewczyny, a kiedyś młodej matki – mówiła przełożona w świętym uniesieniu, ale Manusia nigdy nie brała tego do siebie, prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiała, o co chodzi. A teraz się zaczęło, czuła się tak, jakby odkryła w sobie jakąś dotąd nieznaną drugą istotę, która zaczyna z nią dialog, zadaje krępujące pytania i domaga się odpowiedzi. Te rozmowy ze sobą prowadziła zazwyczaj przed zaśnięciem, wciąż odkrywając nowe, intrygujące tematy, a także poznając sekrety własnego ciała, które nagle zaczęły się ujawniać i domagać czulej uwagi.

W takim rozedrganiu i rozpaleniu poznała wówczas Krzysztofa. Zaczęli się spotykać, chodzić ze sobą, jak przyjęte było to nazywać, choć oni akurat raczej jeździli jej skuterem, niż chodzili. Na początku pojawienie się w jej życiu Krzysztofa paradoksalnie przyhamowało trochę to rozbudzenie zmysłów. Podobał jej się coraz bardziej, uwielbiała z nim rozmawiać, dyskutować o obejrzanych razem filmach, przeczytanych książkach, ale kiedy zebrała trochę wiadomości o jego przeszłości, posłuchała opinii, jaką miał wśród dziewcząt – łamacza serc i podrywacza – postanowiła, że nie będzie łatwą zdobyczą. Zresztą genetycznie przekazany

kobiecy instynktem wyczuła, że takie piętzenie przeszkód wzmaga jego wolę ich przewyciężenia, jest jakby cierpliwym szlifowaniem diamentu, który staje się coraz cenniejszym klejnotem. Poznali się w czasie wakacji i ona dojrzywała powoli, jak dorodna brzoskwinia na gałązce, nabierając słodyczy i zapachu, a gdy wreszcie u schyłku lata aksamitna skórka owocu pękła, ukazując soczysty miąższ, jednym ruchem zerwał ją z drzewa – była jego.

Teraz dopiero zobaczyła, czym jest seks. Porwały ją fale takiej namiętności, takiego zapamiętania w miłosnych praktykach, jakich nigdy by u siebie nie podejrzewała. Przychodziła prawie codziennie do pokoiku Krzysztofa i natychmiast wciągała go do łóżka, niecierpliwie, zachłannie i zaborczo, od razu doznawała całych serii orgazmów manifestowanych nieskrępowanymi krzykami, spazmami rozkoszy i wręcz wyuzdania. Przerazało to Krzysztofa, bo wiedział, że gospodyni wszystko słyszy, ale ją to tylko podniecało i prowokowało jeszcze głośniejsze zachowania.

– Czego mam się wstydzić, mojej cudownej rozkoszy?! Mojego szczęścia?! Mojej wielkiej miłości?! Niech słyszy, może jej to przypomni słodkie chwile, jeśli je kiedyś miała, chociaż to niemożliwe, nikt nigdy nie miał tego, co ja mam! – szeptała, mówiła, krzyczała, obsypując go pocałunkami.

Czasem jej namiętność przerastała możliwości Krzysztofa, czuł się wymęczony taką aktywnością, ona jednak zawsze potrafiła wskrzesić w nim siłę i ochotę. Wymyślała różne sztuczki, żeby go podniecić. Zdejmowała na schodach majtki, co już samo w sobie ją podniecało, i wchodziła do jego mieszkanek. Całowali się na przywitanie namiętnie, ona zaś chwytiała jego dłoń i wkładała ją sobie pod sukienkę.

– A my tam już na was czekamy... – szeptała mu gorącym oddechem w ucho i ten cytat głupiego dowcipu był dla niej zaklęciem z bajki, które otwiera Szesam.

– A może lepiej: Stoliczku, nakryj się! – próbował obronić się żartem przed takim atakiem żądzy, ale jego palce natrafiały na gorącą, wilgotną, gotową otchłań rozkoszy i dawał się pchnąć na łóżko, a ona niecierpliwie go rozpiniała.

– Stoliczku, odkryj się! – szeptała i rozpoczynała ucztę, jak wygłodzona. Kiedy zaspokoił pierwszy głód i leżeli, odpoczywając jak po sprincie, ona zaczynała opowiadać zmyślane historyjki, aby podgrzać jego ochotę na dalszy ciąg spotkania.

– Wiesz, dzisiaj zobaczyłam, że jacyś technicy od telefonów robią coś w takiej studzience na chodniku przed naszym domem, dwóch fajnych chłopaków, jeden nawet gwizdnął na mnie z podziwem. Postanowiłam zrobić im frajdę, posłam do domu, zdjęłam majtki, podkasałam trochę spódnice i wróciłam do nich. Stałam tuż

nad studzienką i zaczęłam się dopytywać, kiedy naprawią, bo nie mamy sygnału. Jeden, ten fajniejszy, podniósł głowę i zamarł. Zaczął coś nieskładnie odpowiadać, ale cały czas zerkał mi pod sukienkę. Trącił w ramię tego drugiego, który cały czas grzebał w studziencie, i powiedział: „Powiedz pani, kiedy skończysz”. Ten wylał niechętnie, ale kiedy mnie zobaczył, zaniemówił. Już nawet nie udawał, że nie widzi, gapił się cały czas na moją szparkę i purpurowiał w oczach. Wtedy się trochę przestraszyłam, że to może się źle skończyć, i szybko im podziękowałam. Zakręciłam się na pięcie i wróciłam do domu, wyobrażając sobie zresztą, że w tym ruchu moja pupa musiała też im się spodobać. W domu jednak jakoś się zawstydyłam tych wyczynów: z jednej strony chciałam iść do ciebie, bo nie ukrywam, trochę mnie to podnieciło, z drugiej bałam się, że jak wyjdę, zaczepią mnie i Bóg wie, jak to się skończy. Stałam za firanką i patrzyłam, czy kończą. Nagle zadzwonił telefon i to jakoś tak gwałtownie i ostro: „To my, z telefonów, dobrze słyhać?” – zapytał zdławiony głos. Wydało mi się, że ktoś w tle sapie, może ten drugi? Przeraziłam się, że zechcą tu przyjść pod pretekstem sprawdzania linii, więc szybko powiedziałam, że może poproszę ojca. „Nie, nie, nie trzeba” – wycofał się szybko. I dobrze, bo ojca nie było w domu. Nikogo nie było poza mną. Wyczekałam, aż odjechali na tym swoim tandemie, a jeszcze się oglądali i popatrywali na okna...

– Ale ty jesteś wariatka! – powiedział, kręcąc głową z podziwem podszytym lekką zgrozą.

– A kto sprawił, że tak zwariowałam? – zapytała i obsypała go kolejną porcją pocałunków.

Potem dość szybko doszło do małżeństwa. W tamtych czasach jeśli ktoś chciał wziąć ślub w kościele, najpierw musiał zawrzeć ślub cywilny. Oboje młodzi odgrążali się, że do kościoła nie pójdą, ale zwarta ofensywa jednych i drugich rodziców nie dała im szans postawienia na swoim. Wesele, zgodnie z tradycją, urządzili rodzice panny młodej, a że były to pierwsze lata dekady Gierka, to mama Marianny mogła się popisać swoim kunsztem kucharskim. Mama Krzysztofa, subtelna wiolonczelistka, patrzyła zdumiona na ilość i jakość potraw, a ojciec, profesor, z zachwytem degustował wyborne trunki bogatego jubilera, ale chociaż Marianna zrobiła bardzo wiele, żeby trochę unowocześnić dom, chociaż powyrzucała ile mogła mieszczańskich atrybutów, niezliczonych makatek, porcelanowych figurek, kiczowatych obrazów, nie dało się ukryć, że spotkały się dwa światy: zamożnego prywaciarstwa i zubożałej inteligencji. Słowo mezalians nie padło, bo już dawno wyszło z użycia, ale obie strony darzyły się wzajemnie skrętnie

ukrywanym uczuciem politowania.

Pierwsze lata małżeństwa należałoby mierzyć na miesiące, miodowe miesiące fascynacji seksem, który nigdy im się nie nudził. Obie strony wykazywały się zapałem i pomysłowością. Zagustowali w uprawianiu miłości w trudnych, niebezpiecznych okolicznościach. Ikoną ich pamiętnika erotycznego był stosunek w niszy grubych murów zamku krzyżackiego w Malborku, tłumnie odwiedzanego przez wycieczki. Odłączyli się od swojej grupy na odległość głosu, ukryli w cieniu, za załosem muru i zrobili swoje w pozycji „na pieska”, nie roniąc przy tym ani słowa z objaśnień przewodniczki. Dumni też byli z przygody w pociągu, którym jechali na wakacje. On niby czytał książkę, ona leżała z głową na jego kolanach, nakryta płaszczem, jakby spała, w rzeczywistości natomiast wykonywała mu *fellatio*. Zrewanżował się jej za chwilę w toalecie *cunnilingusem*. Wszelkie możliwe perwersje stały się małżeńską normą. Ale właśnie małżeńską – Marianna zdecydowanie odrzucała wszelkie jego pomysły zaproszenia kogoś jeszcze do wspólnej zabawy: dziewczyny, chłopca, pary.

– A co będzie, jeśli ja zagustuję w jakimś zaproszonym panu i z nim odejdę od ciebie? – studziła jego pomysły.

– Cóż, jeśli będziesz z nim szczęśliwa... – odpowiadał wspaniałomyślnie, ale w rzeczywistości czerwone płatki zaczynały mu latać przed oczami i ryczał w duchu jak Otello ze spalonego teatru.

Jacek został poczęty w Bułgarii, na wczasach Orbisu. Naprzeciw ich hotelowej plaży, w odległości może dwustu metrów była mała wysepka z plażą nudystów. Leżeli na ręcznikach, opalając się, ale spod słonecznych okularów cały czas wpatrywali się w brzeg wysepki, po którym chodziły malutkie figurki golasów. Marianna nawet wymogła na Krzysztofie, aby pożyczył na chwilę od siedzącego obok na leżaku Niemca ogromną lornetkę, którą ten godzinami, nie krepując się, podglądał nudystów. Marianna też usiadła do tej czynności i w skupieniu oglądała przechadzających się i biegających plażowiczów, którzy nawet nie wszyscy – jak się okazało – byli nadzy. Krzysztof trochę wstydził się jej zachowania, obrócił się na brzuch i udawał, że czyta gazetę, ale spod oka ją obserwował. Zauważył, że ona się śmieje, nie odrywając lornetki od oczu.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał przez ściśnięte zęby.

– Grają w siatkówkę i te fiutki im się tak dyndają...

Odebrał jej brutalnie lornetkę i oddał ją Niemcowi.

– *Vielen dank!* – wymamrotał ponuro.

Niemiec uśmiechnął się z wyjątkowo denerwującym wyrazem współczucia na ryżej gębie. Krzysztof przełknął zniewagę i szybko ruszył w stronę wypożyczalni pontonów. Wrócił po chwili z obrzydliwym, gumowym nadmuchanym krokodylem o strasznych zębach wyszczerzonych w kretyńskim uśmiechu i zaproponował Mariannie, aby popłynęli na wyspę. Zgodziła się z pośpiechem, który go wkurzył, ale nie powiedział ani słowa. Płynęli, trzymając się krokodyla po obu stronach, albo ona włożyła z lekkim obrzydzeniem na tego paskudnego, jadowicie zielonego gada, a on pchał, młóćąc nogami z mściwą zaciętością. Wylądowali mocno zmęczeni, Marianna natychmiast ściągnęła kostium, wyjęła i usiadła na nim.

– Bardzo słusznie – powiedział złośliwie – bo ci się zapiaszczy. Ale nie musisz tak rozdziawiać nóg!

– Ja rozdziawiam nogi? – zdziwiła się, kryjąc rozbawienie. – Tamta pani rozdziawia, popatrz sobie.

Spojrzał: rzeczywiście, na kocu w czarno-białą szachownicę leżała nasmarowana olejkiem monstrialnie gruba kobieta w pozycji wręcz ginekologicznej, twarz miała zakrytą słomkowym kapeluszem, wydawać się mogło, że śpi. Przechadzający się przyglądali się jej niby od niechcenia, ale gdyby ich spojrzenia były widocznymi liniami wykreślonymi w przestrzeni, wszystkie spotykałyby się w tym jednym, kuriozalnie owłosionym punkcie. Jakaś zgrabna pani, ubrana tylko w ciemne okulary, przykucnęła przy grubasce i dotknęła jej ramienia.

– Proszę pani! Strasznie się pani spieczę, radzę zmienić pozycję. To słońce jest bardzo zdradliwe...

Baba usiadła na kocu i zamrugała nieprzytomnie.

– Dziękuję pani. Zasnęłam.

Marianna żałowała potem, że nie miała ze sobą aparatu, żeby sfotografować Krzysztofa. Stał i patrzył na to widowisko z wyrazem takiego obrzydzenia, jakiego nie miewał nawet w prosektorium, gdy przywieziono mu zwłoki po tygodniu od zgonu. Na dobrą sprawę grubaska powinna wstać i spoliczkować go za taką ostentacyjną recenzję jej wyglądu, bo twarz miała całkiem ładną.

Obok nich przebiegło trzech roślących, dobrze zbudowanych chłopaków, Marianna z uśmiechem pełnej aprobaty odprowadziła wzrokiem ich dorodne, kołyszące się w rytm biegu penisy. Jeden z chłopców krzyknął do Krzysztofa:

– Hej, kolego tekstylny! Ściągamy gacie!

Krzysztof uśmiechnął się krzywo, ale ściągnął mokre slipy. Dość chłodna woda w morzu i późniejsze wydarzenia podziałały skurczowo: jego członek prezentował

się bardzo biednie. We włosy łonowe wplątały się jakieś wodorosty. Usiadł szybko obok Marianny, zmieszany i niezadowolony. Oskarżał ją w myślach, że ona odczuwa podniecenie, że po to tu przypłynęła, a ona tymczasem rozglądała się na lewo i prawo jak dziecko zaprowadzone do zoo.

Do brzegu dobił wielki ponton z hotelu, przywożąc grupę rozdokazywanych jak dzieci Włochów. Wyglądali na proletariuszy, którym komunizująca rada zakładowa z jakiejś Kalabrii fundnęła wczasy w socjalistycznej Bułgarii. Wszyscy byli w podobnym, średnim wieku i wszyscy byli z żonami. Wyskoczyli na piasek, podskakując śmiesznie, bo parzył, i podzielili się na dwie grupy: panie rozłożyły się blisko brzegu i zaczęły się rozbierać, panowie pobiegli za krzaki w głębi plaży. Panie rozbierały się w różnym tempie: szczupłe i młodsze szybko wyskoczyły z ubrań i zaczęły się przechadzać krokiem modelek na wybiegu, tęższe i starsze ociągały się, popatrywały z marnie ukrywaną zawiścią na te pierwsze. Zdążyły się jednak porozbierać, a następnie porozkładać w kuszących w ich przekonaniu pozach, umiejętnie maskując swoje ułomności, nim mężczyźni wyłonili się zza krzaków. A oni wybiegli na plażę uformowani w węża, nonszalanckim krokiem drużyny piłkarskiej wbiegającej na boisko, i ustawili się szeregiem. Pierwszy, który biegnąc, poświstywał cicho na gwizdku, gwizdnął teraz krótko i ostro. Podniósł w górę rękę z zaciśniętą pięścią i wykonał krótki ruch w dół, jak maszynista ciągnący wajchę syreny w starych westernowych parowozach.

– *Forza Italia!* – krzyknęły golaszy unisono.

Krzysztof dopiero teraz zauważył, że jest ich jedenastu i mają piłkę, Marianna za to dokonała szybkiej, ale dokładnej kontroli wizualnej jedenastu włoskich penisów. Prawie wszystkie były małe, zmieszane, jakby pokornie pokurczone ze strachu, niczym ślimaczki pochowane w skorupki. Piłkarze ruszyli biegiem, okrążyli swoje panie, które piszczały, udając przerażenie, ale bystro, chociaż z zaniepokojeniem przyglądając się przebiegającym na wysokości ich oczu kutasikom, zapewne dokonując doraźnych ocen i porównań, i pobiegli na środek plaży, gdzie znajdowało się coś w rodzaju boiska z wytyczonymi za pomocą patyków bramkami. Włosi bezzwłocznie zaczęli trening: podawali sobie piłkę, dryblowali, główkowali. Nagle zza tych samych krzaków, niczym z szatni, wypadła druga drużyna, Niemców lub Holendrów: duże, białe chłopcy, często rude i brodate, wielka różnorodność typów, ale w sumie jakby przeniknięci jednym duchem wojowniczości i siły, podobnie jak ich przyrodzenia, bardzo zróżnicowane w rozmiarach i kształtach, ale zdecydowanie wyrażające pewność siebie i moc. Włoszki z podziwem podszytym obawami

odprowadziły nordyków wzrokiem, Marianna zlustrowała ich penisy okiem marszałka dokonującego przeglądu wojsk.

Z punktu widzenia Marianny mecz był bardzo ciekawym widowiskiem, a jeśli patrzyło się tylko na penisy zawodników, na myśl przywołał ambitny balet w teatrze marionetek: kukły wykonywały podskoki, piruety, szpagaty, jak w kankanie, biegały, przewracały się. Szczególną jej uwagę zwracał jeden z członków (nomen omen) tego corps de ballet: niezwyklej rozmiarów w każdą stronę, czerwonoskóry jak wódz Apaczów, budzący respekt, a u płochych duszyczek zapewne i paniczne przerażenie. Nawet Krzysztof był pod wrażeniem. W pewnej chwili posiadacz tej gigantycznej buławy, broniąc strzału na bramkę, ukląkł, wtedy jego uda i owa pała utworzyły trójnóg.

– Człowiek-statyw – mruknął Krzysztof, próbując ukryć zawiść.

– Krzysiu, ty powinieneś fotografować! – powiedziała, robiąc niewinną minkę. Zaimponowała mu tą ripostą, pochwalił ją gestem wyciągniętego kciuka, jak było to w ich zwyczajach.

– Wiesz – ciągnęła Marianna – nie miałam pojęcia, że istnieje taka różnorodność członków męskich pod względem kształtów i taka rozpiętość rozmiarów...

– Żebyście miały wybór. Do wyboru, do koloru, przecież to najważniejsze... – chciał rzucić ironicznie, ale wypadło żałośnie.

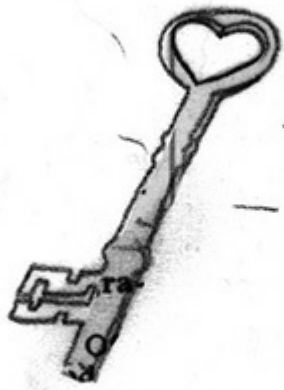
– Najważniejsze? – zdziwiła się naiwnie. – Przecież od tego się nie zaczyna, gdzie tu mowa o wybieraniu?

– Już wy tam macie swoje sposoby – mruknął zły na siebie, że wywołał taki temat. Jak większość mężczyzn, miał kompleks na temat rozmiaru, choć całkowicie nieuzasadniony. Wszyscy snują fantazje i zazdroszczą Murzynom, a ci wstydzą się i cierpią od nadmiaru.

Trafiła się hotelowa motorówka powracająca na ląd i sternik zgodził się ich zabrać, więc przerwali oglądanie meczu, ubrali się i wsiedli na pokład. Uśmiechniętego głupio krokodyla ciągnęli na sznurku za łódką. Wieczorem z zapalem rzucili się do roboty. Tej nocy, pełnej miłości, namiętności, rozwiązłości i wyuzdania, powołali do życia swego pierworodnego syna, Jacka.

Ów film o przeszłości, który przesunął się w kilka minut przez jej mózg, najpierw czarno-biały, potem nabierający barw jak w Technicolorze, a nawet czasami 3D, zaczął powoli blaknąć, kolory zanikały, szarzały, pojawiły się rysy, smugi i plamy. Marianna wyłączyła osobisty projektor w głowie i nalała sobie szklanek wody. Piła wolno i myślała trzeźwo: moje receptory w różnych miejscach ciała zareagowały

rutynowo, dostały sygnał, rozpoznały go i uruchomiły stan gotowości, zapaliły tablicę: GOTOWE. Teraz prezydent mocarstwa zmysłów może sięgnąć po walizeczkę kodów i położyć dłoń na kluczu. Gdy go przekręci, wszystkie rakiety ziemia – powietrze – ziemia zostaną odpalone i rozpęta się wojna nuklearna. Pytanie: kto jest w posiadaniu tej walizeczki?





Jednak nie wezwała już masażysty. Zadzwoiła do niego i podziękowała za skuteczne zabiegi.

– Czuję się świetnie, jak nigdy! – zapewniła, kończąc, i chwilę później wezwała Dorotę, która wróciła z ferii kaszłaca, zachrypnięta, narzekająca na zmęczenie.

– Powinam była zabrać mamę, sama nie jestem w stanie opanować tych szatanów!

Tak jak dotyk masażysty zaprowadził ją w rejony seksu, tak dłonie i gadulstwo Doroty skojarzyło ze sferą domowych, prozaicznych problemów i kłopotów. Słuchała litanii utyskiwań na ciężkie życie, na nieznośne dzieci, na matkę, która je rozpieszcza, na męża, który wraca zmęczony i wyleguje się przed telewizorem. Marianna odpowiadała monosylabami, drzemała albo udawała, że drzemie, ale w jakimś sensie odczuwała, że się odpręża, uspokaja. Zaczęła nawet snuć jakieś plany gospodarcze, na razie w bardzo ograniczonym zakresie: może warto kupić trochę spirytusu, bo ma zdrożeć, a przecież trzeba będzie zrobić nalewkę, bo krzaki porzeczeki chyba nie przemarzły, trzeba zadzwonić do pasieki w Olecku i zamówić zawczasu miód... Ale kiedy Dorota skończyła i Marianna poszła pod prysznic, wszystkie gospodarcze tematy spłynęły do kratki ściekowej. Ubrała się i poszła do biura. Otworzyła komputer i sprawdziła pocztę. Był jeden nowy e-mail. Przeczytała go szybko, a potem jeszcze raz, uważniej:

Szanowni Państwo, a właściwie Marianno i Krzysztofie, bo kiedyś kolegowaliśmy się, chodziliśmy razem na tańce do Hybryd. Maniusiu, to że mną wygrałaś wtedy konkurs rock'n'rolla, miałem ksywkę Henio Wygibus, byłem kumplem Kazia Melomana, mieszkalem z nim w akademiku. Kiedyś przysłałaś do nas po jakąś książkę, a my chcieliśmy Cię upić, ale się nie dałaś, a Kazio się zalał w trupa, pamiętasz?

Marianna poczuła nagle zapach zapoconych skarpetek i rzygowin, który wyniosła z tej wizyty i który ją potem prześladował tygodniami. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem i czytała dalej:

Potem straciliście mnie z oczu, bo wyjechałem do Francji, skończyłem medycynę i zostałem. Ożeniłem się z koleżanką ze studiów, Algierką, czarną, nie mogliśmy mieć dzieci, więc adoptowaliśmy dwójkę, też Algierczyków, i zamieszkaliśmy w małym mieście Cavillon, w Prowansji, gdzie wszyscy uznali, że są to nasze naturalne dzieci. Otworzyliśmy praktykę lekarską: ja choroby wewnętrzne, czyli praktycznie wszystko, Michou pediatrię. Nasze dzieci dawno poszły w świat, mamy już trójkę wnucząt. Jedno z nich jest szarozielone, bo synowa jest Japonką, ale mnie to nigdy nie przeszkadzało, bo jest bardzo fajna i mądra. Ktoś z naszych znajomych był u Was dwa czy trzy lata temu i bardzo chwalił wasz pensjonat,

pomyśleliśmy sobie, dlaczego by nie wypuścić się trochę z naszej dziury. Najchętniej przyjechalibyśmy teraz, żeby Michou zaznała trochę mrozów, które, jak czytam, panują u Was. Co Wy na to? Odpiszcie. Całusy, Henryk i Michelle.

Marianna wpadła w panikę: teraz goście, jeszcze jakaś czarna Arabka, i on, zapamiętany jako głupek, tancerz! O, nie! Nie ma mowy! Odpisała mu natychmiast:

Drogi Henryku, niestety muszę Cię zmartwić: nasz pensjonat w zimie jest zamknięty, otwieramy go dopiero 1 maja, a w tym roku to może w ogóle go nie otworzę, bo Krzysztof zginął w wypadku samochodowym zeszłej jesieni, a ja jestem u córki w Warszawie. Napiszę, jak się wszystko unormuje. Marianna.

PS Naturalnie, że Cię pamiętam, tańczyłeś cudownie. Pozdrów ode mnie Michou.

Kliknęła pośpiesznie, żeby jak najprędzej wysłać odpowiedź. Wydawało się jej, że wciąż ma w nosie ten obrzydliwy zapach męskiego akademika. Poszła do kominkowego i nalała sobie kieliszek koniaku. Zobaczyła, że już niewiele jest w flaszcze.

Kto mi go wypija? – zdziwiła się w myślach.

– Ja sama – odpowiedziała sobie półgłosem i uśmiechnęła się ponuro. Sącząc złoty trunek, myślała z niepokojem o liście upiornego Henia Wygibusy: Czy moja odpowiedź będzie przekonująca? A może on wie, że jestem tu, a nie u Kasi? Dlaczego napisałam, gdzie jestem? Czy nie lepiej było napisać, że poza domem? Za granicą? I dlaczego napisałam, że jestem u córki w Warszawie? A może właśnie powinnam być u niej, może źle znosi ciężę, tak jak pierwszą, może trzeba jej pomóc?

Obiecała sobie zadzwonić do niej wieczorem.

Całe popołudnie popołudnie spędziła na strychu, przeglądała stare dokumenty, stopy niepotrzebnych rachunków trzymany według przepisów przez pięć lat, które minęły dziesięć lat temu, i nie mogła się opędzić od myśli, że szuka czegoś zapomnianego, nieaktualnego, ale w jakiś sposób ważnego, jakby klucza do zamkniętej szuflady, w której nie wiadomo co jest, ale coś jest na pewno. Znalazła tomik *Aforyzmów japońskich* i przeglądała go z roztargnieniem. „Z melancholijnie długiego kształtu spływają jedna za drugą krople deszczu. Wielki i najczarniejszy parasol!”^[3].

Tak. Jestem najczarniejszym parasolem, z którego spływają moje łzy – myślała i zobaczyła siebie z Krzysztofem, biegnących w strugach deszczu 42 ulicą na Manhattanie, roześmianych i zachwyconych, wpadających do prawdziwego, jak z filmu, amerykańskiego baru na drinka, który kosztował majątek: siedem i pół dolara, a mimo to Krzysztof z miną Humphreya Bogarta dał barmanowi banknot

dziesięciodolarowy, gestem zapewnił, że reszty nie trzeba, mrugnął porozumiewawczo i używając swojego supernowojorskiego akcentu, rzucił z westchnieniem: *Anybody who says women are the weaker sex is crazy*^[4]. To miała być aluzja, że niby ja rządzę w naszym związku, i odwołanie się do męskiej solidarności, do mitu barmana, powiernika beznadziejnych tajemnic wszystkich pijaczków świata. Ten tutaj uśmiechnął się tylko i dyskretnie łypnął na mój dekolt, czym zrobił mi przyjemność, bo był ładnym chłopcem.

Rozmyślając tak i rozpamiętując, trochę czytając japońskich autorów, nie wiedząc kiedy, zasnęła z podkulonymi kolanami na starej sofie, dożywającej swoich dni wśród strychowych rupieci. Obudziła ją pani Helenka, delikatnie dotykając ramienia.

– Przyjechał jakiś pan. Chce się widzieć z panią.

– Powiedziała pani, że jestem?

– A miałam mówić, że pani nie ma?

– Nie, nie, oczywiście, w porządku... – odrzekła z roztargnieniem, pełna najgorszych przeczuć.

Zeszły na dół kuchennymi schodami, Marianna zajrzała przez uchylone, boczne drzwi do kominkowego: na brzegu kanapy, jakby onieśmielony, siedział przygarbiony mężczyzna. Twarzy nie widziała, bo był odwrócony do niej plecami, ale jego sylwetka wydawała się tchnąć cierpieniem i rozpaczą. Nie wiadomo skąd, ale od razu wiedziała, że to ten nieszczęsny Henio, z którym wymieniła przed obiadem e-maila. Wróciła do hallu i weszła głównymi drzwiami, poderwał się na jej widok, z lękiem i niepewnością w oczach.

– To właśnie ja, Henryk. Wygibus. Napisałaś...

– Tak. Napisałam, że jestem u córki. Jutro wyjeżdżam...

– Naturalnie. Nie musisz się tłumaczyć. To raczej ja muszę się wytłumaczyć...

Przykro mi z powodu Krzysztofa...

Wymamrotała coś i nie podała mu ręki, gestem wskazała, żeby usiadł. Sama też usiadła i zaraz wstała, niezręcznie wyciągnęła do niego dłoń, którą ucałował też jakoś nieumiejętnie, nerwowo.

– Przepraszam, odczytałem się całować ręce...

– Napijesz się herbaty? Kawy?

– Kawy.

– Może jesteś głodny?

– Zjadłem obiad w Ełku. Bardzo obfity. Podają góry mięsiwa. Ale dobre. Tylko kto tyle może? Dlatego wszyscy tacy spasieni.

– U was mniej się jada?

– Inaczej.

Przyglądała mu się uważnie: był bardzo chudy, może wychudzony, zapadnięte policzki pokrywał dwudniowy, szarosrebrny zarost. Miał na sobie zmechacony, rozciągnięty sweter włożony na gołe ciało i wypchane na kolanach spodnie z grubego sztruksu. Buty też były zniszczone, nieczyszczone chyba miesiącami.

Marianna wstała i wyszła do kuchni. Pani Helenka wciąż tam była. Wymieniły spojrzenia ze znakiem zapytania.

– Kawa.

Pani Helenka zakrzętnęła się bez słowa. Marianna wzięła z kredensu dwa kieliszki do koniaku i ruszyła do salonu. Po drodze zerknęła przez okno: na podwórzu stał zaparkowany samochód Wygibusa, stare, niemal muzealne auto nieistniejącej już dawno francuskiej marki Simca, w kolorze niebieskim, zwanym wiaderkowym. Bardzo pasował do wyglądu i stroju gościa, tak jak i wytarty, wyszmelcowany zamszowy płaszcz z kapturem wiszący w hallu. „A może on jest upiorem, zjawą?” – przemknęło jej przez mózg i poczuła ciarki na plecach. Opanowała się i weszła do salonu: stał przy oknie zapatrzony na jezioro. Zaczynało zmierzchać.

– U nas śnieg jest tylko w górach...

– Napijesz się koniaku?

Odwrocił się.

– Chętnie. O, Camus! U nas bardzo drogi. Chociaż miejscowy...

– A ja się zawsze zastanawiam, czy on ma coś wspólnego z Albertem?

– Z kim? – zamrugał oczami.

– Z pisarzem, Albertem Camus.

– Nie wiem. Nie czytałem...

– Nic, nieważne...

Napełniła oba kieliszki, na dnie butelki zostały resztki. Usiadła w fotelu, pani Helenka wniosła tacę z kawą i jakimiś ciasteczkami. Obsługiwała ich w milczeniu i oni też milczeli, jakby czekali, aż wyjdzie, żeby przy niej nie wyjawiać jakichś tajemnic. Marianna wyczuła niezręczność takiej sytuacji i równie niezręcznie zagadała do pani Helenki:

– A gdzie jest Józek? Jakoś go dziś nie widzę?

– Jak to? Pojechał do Białegostoku. Przecież wysłała go pani po samochód! – zdziwiła się naiwnie pani Helenka, a kiedy po niewczasie zorientowała się, że Marianna mówi to na wyнос, dla gościa, palnęła się dłonią w czoło i skarciła siebie miną, ale jego w ogóle nie zainteresowała ta niema rozmowa. Osłodził sobie kawę i mieszał ją łyżeczką, jakby chciał utrzcć kogel-mogel. Dopiero kiedy pani Helenka wyszła z salonu, niezadowolona, że Marianna zignorowała jej porozumiewawcze spojrzenia, zapytał:

– Musicie robić przeglądy aż w Białymstoku?

– Nie. Naprawiali mi volvo po wypadku. Musieli wymienić cały przód auta. Autoryzowana stacja... Był jeszcze na gwarancji. Miałam auto casco...

Przyjął to w milczeniu, wciąż popijając kawę małymi łyżkami.

– A gdzie jest twoja pani? Michou? Pisałeś...

– Widzisz – przerwał jej – to nie jest takie proste... Pisałem... Bo ja naprawdę chciałem, żebyśmy przyjechali trochę później... Myślałem, że teraz tylko rzucę okiem, nawet nie wejdę, obejrzę tylko okolicę i wrócę do Warszawy... Przeczekałbym u siostry, aż ona dojedzie, może za tydzień, dwa...

– Ona jeszcze praktykuje?

– Nie. To znaczy: tak... Ale nie o to chodzi... – zawahał się i popatrzył na Mariannę bezradnie, jakby prosząco.

– W porządku: mówisz, co chcesz mówić – uniosła kieliszek. – Za spotkanie!

Upił łyżeczek, ale nie podjął toastu. Zamilkł i zapatrzył się w ciemny kąt za kominkiem z taką intensywnością, że odruchowo podążyła za jego wzrokiem. Niczego tam, oczywiście, nie było. Wstała, otworzyła szyber i szybkimi, sprawnymi ruchami wznieciła ogień w kominku. Buchnął skwapliwie, wesołymi płomieniami, które od razu zaczęły tańczyć, jakby się chciały podliznąć.

Gość ocknął się, ale tylko na chwilę, bo zaraz przeniósł wzrok na ogień. Po jego wychudłej twarzy pełgało ciepłe światło, czyniąc ją jeszcze bardziej posępną.

– Widzisz – zaczął z westchnieniem, które miało zwiastować zwierzenia – właściwie prawie się nie znamy. Te głupoty, prawie czterdzieści lat temu... a potem całe życie, inne twoje, inne moje... A teraz ja nagle zwalam się i chce mi się zwierzać, użalać nad sobą, płakać... *Pourquis?* Dlaczego? Z jakiej paki?

Roześmiał się nagle.

– „Z jakiej paki?”! Mówi się tak jeszcze?

– Nie wiem – odpowiedziała bezradnie.

– To znaczy: „z jakiego tytułu”, „co mnie upoważnia do zwierzania się przed tobą?” – wyjaśnił, jak belfer.

– Widocznie wzbudziłam zaufanie – wyrwało się jej niepotrzebnie, bo zaraz sobie uświadomiła, że zabrzmiało to jak zachęta, a tego wcale nie chciała. I rzeczywiście, odebrała to jako zachętę. Pomilczał chwilę i nagle powiedział:

– Michou nie przyjedzie. Odeszła ode mnie. Rok temu. Pojechała do dzieci, do Algierii...

Spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić, jakie to zrobiło na niej wrażenie, ale ona milczała, więc z wzrokiem wbitym w podłogę, jękając się trochę, mówił dalej:

– Byliśmy dobrym małżeństwem... zawsze razem, przez trzydzieści lat... Nie było żadnych burz, żadnych symptomów katastrofy, ani słowa i nagle zniknęła... Zostawiła tylko list, żeby jej nie szukać, że da znać... Czekałem dwa tygodnie, gryzłem palce, żeby nie wyc z rozpacz. Zacząłem szukać, najpierw u nas, w Cavaillon, potem przypomniałem sobie, że kiedyś poznaliśmy w pociągu jakiegoś Algierczyka, przypatrywał się Michou natrętnie, mówił do mnie, a patrzył na nią. Obłeśnie. Chciałem mu od razu dać w mordę, ale Michou to wyczuła i zaczęła czule głaskać mnie po ręce, abym się uspokoił. Mówił, że ma knajpę w Marsylii, w porcie, Papaya się nazywa, zapraszał. Zapamiętałem tę nazwę i nagle przyszło mi do głowy, że Michou pojechała do niego, bo wtedy, w pociągu popatrzyła na niego tak, że wydało mi się, że mówi głośno: „Jestem twoja, kiedy zechcesz”. Dlatego chciałem walić w mordę. Jak sobie to przypomniałem, od razu pojechałem do Marsylii. Łaziłem po porcie i szukałem Papai, nie było takiej. Zapytałem jakiegoś czarnucha, spojrzał na mnie i odpowiedział pytaniem: „A nóż masz? Bez noża tam nie idź, bracie”. Ale drogę wskazał. Rzeczywiście kupiłem nóż, jak ten głupi, działałem jak w transie, jakby mnie prowadziła za rękę jakaś siła. Znalazłem Papayę w jakimś zaułku. Mordownia. Przeszedłem około czwartej i było pusto. Wszedłem cicho, bo byłem w tenisówkach. W kącie jakiś biedak sączył pastis. „Patron?” – zapytałem go szeptem. Wskazał brodą drzwi za zasłoną z paciorków. Podszedłem i spojrzałem przez szparę między koralikami: na środku kuchni stał stół, przy nim siedziała cała rodzina: ten Algierczyk, gruba żona, czwórka dzieci i jakaś staruszka. Jedli w milczeniu, dobierając ryż z miski na środku stołu. Zrobiło mi się głupio, tu biedna rodzina właściciela jakiejś upadającej knajpy, a ja z nożem, w czarnych okularach i białym kapeluszu, jak jakiś bandzior z drugorzędnego filmu. Wycofałem się na palcach, biedak z anyżówką zasalutował mi z kąta jednym palcem. Wróciłem do Cavaillon jak niepyszny, w skrzynce czekał list od niej.

Marianna dołała mu do kieliszka resztkę koniaku i wyciągnęła z barku następną, też Camus. Gość obrzucił ją łakomym spojrzeniem, upił łyczek ze swego kieliszka i mówił dalej:

– Napisała, że jest w Algierii, że już nie może żyć we Francji, że ma dość objawów rasizmu, jawnych i ukrytych, że nie chce jeść francuskich potraw, pić alkoholu, szwargotać po francusku i udawać francuskiej burżujki. Że dojrzała do tego, żeby cieszyć się swoimi wnukami, które kocha nad życie, rozwodziła się nad ich urokiem pół listu, opisywała, jak szyje im ubranka dla lalek, wymieniała imiona tych lalek, piesków i kotków – zupełnie zwariowała! Na końcu, jakby mimochodem, napisała, że w naszym wieku trzeba żyć tylko dla innych, że powinienem to zrozumieć i pogodzić się z rozstaniem. Radziła mi, żebym też wrócił tam, skąd wyszedłem w świat, do Polski, i tu spędził starość...

– Odpisałeś na ten list?

– Natychmiast. Napisałem do niej z pięćdziesiąt listów: prosiłem i groziłem, żądałem i płakałem. Usiłowałem ścigać ją przez adwokata, wynająłem prywatnego detektywa – wrócił z niczym. Wszystkie listy wracały z adnotacją: „Adresat nieznan”, adres nadawczy tego pierwszego, jej jedyne go listu, okazał się adresem jakiegoś kina w Oranie.

– W Oranie?! – niemal wykrzyknęła. – Znowu Camus!

Nie rozumiał, o co jej chodzi, i kontynuował:

– Ten mój, pożał się Boże, detektyw, pojechał do Oranu, rozpytywał, pokazywał jej zdjęcia, zanim zorientował się, że przecież kobiety chodzą tam zakwefione – kretyn! – wykrzyknął to głośno, wzburzony, ale opamiętał się i przeprosił. Machnęła bagatelizująco ręką.

– Kiedy to się stało?

– Dwa lata temu.

– I wciąż ją opłakujesz?

– Wciąż. Jestem już w kraju ponad pół roku. Obrzydziłem życie mojej siostrze, bo niestety zacząłem pić. Z mściwą satysfakcją zacząłem obserwować swoją degrengoladę, podręcznikowy przykład rozwoju choroby alkoholowej. Powinienem był ci odmówić, kiedy mnie poczęstowałaś, i teraz będą problemy, bo za chwilę zacznę bełkotać, a potem stanę się agresywny. Najlepiej będzie, jak zaraz pojedę, za kierownicą wytrzeźwieję. Francuska rejestracja zniechęca polską policję, zresztą zmieniłem nazwisko, już nie jestem Henryk Połeć, jestem teraz Henri Poulléc i udaję, że nie rozumiem po polsku... – mówił coraz szybciej, coraz bardziej plątał mu się

język.

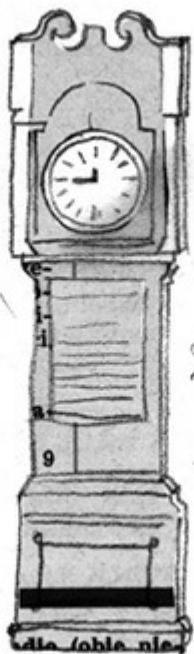
– Nigdzie nie pojedziesz – Marianna wstała, zabrała kieliszki i butelkę. Zadzwoiła po panią Helenkę i z ulgą usłyszała warkot volva na podwórzu. Józek wrócił z Białegostoku, poczuła się bezpieczniej. Gość zresztą wcale nie zaczął bełkotać ani nie stał się agresywny, przeciwnie siedział w milczeniu, może drzemał, za to Mariannie nie zamykały się teraz usta.

– Pani Helenka przygotowuje ci pokój w oficynie, ten z wanną, a Józek cię do niej wsadzi. Dam ci piżamę Krzysztofa, bo nie wiem, czy masz swoją, wykąpiesz się i pójdziesz do łóżka, a jutro...

– Wiesz – przerwał jej gość – tylko się nie obraż – ty masz lepiej. Opłakujesz swoją stratę, ale wiesz, że musisz się z nią pogodzić, bo nic się już nie da zrobić. A ja nigdy się nie pogodzę, zawsze będę się żywił jakąś nadzieją. Durnowatą, naiwną nadzieją... I jeszcze jedno: ty nie masz wyrzutów sumienia, bo nie byłaś przyczyną jego śmierci, ja na pewno zawiniłem, całym moim życiem z nią zawiniłem! Dlatego muszę teraz pokutować, muszę odcierpieć swoje...

[3] Hagiwara Sakutaro, (w:) *Aforyzmy japońskie*, przeł. B. Yonekawa, Warszawa 1983.

[4] Ten kto mówi, że kobiety są słabszą płcią, jest wariatem.



de table nls

W nocy męczyły Mariannę koszmary. Śnił się jej Krzysztof w czarnym ubraniu, tak jak ubrała go do trumny, chodził po ulicach jakiegoś arabskiego miasta (Oranu?), wypalonych białym, oślepiającym słońcem, zupełnie wyludnionych. Przy jego nodze szła Lolka, ich ukochana sunia, którą kiedyś zabił jakiś kretyń, autochton podróżujący *durch Masurenland, durch Heimat...*^[5] srebrnym mercedesem. Nagle Krzysztof podszedł bliżej, zupełnie jakby do kamery, bo zobaczyła jego twarz w dużym zbliżeniu, i otworzył usta. W ich jamie zajaśniało ostre, ksenonowe, jaskrawobiałe światło. Przeraziła się, aż krzyknęła. Zabrzmiało to jak szczeknięcie. A może to Lolka szczeknęła? Krzysztof roześmiał się i wypluł z ust małą latarkę.

– Przestraszyłaś się, maleńka, przecież to zabawka. Zabawka.

Usiadła na łóżku i spojrzała na zegar. Było pół do dziewiątej. Włożyła szlafrok i zeszła do kuchni, żeby wydać jakieś instrukcje pani Helence. Siedziała przy stole, czegoś smutna.

– Pojechał. Przed szóstą pojechał. Zostawił to – podała Mariannie kartkę wyrwaną z zeszytu. Napisane na niej było koślawym pismem tylko jedno słowo: „Przepraszam!”.

Marianna wzruszyła ramionami.

– To i lepiej. Nie będzie kłopotów.

Pani Helenka pokiwała głową.

– Przyjedzie taki, bez dania racji, głowę nazawraca, a potem: „przepraszam”... Westchnęła i wstała ze stołka. – Zje pani płatki?

O dziewiątej zadzwonił doktor W., komendant szpitala wojskowego w Ełku. Zaproponował jej spotkanie w swoim gabinecie. Powiedział, że coś jeszcze zostało po Krzysztofie, jakiś drobiazg, pielęgniarka znalazła, dawno miał zadzwonić. Umówili się na dwunastą. Zdecydowała się pojechać volvem, wyglądało po remoncie jak nowe. Trochę się obawiała, bo nie miała wprawy w prowadzeniu aut z automatyczną skrzynią biegów, ale postanowiła od razu złapać byka za rogi, przede wszystkim żeby nie traktować auta jako sprawcy wypadku, jako stałego przypomnienia tragedii, nie ucłowieczać go. Dzień był słoneczny, asfalt suchy, samochód prowadził się świetnie i znowu przyłapała się na myśli, że nie powinna się tym cieszyć, bo... Swoim zwyczajem powiedziała głośno:

– Hola, panowie! Nie ze mną te numery, Brunner! – Dodała gazu, samochód

przyśpieszył z lekkością wiatru: „Nie dam się!” – dodała już w duchu do siebie.

Doktor pułkownik W. wyszedł po nią osobiście na wartownię, gdzie polecono jej czekać. Dyżurny w stopniu sierżanta poderwał się i stuknął obcasami służbiście.

– Panie komendancie, sierżant...

– Spocznijcie, sierżancie – ostudził go doktor. – Dzień dobry, pani Marianno. Pojedźmy do mnie, bo nie będę pani zapraszał do naszej kafeterii. Widok szarych szlafroków to nie oprawa do rozmowy z panią. Ale możemy zamówić kawę do gabinetu.

– Proszę nie robić sobie kłopotu. Kawę wypijemy u mnie, jeśli wznowimy nasze brydże.

– Z wielką przyjemnością. Muszę pani wyznać, że lepsze od kart były u państwa zawsze poczęstunki. Nasz mecenas gra fatalnie, a ksiądz niewiele lepiej.

Wchodzili już do gabinetu, kiedy nawinęła się młoda, ładna pielęgniarka. Kobiety obrzuciły się uważnymi spojrzeciami.

– Siostró, proszę nam przynieść dwie kawy – powiedział doktor, trochę zbyt oficjalnie.

Pielęgniarka spuściła wzrok i odparła cicho:

– Tak, oczywiście.

Marianna uśmiechnęła się w duchu: od razu rozszyfrowała ich tajny związek, zresztą trudno się dziwić, ona bardzo apetyczna, on bardzo przystojny, no i był szefem, miał władzę, prestiż, najmocniejszy afrodyzjak dla kobiet. Potem pewnie wyswata ją z jakimś ładnym porucznikiem, a ona, przyjmując życzenia ślubne, przy kordialnym pocałunku ugryzie go lekko w ucho. Historia stara jak świat! Przez mózg przeleciała z przykrym szelestem nieprzyjemna historia „romansu” Krzysztofa z doktorantką, stłumionego w zarodku przez Mariannę. A może należało na to pozwolić, udać, że się nie wie, nie domyśla? Dlaczego była taka małostkowa? Dlaczego nie chciała dać mu krótkiego urlopu z małżeństwa? Pozwolić na przelotną przygodę bez konsekwencji? Teraz zrobiłaby dla niego wszystko. A co on by teraz powiedział, słysząc jej myśli? Na pewno to, co mówił, kiedy wątpił w prawdomówność rozmówcy: „Austriackie gadanie!”.

Usiadła przed wielkim biurkiem, komendant za nim, w swoim fotelu, i już sama konfiguracja zmieniła charakter rozmowy: ona stała się petentką, którą on przyjmuje w jakiejś sprawie, ale ton, od którego zaczęli, nie zmienił się. Otworzył szufladę i wyjął coś z niej.

– Salowa przy sprzątanii znalazła to pod łóżkiem. Czy to mogło być pana

Krzysztofa? – Podał jej kieszonkową zapalniczkę.

– Krzysztof nie palił, więc chyba to nie jego. Może ją znalazł i wsadził do kieszeni, chociaż wątpię, on by nawet nie podniósł takiego szkaradzieństwa...

Rzeczywiście zapalniczka była wyjątkowo paskudna, zrobiona z tandetnej blachy z wygrawerowanym nieudolnie wizerunkiem gołej baby, wulgarnie wypiętej. Już samo przypuszczenie, że stanowiła własność Krzysztofa, wydawało się obraźliwe. Doktor wyczuł, że ją to uraziło, i lekko zmieszany szybko zapewnił:

– Ja tak samo, od razu powiedziałem, że to niemożliwe, ale woleliśmy sprawdzić... Zresztą, szczerze mówiąc, ta zapalniczka to trochę pretekst. Chciałem się z panią spotkać, żeby porozmawiać w innej sprawie, dużo poważniejszej...

Energicznie zapukano do drzwi i weszła pielęgniarka, niosąc tacę. O dziwo, kawa nie była w papierowych kubkach, lecz w ładnej porcelanie. Pielęgniarka sprawnie rozstawiła filiżanki, dzbanek i cukiernicę, znalazła się nawet paterka z keksami.

– Dziękujemy, siostró – powiedział doktor. Dziewczyna kiwnęła głową i wyszła z opuszczonym wzrokiem. Doktor nalał kawę do filiżanek, podsunął cukiernicę, celebrował te czynności, jakby chciał odwlec początek rozmowy, w końcu usiadł i zaczął mówić: – Pani Marianno, mogła się pani tego nie dowiedzieć, bo niczego ta wiadomość nie zmieni, niestety... To jest właśnie w naszym zawodzie okropne, a może przeciwnie – wspaniałe, że my jesteśmy w stanie wygrać potyczki, bitwy, nawet kampanie, ale wojny ze śmiercią nie wygramy nigdy, ona zawsze, prędzej czy później triumfuje. Powiedziałem, że to jest okropne, ta świadomość, że musimy przegrać, jest przygnębiająca, co jest wobec tego wspaniałe? Wspaniałe jest to, że wciąż walczymy, że się nie poddajemy i czasem udaje nam się odwlec chwilę kłęski. Otóż, pani Marianno, w naszym szpitalu obowiązują pewne procedury i regulaminy. W każdym szpitalu są jakieś regulaminy, ale, jak pani wie, my jesteśmy szpitalem wojskowym, a nasza armia jest częścią struktur NATO, stąd inne standardy i inne przepisy. Otóż przy pewnego typu zgonach mamy obowiązek dokonać sekcji zwłok. Normalnie wymagana jest zgoda członków rodziny, ale nas te wymagania nie obowiązują, czy rodzina się zgadza, czy nie, my musimy tę sekcję wykonać...

Marianna żachnęła się, jakby chciała zaprotestować, w końcu jednak nic nie powiedziała.

Doktor mówił dalej.

– W związku z tym nie mamy też obowiązku informować rodziny ani o sekcji, ani tym bardziej o jej wyniku, chyba że ten wynik wskazuje na jakieś działania kryminalne, ale wtedy w pierwszej kolejności dowiaduje się policja, prokuratura

i tak dalej. Myślę, że zasada nieujawniania rodzinie faktu sekcji ma swój sens. Bliscy przeważnie źle reagują na takie wiadomości, nie wiem, może wydaje im się, że to jest profanacja... Przepuszczam, że źródeł takiej postawy należy szukać w religii, a może jeszcze gdzieś głębiej, w jakichś pierwotnych atawizmach? A zatem, jak pani wie, nie powiadomiliśmy pani o sekcji, ale to, że nie musimy, nie oznacza, że nam nie wolno. Jest to pozostawione do naszej decyzji w indywidualnych przypadkach. Otóż, pani Marianno, ja podjąłem taką decyzję, żeby pani o tym powiedzieć, bo pomyślałem sobie, że to, co teraz powiem, może być dla pani ulgą i pocieszeniem.

Marianna spojrzała na niego zdumiona, ale nie zdążyła nawet otworzyć ust, kiedy on zapytał:

– Czy pan Krzysztof w ostatnim czasie leczył się na jakąś chorobę?

– Od lat cierpiał na cukrzycę typu drugiego, ale o dość lekkim przebiegu. Zążywał regularnie tabletki, chyba amaryl i glucophage, i unikał słodczy, ale u lekarza nie był co najmniej od roku.

– A skarżył się na jakieś bóle? Niedyspozycje?

– Prawie nigdy. On był typem desymulanta, zawsze udawał, że nic mu nie jest, nawet jak leżał z gorączką i ciężką grypą. Mówił, że choroby należy ignorować. Jak pan wie, miał doktorat z medycyny, ale nie praktykował, poświęcił się pracy naukowej. Może dlatego sam sobie stawiał diagnozy i sam się leczył.

– Pani Marianno, pan Krzysztof miał przed sobą może parę miesięcy życia. Nie wiem, czy zdawał sobie z tego sprawę, może wykonał jakieś badania i wiedział, ale nie chciał, aby pani o tym wiedziała, może już cierpiał bóle, ale stosował środki przeciwbólowe w tajemnicy przed panią. Jego trzustka była zaatakowana nowotworem i to jednym z najgorszych. Pojawiły się przerzuty do żołądka i do płuc. To było nieuleczalne. Ta nagła śmierć oszczędziła mu wielkich cierpień, oszczędziła ich także pani i wszystkim bliskim, bo cierpienia tych, co patrzą na beznadziejną walkę z chorobą i wiedzą, że nie mogą w żaden sposób pomóc, te wszystkie pocieszenia, naiwne kłamstwa, udawanie optymizmu, podtrzymywanie nadziei, wbrew faktom, to pasmo rozpacz. To, co przeżywają najbliżsi umierającego, jest nieraz cierpieniem większym od cierpień i bólów chorego...

Marianna siedziała nieruchomo, całkowicie porażona tą wiadomością. Nie mówiła nic, kręciła tylko głową z gorzkim zdumieniem. Doktor wstał z fotela, nalał do szklanki wody mineralnej z butelki i podał jej. Napiła się trochę i powiedziała cicho:

– Mój Boże, mój Boże...

– Jak pani ochłonie, przemyśli to wszystko, na pewno będzie pani lżej...

Potrząsnęła głową, szybko, krótko, kilka razy. Ten ruch ją jakoś postarzał, bo był odwiecznym gestem kobiet, które rozumiały, że stało się coś nieodwracalnego i one muszą to zaakceptować, wyrazić zgodę, wbrew sobie, wbrew rozzdzierającym krzykom krwawiącego serca. Wstała i podała mu rękę.

– Dziękuję – powiedziała bardzo cicho. Pochylił głowę z wyrazem szacunku i współczucia.

Wracała do domu pozornie spokojnie, uważnie prowadząc samochód, ale w głowie miała zamęt, myśli przewalały się tam i z powrotem, jak sprzęty na statku w czasie sztormu. „Co on mówi o cierpieniach, jakie mnie czekały?! Czy cierpiałabym bardziej niż teraz? Walczyłabym o każdy dzień, cieszyłabym się każdą minutą wydartą śmierci, kołabym jego bóle wszystkimi możliwymi sposobami, ale by żył, żył! Ale może to byłby egoizm, okrucieństwo? Może on modliłby się o śmierć, o wyzwolenie, bo cierpienie byłoby nie do zniesienia? Może wegetowałby jak roślina, miesiącami, latami i wszyscy marzyliby, żeby nas uwolnił od wyrzutów sumienia, bo przecież zdrowi mają zawsze poczucie winy wobec chorych”...

Spostrzegła, że określenie „bić się z myślami” jest trafne, rzeczywiście toczyła walkę z nawałnicą myśli i czuła, że jej próby zrationalizowania problemu skazane są na porażkę: nigdy nie rozstrzygnie, co byłoby lepsze dla Krzysztofa, co byłoby lepsze dla niej...

– Dla nas – poprawiła się szeptem.

Przecież my wszyscy, rodzina, przyjaciele, płaczemy po Krzysztofie, a ja zawłaszczam nawet żalobę. Buduję w sobie wielką kaplicę cmentarną, zamykam się w niej z moim bólem i siedzę sama, zmarznięta, zaryglowana od środka. Ale oni nie dobijają się przecież do tych zamkniętych wrót, już chyba zapomnieli, już wciągnął ich wir codzienności, troski, przyjemności, życie. Trudno się dziwić, tak musi być. Pewnie cały czas potrzebowałam kogoś przy sobie, żeby pomógł mi przezwyciężyć rozpacz, ale konsekwentnie odrzucałam wyciągnięte ręce. A teraz? Chociażby dzisiaj? Z jednej strony uważam, że to musi pozostać tajemnicą, moją i szpitala, bo przecież nikomu innemu nie powiem, z drugiej odczuwam wielką potrzebę zwierzeń, podzielenia się tą wiedzą z kimś bliskim. Ale z kim?

Wjechała na dziedziniec i postawiła samochód pod domem. Może po obiedzie gdzieś jeszcze pojedzie? Ale gdzie?

Pani Helenka czekała już z obiadem, ale Marianna odmówiła. Powiedziała, że zje obiad na kolację, bo teraz nie ma apetytu. Pani Helenka przyjrzała się jej uważnie.

– Oj, pewnie jakąś wiadomość pani dostała nieprzyjemną. Nie zadzwonił aby ten wczorajszy gość, że wraca?

– Nie, nie! Na szczęście nie...

– A wie pani, że jak on rano wyszedł z oficyny na parking, to psy się od razu zbudziły i ten głupi Czarny zaczął szczekać, że może pójdą na pola, ale ten paniny gość pewnie się przestraszył i szybko wskoczył do swego auta. Ja patrzyłam na to zza firanki, a Józek jeszcze spał, ale jak ten gość odpalił motor, to mu tak w rurze strzeliło, że psy uciekły do budy, a Józek zbudził się i zapytał: „Mamusia, co jest? Polowanie?”.

Marianna uśmiechnęła się blado.

– Pani Helenko, pani mnie już zna jak zły szeląg i chce mnie pani rozweselić, ale dzisiaj będzie to trudne. W szpitalu byłam.

– O Matko Boska, źle się pani czuje?!

Marianna potrząsnęła głową i nagle poczuła, że musi natychmiast wszystko z siebie wyrzucić, inaczej nie zazna spokoju albo co gorsza zrobi jakieś głupstwo, zadzwoni do dzieci, im wszystko wypaple, a niejasno czuła, że powinna im oszczędzić tej wiadomości, przynajmniej na razie. Usiadła przy kuchennym stole i powiedziała z westchnieniem:

– Mąż był śmiertelnie chory na raka. Umarłby w ciężkich męczarniach, w parę miesięcy.

Pani Helenka pobladła i opadła na krzesło.

– Boże Świąty! Skąd pani to wie?

– Powiedział mi ordynator.

– Pan Krzysztof leczył się u niego?

– Nie. Zrobili mu sekcję. Rak trzustki, z przerzutami. Musiał to mieć już co najmniej od roku. Pewnie leczył się sam, po cichu, w tajemnicy przede mną.

– Ale nigdy przecież nic nie mówił!

– Taki on był, wszystko dusił w sobie. Zwłaszcza do choroby nie przyznałby się za nic...

– Jak też to ukrywał? Przecież musiał mieć bóleści!

– Może łykał po kryjomu jakieś proszki? Ale ja przejrzałam jego apteczkę i tam były tylko te leki, które zażywał od lat, na cukrzycę, może jeszcze jakaś aspiryna...

– Ja kiedyś weszłam do jadalni zebrać naczynia po śniadaniu i zobaczyłam, że pan Krzysztof robi sobie zastrzyk. Powiedział, że mu cukier skoczył, ale jakby się

trochę zmieszał i poprosił, żebym pani o tym nie mówiła, bo mu pani zrobi rewizję i znajdzie czekoladki, które czasem podjada, bo musi, jak mu cukier spada. Nawet żem go trochę skrzyczała, że jak tak, to moich deserów nie chce jeść, a czekoladkami się opycha...

– On naprawdę miał skoki tego cukru, a to jak nagle spadnie, to trzeba szybko zjeść coś słodkiego...

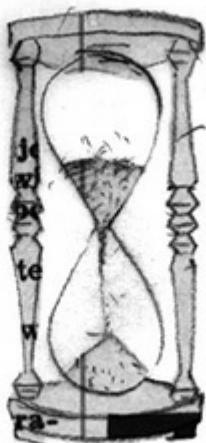
Pani Helenka potrząsnęła głową na znak, że ona się w tym nigdy nie połapie.

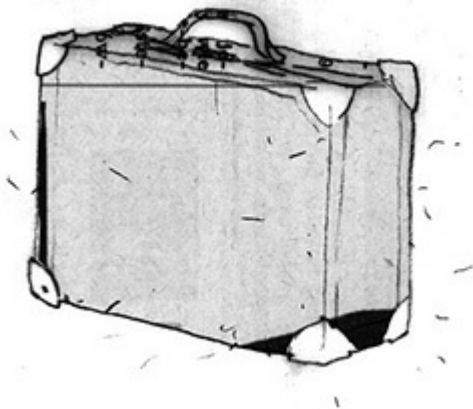
– Powiem pani, że tak naprawdę to te doktory, nie obrażając świętej pamięci pana Krzysztofa, nic nie wiedzą. Mówią raz tak, raz tak, sami sobie nie wierzą. A bo to człowiek wyzna się kiedyś na sobie samym. I to jest wielka mądrość natury, trzyma to przed nami w sekrecie. Jakbyśmy wszystko zawczasu wiedzieli, na przykład kiedy umrzemy, dokładnie, co do minuty, to byśmy zwariowali z rok wcześniej co najmniej, a z nami wszyscy nasi bliscy. Wyobraża pani to sobie, w każdym domu wisiałyby na ścianie kalendarz: babcia – siódmy czerwca 2012, dziadek – dwunasty października 2013, wujek Miecio... – Urwała z wielkim westchnieniem i zamilkła.

Siedziały w milczeniu i patrzyły zamyślane przez okna kuchni na podwórze. Zachodzące słońce wyraziście oświetliło szczytową ścianę oficyny, jakby na jej tle miał się rozegrać finał jakiejś sztuki, a może tylko kolejnego jej aktu. Każda cegła, każdy kamień błyszczały w pomarańczowym świetle jak klejnoty, w szybach odbijało się zamrożone jezioro. Pani Helenka westchnęła kolejny raz tego wieczoru i podsumowała swoje myśli:

– No, to pan Krzysztof miał szczęście: Pan Bóg uzalił się nad nim i oszczędził mu cierpienia, pewnie strasznych cierpienia, bo rak w trzewiach to jest, proszę pani, piekło na ziemi. Niech mu ziemia lekką będzie!

Przeżegnała się i pokiwała głową z pokorą. Marianna spojrzała na panią Helenkę: nie sądziła, że stanie się ona kiedyś jej powiernicą, pocieszycielką, dającą na co dzień przykłady rozsądku i spokoju, wprowadzającą w zwykłe, codzienne życie ład i porządek. Samo patrzeć na nią, obserwowanie jej, gdy porusza się po kuchni, jej racjonalnego postępowania, jej oszczędnych gestów przynosiło Mariannie ulgę w cierpieniu, wytrącało ją ze smutku i rozpacz.





Przyjechali Nowińscy, January i Alusia. Po wyjeździe z Warszawy na Mazury to z nimi Marianna i Krzysztof utrzymywali najżywsze kontakty. Euzebiusz i Maryla też zbudowali sobie dom na wsi, ale na drugim końcu Warmii, gdzie było im tu dalej niż do Warszawy, Waclaw i Grażyna nie bardzo lubili jeździć samochodem i pojawili się może dwa razy przez te kilkanaście już lat, a Ludwik podróżował po świecie, rozchwytywany przez największe sceny operowe świata, od wiedeńskiego Burgtheater po nowojorską Metropolitan, co skończyło się rozpadem najpierw jego małżeństwa, a wkrótce ich dawnej żoliborskiej paczki.

January zadzwonił i bez ceregieli zapytał, czy mogą przyjechać. Marianna się ucieszyła – będzie mogła porozmawiać z nim poważnie o domniemanej chorobie nowotworowej Krzysztofa i poplotkować trochę z Alusią.

Po kolacji, w którą pani Helenka włożyła całe swoje uwielbienie dla doktora Januarego, bo on zawsze poświęcał jej wiele uwagi, badał, ordynował leki, siedli z kieliszkami *digestivo* przy kominku. Wspominali z rozrzewnieniem ostatnie wakacje na Krecie, gdzie najchętniej jeździli do ulubionego hotelu, od lat oferowanego przez jedno z największych niemieckich biur podróży. Właściwie była to cała wioska luksusowych bungalowów rozrzuconych malowniczo po skałach zatoki, niektóre miały prywatne baseny, inne dostęp do kilku większych, położonych przy piaszczystej plaży rozciągającej się wzdłuż wybrzeża. W centralnym budynku mieściły się jadalnie, bary i salony. Pierwszy raz pojechali tam z zamiarem podglądania organizacji usług urlopowych, aby czegoś się nauczyć i spożytkować to u siebie, później zorientowali się, że przypadkowo odkryli ideał: położony na uboczu, z dala od większych miejscowości, mimo ogromnego terenu kameralny, spokojny i cichy. No i nie było tam prawie nigdy Polaków ani Niemców, dwóch nacji potrafiących zepsuć każde wakacje, a ponieważ jeździli tam albo na początku sezonu, czyli w ostatnich dniach kwietnia, albo na końcu, czyli na przełomie września i października, to i dzieci napotykali niewiele. Dla urozmaicenia chodzili do pobliskiego miasteczka rybackiego, z miniaturową cerkiewką, ryneczkiem wielkości boiska do siatkówki i cudowną knajpką w porcie. Właściciel nazywał się Sokrates i rzeczywiście był wielkim filozofem prowadzenia swego maleńkiego interesu. „Ludzi trzeba przyciągnąć dobrym jedzeniem i czystością – mawiał – muszą widzieć, jak się je przyrządza, dlatego moja kuchnia jest otwarta na salę. No i towar musi być najlepszej jakości. Ci, którzy oszczędzają na tym, daleko nie zajadą!”. On,

biedaczysko, też zbyt daleko nie zajechał, dochody z małej tawerny i kilku pokoików do wynajęcia na pięterku musiały starczać na drugą połowę roku, kiedy tu nikt nie przyjeżdżał, ale w sezonie uwijał się przy swoim grillu, piekł ogromne ryby świeżo złowione przez sąsiada rybaka, delikatne udźce jagniąt, które jeszcze wczoraj pasły się na okolicznych skałach, i cały czas, szeroko uśmiechnięty, zabawiał swych gości w przedziwnej mowie grecko-włosko-francusko-niemiecko-angielskiej. Chodzili do niego na te przysmaki, rezygnując z zapłaconej kolacji w hotelu, bo zawsze, niepotrzebnie, brali opcję *all inclusive*.

Po leniwym dniu spędzonym na plaży wieczory u Sokratesa były ożywiające dla ciała i ducha. Poznali kiedyś parę Anglików, niemłode już małżeństwo, które spędzało tu co roku całe lato. Mary Beth była malarką, Stephen historykiem, specjalistą od starożytności, a szczególnie od kultury minojskiej. O jego wiedzy i fascynacji Kretą przekonali się, gdy pojechali z nimi zwiedzać ruiny pałacu Minosa w Knossos. Stephen opowiadał tak o życiu jego mieszkańców, jakby niegdyś sam do nich należał. Krzysztof mu to powiedział, Stephen się roześmiał.

– Tak, byłem tu kiedyś, w młodości. Miałem dwadzieścia lat i odpierałem z moim oddziałem zaciekłe ataki niemieckich spadochroniarzy, którzy w końcu wywalili nas z Krety.

Krzysztof popatrzył na niego zdumiony.

– Czekał, czekaj, w którym roku to było?

– W czterdziestym pierwszym – odrzekł spokojnie Anglik.

– Człowieku, ja się urodziłem w czterdziestym pierwszym, myślałem, że jesteśmy równolatkami, a ty przekroczyłeś osiemdziesiątkę! Nie do wiary!

– To u nich rodzinne, ja też się dałam na to nabrać! – powiedziała Mary Beth, która była o dobre trzydzieści lat młodsza od męża.

– Widzisz, ja jestem z natury leniwy, nigdy się nie przemęczałem, więc się mało zużyłem. Ten gość – wskazał na popiersie sir Arthura Evansa, brytyjskiego archeologa, odkrywcy pałacu w Knossos, stojące przy wejściu na teren wykopalisk – był w przeciwieństwie do mnie bardzo pracowity. On to wszystko odkopał, skatalogował i opisał w parę lat, a mimo to dożył dziewięćdziesiątki. Umarł dokładnie wtedy, gdy ja tu walczyłem, w czterdziestym pierwszym. Kiedy po wojnie zacząłem studiować w Oksfordzie i dowiedziałem się o tym, postanowiłem, że tu pojedę, i tak się to zaczęło...

Spotykali się z tą parą u Sokratesa i prowadzili bardzo interesujące, inspirujące rozmowy. Tamci byli *very British*, świetnie wychowani, zawsze taktownie i cierpliwie

poprawiali błędy ich angielszczyzny, szczególnie Marianny, której obce języki nie były mocną stroną, czym się jednak wcale nie przejmowała i brawurowo poczyniała sobie z mową Szekspira.

Krzysztof lubił droczyć się z Januarem, który miał naturę owczarka, psa pasterskiego. W grupie zawsze wyznaczał sobie rolę przewodnika i opiekuna stada, który zagania je, aby mieć wszystkich na oku. Gdy zwiedzali jakieś muzeum, Krzysztof zawsze wpuszczał Januarego w maliny, specjalnie ociągał się, zatrzymywał przy jakimś eksponacie dłużej niż inni i January stawał przed dylematem: iść za grupą czy czekać na Krzysztofa? Nasyciwszy swoje quasi-sadystyczne instynkty, Krzysztof w końcu wychodził zza jakiejś rzeźby i szeroko opisywał wrażenia, jakich mu dostarczyło to dzieło sztuki. Potrafił tak barwnie opowiadać o zarysie łuków brwiowych u jakiejś antycznej główki, że January zawracał, aby to zobaczyć, ale robił to w pośpiechu, martwiąc się o losy czoła grupy, które zdążyło się już znacznie oddalić. Kiedy potem, zaśmiewając się, Krzysztof opowiadał o tym Mariannie, ona była zdania, że January doskonale wie o tych prowokacjach i wielkodusznie je toleruje, żeby dać przyjacielowi nacieszyć się niewinnymi w końcu figlami.

– Pokazałeś Mariannie medal? – zapytała Alusia.

– Jaki medal? – zainteresowała się Marianna.

– January dostał od biskupa złoty medal papieski. W podziękowaniu za wyleczenie go z poważnej choroby tarczycy. No, pokaż go!

– A gdzie on jest?

– Ja mam wiedzieć?! Przecież go miałeś zabrać.

– Myślałem, że ty go zabierzesz.

– Przecież to twój medal.

– Tak, ale ty go ciągle pokazujesz, komu się da.

Alusia pokręciła głową, westchnęła i spojrzała na Mariannę porozumiewawczo.

– Cały on! Przecież to ty pokazywałeś go księdzu, jak przyszedł po kolędzie. Żebyście widzieli minę tego księdza, o mało nie stanął na baczność. A przedtem zawsze fukał, że nie ma nigdzie krzyża na ścianie. Co roku zaczynał od reprimendy, że żyjemy w grzechu, bez ślubu kościelnego, ale co, my mamy teraz zabiegać w Watykanie o nasze rozwody sprzed czterdziestu lat? Zresztą ja jestem wdową, bo mój pierwszy zmarł niedawno. No, ale teraz już będziemy mieli spokój, nasz księżulo zaproponował taką formułę: żyjemy pod jednym dachem, jak brat z siostrą...

– Rzeczywiście: salomonowe rozwiązanie! – skwitowała Marianna i machnęła

ręką na znak, że nie warto o to kruszyć kopii. Podrzuciła parę polan do ognia, dołała do kieliszków trunku i powiedziała: – Nawet nie macie pojęcia, jak się cieszę, że przyjechaliście. Jutro pójdziemy na długi spacer na nartach, jeżeli będzie takie słońce, jak dzisiaj, trzeba się będzie nasmarować kremem z filtrem. Mam zapasy jeszcze z lata.

– My też przywieźliśmy – powiedziała Alusia. – Pamiętasz, jak January spiekł się na raka w zeszłym roku?

– Ja lepiej pamiętam chłódnik z szyjkami raków, który podawałaś kilka lat temu.

– Niestety raki wyginęły, przynajmniej w naszym jeziorze... – westchnęła Marianna. Chciała zacząć rozmowę na temat domniemanej choroby Krzysztofa, ale przypomniała sobie głupawy dowcip okulistki Kasi o raku w stawie i powstrzymała się, żeby uniknąć bezpośrednich skojarzeń, dopiero po jakiejś sekwencji neutralnych tematów zagaiła:

– Ucieszyłam się z waszego przyjazdu jeszcze z innego powodu: czy wiecie, że Krzysztofowi zrobiono po śmierci sekcję? – zapytała znienacka, a potem opowiedziała dokładnie o tym, co powiedział pułkownik W.

January się zasępił.

– A ja nalegałem od wielu miesięcy, żeby zrobił sobie regularny *checking*. Chciałem go położyć u mnie na dobę, zrobić mu USG, EKG, lipidogram i tak dalej, ale żeby było aż tak źle, to nie podejrzewałem. Chociaż, czekajcie... – zastanowił się. – Jakies pół roku temu poprosił mnie o papawerinę w zastrzykach dla jakiegoś notariusza, waszego znajomego z okolicy. Mówił, że jego lekarz wyjechał do Ameryki, a zastępca nie chce zapisać i ten chory cierpi, bo inne środki antybólone nie działają, więc mu dałem kilka recept na zapas. Może to było dla niego? Zadzwoń jutro do tego ordynatora, poznałem go kiedyś u was, porządny gość...

Nazajutrz poszli na narty, wielka tafla jeziora zamieniła się w śnieżny bezkresny step, przez który brnęli z uporem godnym lepszej sprawy: trójka podstarzałych mieszczuchów, żywiących naiwne złudzenia, że wysiłek dobrze im zrobi, wróci zdrowie i siły, że znów będą młodzi i szczęśliwi – tylko po co ukradkiem spoglądali na zegarki i zatrzymywali się, niby poprawić wiązania, a naprawdę aby dać bolącym nogom chwilę odpoczynku?!

Po powrocie January, pełen dobrej woli, zadzwonił do pułkownika, ale okazało się, że ten pojechał na szkolenie do Waszyngtonu i wróci dopiero za miesiąc.

– Jeżeli tak było, jak ci powiedział, a nie mam powodu wątpić, że to nieprawda, to rzeczywiście było to dla niego szczęście w nieszczęściu... A ty, droga Marianno,

powinnaś dziękować Bogu, że tak się to wszystko ułożyło i teraz będzie ci łatwiej pogodzić się ze stratą... – powiedział January, kiedy w niedzielę odjeżdżali do Warszawy.

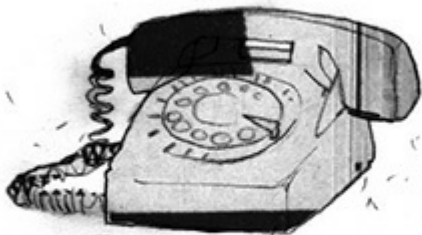
– Niedługo nadejdzie wiosna, otworzysz pensjonat, dasz się wciągnąć w wir obowiązków i nie będziesz miała czasu na traumę – dorzuciła dość brutalnie Alusia, całując Mariannę.

Marianna patrzyła za znikającym w alei samochodem i machała na pożegnanie odwiecznym obyczajem, jednym z tych, które warto jeszcze pielęgnować. Czuła pewien niedosyt, myślała, że January powie jej więcej o ukrytej chorobie Krzysztofa, potwierdzi lub zaprzeczy zdaniu pułkownika o nieuchronnych cierpieniach chorego i ich wszystkich, o zamierzonym czy przypadkowym dobrodziejstwie losu, ale po zastanowieniu musiała się przyznać sama przed sobą, że w głębi serca już uwierzyła, że tak było naprawdę i że tak lepiej. Dla Krzysztofa, dla niej, dla wszystkich.

Wieczorem zadzwonił Jacek.

– Mamo, ratuj! Mam problem. Czy mogę do ciebie przyjechać?

Przeraził ją jego głos: spanikowany, rozpaczliwy. Nie chciał powiedzieć więcej, to rozmowa nie na telefon, nie pozostało jej nic innego, jak się zgodzić. Jedyne, co wymogła, to żeby nie jechał nocą, żeby wstał raz wcześniej i przyjechał jutro rano. Od czasu, kiedy rozwiódł się z Izą, myślała o nim z troską każdego dnia, wciąż bojąc się, że pozostawiony samemu sobie popadnie w jakieś tarapaty. Poważnie zastanawiała się, czy powinna wrócić do Warszawy i roztoczyć nad nim opiekę, ale zdawała sobie sprawę, że stworzyłaby mu wielki problem towarzyski i osobisty, więc zaniechała pomysłu.



Powitanie nie wypadło najlepiej.

– Zrozumiałem, dlaczego nie chciałaś, żebym przyjechał wczoraj: ktoś musiał wyjechać rano... – Głupio puścił do niej oko.

Oburzyło ją to.

– Dobrze, że znałam poczucie humoru twojego ojca, które po nim dziedziczyście, inaczej dostałbyś po buzi.

– Ależ mamusiu... – Objął ją i pocałował przeprasząco. – Przecież zawsze chodzi o ten błysk, o to trafienie żartem w ułamku sekundy, wtedy każdy idiotyzm, każda impertynencja są śmieszne. Późniejsza analiza na ogół obnaża nędzę i głupotę takich wybryków inteligencji. Mamy w rodzinie zdecydowanie za wysokie IQ.

Rozbroił ją tym od razu, odsunęła go na odległość ramion i przyjrzała mu się bacznie. Wyglądał marnie: przekrwione białka i wory pod oczami, szara cera, zapadnięte policzki, ale co gorsza, dodawało mu to uroku, jego amancka uroda stawała się dzięki temu bardziej interesująca. Czy był podobny do młodego Krzysztofa? – zastanowiła się. I tak, i nie. Mieli wiele wspólnych cech, ale w sumie Jacek był jakby jego poprawioną wersją: o głowę wyższy, bardziej męski, miał jakiś autentyczny wdzięk, którym podbijał otoczenie, zwłaszcza kobiety. Myśląc o tym, odkryła, że to co miał po niej, zarys podbródka, kształt uszu, ją denerwuje, nie podoba się jej u niego, tak jak nie lubiła tego u siebie. Oceniała to okiem zawodowym: ona, jako plastyczka, inaczej narysowałyby te szczegóły.

– Gdzieś się tak łajdaczył? Nowa flama czy karty?

– Niestety karty.

– Znowu wróciły?

– Tym razem żaden poker, żaden hazard. Porządny, sportowy brydż. Urządziliśmy turniej, graliśmy od popołudnia w piątek do niedzieli rano. Non stop czterdzieści godzin.

– I co? Zgrałeś się do nitki? Bo chyba graliście o pieniądze?

– Inaczej nie ma sensu. Ale nie zgrałem się, przeciwnie, wygrałem. Pięć i pół tysiąca, żadne pieniądze...

– Więc ten twój problem to nie są długi? Karciane?

– I tak, i nie. Ale to wymaga wstępu, a przede wszystkim śniadania. I jeszcze przed tym prysznic. Gdzie mogę się rozgościć?

– Zostaniesz na noc? Na parę dni?

– Niestety, muszę wrócić dzisiaj, najdalej jutro rano...

Patrzył na nią skruszonym wzrokiem, jak kiedyś, kiedy przyniósł ze szkoły dwóję, a równocześnie jakiś poblask odbitego od szyby światła, który padł na jego zmizerowaną twarz, wydobył z niej uderzające jak nigdy podobieństwo do Krzysztofa. Łzy zakreśliły się jej w oczach i żeby je ukryć, powiedziała surowo:

– Dziś na pewno nie wrócisz, a rozgość się, gdzie chcesz. Może w siódemce, tam jest zawsze ciepło. Ale palimy wszędzie...

Pół godziny później, odświeżony, w grubym, białym płaszczu kąpielowym, z włosami zaczesanymi na mokro à la latin lover, pałaszował w kuchni jajecznicę z pięciu jaj na kiełbasie i zagryzał świeżym chlebem ze Starych Juch grubo posmarowanym, oczywiście nie wiejskim, a irlandzkim masłem. Pani Helenka patrzyła na to z takim zachwytem, jakby na ziemię zstąpił święty Stanisław Kostka albo co najmniej ufoludek, i podsuwała mu a to świeży twaróg, a to powidła węgierkowe, a to miód z Olecka – coraz to nowe przysmaki. Po wypiciu dwóch kubków dobrej kawy i zjedzeniu, trochę na siłę, jeszcze kawałka ciasta z konfiturą agrestową Jacek poczuł się senny.

– Zdrzemnę się godzinkę, a potem pójdziemy na spacer i ci wszystko opowiem.

Chociaż paliła ją ciekawość, naturalnie przystała na to. Poszła za nim do pokoju i wyciągnęła z szafy dodatkowy, wielbłądzi pled. Okryła go, jakby był znowu jej małym syneczkiem, który może zmarznąć i nie daj Boże się zaziębić. Mamrotał coś, protestując, ale oczy mu się zamykały same, kiedy wychodziła, już spał. Cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Spał do wieczora, jak kamień. Zszedł dopiero na kolację, lekko opuchnięty od snu, ale wypoczęty i tryskający energią. Zjadł z apetytem zostawiony dla niego obiad. Pani Helenka biadała, że odgrzewane to nie to samo, ale się udobruchała, widząc, jak wszystko znika z półmisków.

Marianna czekała na niego przy płonąącym kominku. Niepokój oczekiwania na wynurzenia Jacka próbowała ukoić kieliszkiem koniaku. Spodziewała się, że będzie ją prosił o pieniądze, ale na co mu są potrzebne i o jakie kwoty chodzi? O ostatniej wygranej pięć i pół tysiąca powiedział z pogardą, że to żadne pieniądze, więc...?

Wszedł, pobrząkując lodem w szklance, i nalał sobie whisky. Usiadł naprzeciw niej, w głębokim fotelu i upił mały łyżeczek.

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, tyle już przynajmniej

wiesz... – usiłował wprowadzić żartobliwy ton.

Westchnęła.

– To wiem od wczoraj, ale słucham cię, co chcesz mi opowiedzieć?

– Jak wiesz, robię film z tym głupkiem, którego nie wiem po co tu wam przywożłem zeszłego lata. Nie znałem go bliżej przedtem, poprzedni film wyszedł mu niezły, zbierał nagrody i ludzie przyszli do kin. Nie byłem zachwycony nowym scenariuszem: jeszcze jedno bicie się w piersi, za szubrawców, szmalcowników, donosicieli, ale w sumie film łatwy, prawie wszystko w hali, w budowanych dekoracjach, kameralny. Praktycznie trzy duże role: Polak, Żydówka i Niemiec, plus parę epizodów. Niemca gra Holender, reszta nasza, grają po angielsku. Holender mówi świetnie, potrafi nawet imitować niemiecki akcent, nasi ze słowiańskim akcentem, ale to akurat dobrze. Zresztą na planie siedzi coach i pilnuje, żeby było prawidłowo. Pamiętasz fabułę, opowiadałem wam kiedyś?

– Chyba nie. Coś z okupacji?

– No, tak. czterdziesty trzeci rok, Warszawa, małżeństwo, bardzo młodzi, pobrali się tuż przed wojną, zamożni, ona piękna Żydówka, on Polak, też jak z żurnala. Już czwarty rok ona nie wychodzi z domu, on ją ukrywa przed sąsiadami, mówi, że bomba ją zabiła w trzydziestym dziewiątym. Boi się szantażystów, zwłaszcza jednego, syna dozorczy, który zaczyna coś podejrzewać. Pewnego dnia kamienicę przeszukują Niemcy, ktoś doniósł, że ukrywa się tu Żyd. Nie znajdują nikogo, ale piękna mężatka wpada w oko jednemu z gestapowców. Zaczają się pod domem po cywilnemu i czeka, kiedy jej mąż wychodzi na miasto, wtedy idzie do niej z wielkim bukietem róż. Ona, bojąc się sąsiadów, skandalu, wpuszcza go do środka. Niemiec jest szarmancki, bardzo przystojny, z arystokratycznego domu i zaczyna bardzo taktowny flirt. Żałuje obłudnie, że nie zastał męża, bo oboje bardzo mu się spodobali i chciałby się z nimi zaprzyjaźnić. Narzeka na brak towarzystwa na poziomie, wyraża się z pogardą o swoich rodakach, których uważa za hitlerowską hołotę. Zaprasza ich na kolację do Adrii w najbliższych dniach, zostawia swoją wizytówkę, cały czas patrzy na nią z zachwytem i daje do zrozumienia, że jest nią zauroczony. Ona zresztą też jest pod wrażeniem tego przystojnego, dobrze wychowanego młodzieńca, ale strach przed tym, co może z tego wyniknąć, wręcz ją paraliżuje. Opowiada wszystko mężowi...

– Jak dotąd szansa na ciekawy film albo na straszny kicz – wtrąciła Marianna.

– Właśnie. Miałem naiwną nadzieję, że ten głupek wykorzysta szansę, ale niestety skończyło się kiczem.

– A to już gotowe?

– Nie, zdjęcia skończyliśmy w zeszłym roku, jeszcze przed śmiercią ojca, film jest niby zmontowany, ale teraz zaczęły się schody...

Marianna odbiegła na chwilę myślą w rejony swojej udręki: „w zeszłym roku, jeszcze przed śmiercią...”. Mój Boże, chciał powiedzieć „dawno”. Krzysztof umarł już dawno?

– Ten dupek nagle zwariował: chyba zobaczył, że spieprzył film, i usiłuje go naprawić w postprodukcji, a nawet zrobić dokrętki. I wciąż przemontowuje, jest już chyba siódma wersja. Wziął początkującą montażystkę, właściwie dotąd asystentkę, tyle że praktykowała u najlepszych, i dziewczyna uwierzyła, że ma szansę zabłysnąć. Ale to był tylko jego podryw, bo dziewczucha jest superlaska. Już ich raz nakryli w montaźowni na amorach...

– No, dobrze, ale gdzie w tym twój problem? – przerwała mu Marianna.

– Już do tego zmierzam. Jak pewnie wiesz, dzisiaj, żeby dostać dofinansowanie z Instytutu, trzeba przyprowadzić współnika z rynku, który sfinansuje co najmniej pięćdziesiąt procent. Znalazłem takiego pod Koszalinem, produkuje jakieś uszczelki na eksport. Spodobał mu się scenariusz, bo tam dalej robi się niezła masakra: małżeństwo wpada w sidła Niemca, który zaczyna odwiedzać ich coraz częściej, aranżuje wieczory z dużą ilością alkoholu, spija ich pewnego wieczoru oboje i łąduje się do łóżka razem z nimi, ale wtedy okazuje się, że jest homoseksualistą i to mąż wpadł mu naprawdę w oko.

– Co za bzdury! – Marianna prawie krzyknęła.

– Poczekaj, teraz dopiero zobaczysz. Żona, widząc, że Niemiec już prawie gwałci jej męża, zabija go strzałem z jego własnego rewolweru i powstaje problem, jak ukryć ciało, wtedy pomaga im syn dozorca, który okazuje się dobrym człowiekiem, a nie szmalcownikiem. Chowają go w nocy, na cmentarzu żydowskim...

– No, nie!

– To, co ci opowiedziałem, to była wersja dla producenta uszczelek, który się na nią złapał, wersja dla Instytutu była zupełnie inna, kulturalna, bez pedalstwa, bez trupa, bez żadnych orgii. Subtelny, kameralny dramat psychologiczny, pełen niedomówień i półcieni.

– Ale jak? Chciał zrealizować tę oficjalną wersję, co by na to powiedział ten koproducent od uszczelek?

– Właśnie. Tego się bał bardziej niż Instytutu. Postanowił zrealizować tę jego wersję, a raczej coś pośredniego, licząc, że obie strony pójdą na ustępstwa. Aktorzy,

jak zobaczyli, że scenariusz się zmienia, najpierw nie chcieli grać. Omamił ich, przekonał, że nie można scenariusza traktować jak Biblii, że trzeba go twórczo rozwijać, że lepsze pomysły wypierają słabsze i tak dalej. Od ściemy to on jest majster. Ja sam zacząłem myśleć, że może nie mam racji, że dzisiaj widz potrzebuje silniejszych bodźców, i już prawie się przekonałem, że trzeba kończyć tę jego wersję, wtedy palant zaczął marudzić: nagle żąda dodatkowych postsynchronów, chce dubbingować dialogi, nagrane idealnie, na sto procent, w atelier! Najpierw twierdził, że jest za dużo błędów w angielszczyźnie, bo chciał się popisać, że zna język. Zna, a z zawodowym konsultantem od dialogów, rodowitym Anglikiem, który nie przepuścił aktorom żadnego drobiazgu, jakoś marnie rozmawiał. Jak mu to wytknąłem, zmienił zdanie, powiedział, że mu się głos tego Holendra nie podoba i trzeba sprowadzić angielskiego aktora, żeby zrobił tę rolę, głosowo, od początku. A zacząć trzeba od jego podróży do Londynu, żeby tam wybrał głos, który mu się spodoba.

Tego już było mi za wiele, powiedziałem mu, że mamy straszne opóźnienia, że wydaliśmy już prawie wszystkie pieniądze, że nie mam już na kompozytora, że będzie musiał wziąć muzykę z fonoteki i tak dalej. Pokłóciliśmy się i wiesz, co zrobił? Pojechał do tego naszego wspólnika do Koszalina, pokazał mu podmontowany film i tak go zbajerował, że ten dorzucił jeszcze pół miliona! Zrobił natychmiast przelew na pół miliona! Oczom nie wierzyłem, bo przelew przyszedł, nim jeszcze mój przedsiębiorczy reżyser wrócił z Koszalina, ale jak mi opowiedział, co obiecał wytwórcy uszcelek, to pomyślałem, że mam do czynienia z wariatem. Tamtemu tak się spodobała scena zabójstwa Niemca, że wymyślił, aby jeszcze do niej coś dokręcić, i na to daje pieniądze. Otóż trzeba dorobić sytuację, w której żona, zanim trafi Niemca w głowę, strzela kilka razy i jedna kula przebija rurę wodociągową w łazience, zaczyna się lać woda, zalewa całe mieszkanie, a potem kamienicę, powstaje panika, to utrudnia wyniesienie trupa Niemca, ale jest, według nich, cudowna scena w strumieniach wody, a co najważniejsze – teraz uważaj! – można mimochodem pokazać zbliżenie uszczelki, która nie przepuściła wody, i to będzie taki dyskretny *product placement*... Wyobrażasz to sobie?!

Marianna patrzyła na Jacka z prawdziwym przerażeniem jak na obłąkanego. Łagodnie i jakby ostrożnie zaczęła:

– Jacusiu, wiesz, ale... Może to tobie pomieszało się w głowie? Powiedziałeś, że masz problem, żebym cię ratowała, i od pół godziny opowiadasz mi o swoich kłopotach z jakimś hochsztaplerem, niby jak ja mogłabym ci pomóc?

– No właśnie, teraz doszedłem do sedna sprawy. Jak ten kretyń mi powiedział, co obiecał temu drugiemu idiocie, natychmiast zadzwoniłem do Koszalina i powiedziałem, że mu zaraz odsyłam jego pieniądze, że nie ma mowy o dokrętkach, bo pomijając kretyńizm tego pomysłu, to jego zrealizowanie kosztowałoby trzy razy więcej, więc sobie może te pół miliona wsadzić w dupę!

– Tak dosłownie mu powiedziałeś?

– Tak, bo mnie poniosło! Zresztą to jest prostak, więc mówiłem jego językiem. I wiesz, co on na to powiedział, cytuję: „Nigdy nie miałem do ciebie zaufania. Nie zrozumieć, jak mogłem takiemu chujowi dać sto baniek prowizji!”. „Co? – wydarłem się. – Jakiej prowizji?! To była pożyczka, którą obiecałem ci oddać, jak rozliczę film i dostanę swoje honoraria, a przez tego twojego artystę tak się to ślimaczy!”.

Marianna przeraziła się poważnie.

– Pożyczyłeś od niego sto tysięcy?! Jak mogłeś to zrobić?! Przecież ma cię teraz w garści! Może cię wrobić w aferę łapówkową! Jak mogłeś być tak naiwny!

– No właśnie, byłem. Ale wiesz, że on chyba jest za głupi, żeby tak to przeciw mnie wykorzystać. Albo po prostu boi się ściągać na siebie uwagę odpowiednich organów. On wie, jak to załatwić po swojemu, powiedział: „Tak? Pożyczka? No, to ją zwróc, kutasie, ale zaraz, bo ci naśle zbirów, spalą ci furę i zrobią indiańskie sznyty na twojej amanckiej gębie!”. I to jest właśnie mój problem: muszę mieć zaraz te sto kawałków. Ale nie chcę, żebyś mi dała, pożycz mi. Jak rozliczę ten cholerny film, zaraz ci odeślę. Pomożesz mi? Mamuniu?

Przyglądała mu się, widząc małego Jacusia, który przyszedł do niej na skargę, że siostra połamała mu zabawki, a samochodek jest pożyczony od Pawła i co on teraz robi, będzie trzeba mu odkupić, bezbrzeżna rozpacz i bezbrzeżna ufność, że mama wszystko załatwi.

Marianna pokiwała z politowaniem głową.

– Oj, Jacek, Jacek! Kiedy ty wyrośniesz?!

Wiedział już, że dostanie te pieniądze. Podszedł do niej, objął ją i pocałował w policzek.

– Dziękuję. Wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Uśmiechnęła się sarkastycznie.

– Też mi wiedza! A po co wam jeszcze potrzebne matki?

Wyprawiła go do łóżka, sama też poszła do swojej sypialni. Myślała jeszcze

o tym długo przed zaśnięciem, nie powiedziała w końcu „tak”, ale przecież mu nie odmówi. Nie mogła jednak pozbyć się jakiegoś drążącego robaczka w głowie, jakiejś powracającej uporczywie myśli: a może to wszystko bajeczka, może to jednak karciane długi? Albo co gorsza wróciło uzależnienie od hazardu i Jacuś odwiedza kasyna? Wpadła na pomysł, który przedstawiła synowi przy śniadaniu: ona wyśle Uszczelkarzowi pieniądze przelewem. Jacek skrzywił się trochę.

– Chciałem pojechać do niego i wyspać mu gotówkę na stół. Najlepiej w monetach, a przynajmniej w banknotach dziesięciozłotowych. Ale dobrze, przyślę ci mejlem jego namiary, numer konta, adres i tak dalej...

Dokończył śniadanie, pożegnał się wylewnie i pojechał.

Marianna siedziała jeszcze kilka minut w biurze i zbierała myśli.

– Chciał wyspać mu gotówkę na stół? Czy ja kiedykolwiek miałam w domu tyle pieniędzy w gotówce? W banknotach dziesięciozłotowych? Nic z tego nie rozumiem...



Niestety nie przysłał danych Uszczelkarza ani nazajutrz, ani następnego dnia. Zaniepokoiło to Mariannę i zatelefonowała do niego. Jacek jakby się zmieszał albo zapomniał o tej sprawie, ale to była tylko chwila. Zaraz potem zaczął szeroko opowiadać, że sytuacja się zmieniła, że Uszczelkarz zadzwonił i przeprosił za wszystko, że zrozumiał, że te pomysły to bzdura, wymyślone po pijaku brednie, bo się spili z reżyserem, i on się z nich wycofuje, ale prosi, aby pół bańki nie odsyłać, bo wie, że mamy ciasno z budżetem, a chciałby, żeby muzyka była pierwsza klasa, może Penderecki albo Kaczmarek – nieźle, co?! Tak samo z moim długiem: że naturalnie nie była to łapówka, ale dług honorowy, i chętnie poczeka do rozliczenia filmu, jak dostanę wszystkie raty – jednym słowem: skruszony baranek, do rany przyłoż. Dlatego nie wysłałem ci jego danych, a miałem wieczorem zadzwonić, bo teraz mam tu pożar w burdelu!

– Wybacz mi, mamuniu, jeszcze zadzwonię – rozłączył się.

Marianna się zmartwiła. Jej złe przeczucia się spełniały. Ten cały Uszczelkarz to chyba bajeczka wymyślona na poczekaniu, Jacek potrzebuje pieniędzy na co innego. Niekoniecznie na karciane długi, to by w końcu nie było takie straszne. Nie gra chyba z bandziorami, raczej to jest kwestia honoru, ale przecież kiedy zadzwonił z prośbą o ratunek, słyszała w jego głosie autentyczny strach. Od czasu rozvodu z Izą straciła kontrolę nad jego życiem, nie mogła się od nikogo dowiedzieć, co on robi, z kim się zadaje, jak mu się wiedzie. Z byłą synową miała bardzo dobre stosunki, lubiły się bardzo i miały do siebie zaufanie. Iza mówiła, że nawet swojej matce nigdy nie powiedziała o sobie tyle co Mariannie, z którą znalazła wspólny język. Obie wspólnie zajmowały się wychowywaniem Jacka, niestety nie bardzo się to udało i zakończyło się rozstaniem, czego Marianna nie mogła przeboleć. Niby traciła Izę, ale pozostała przecież między nimi silna więź – Jasiek, on je łączył jeszcze głębiej, bo krwią, i nawet mimo londyńskiego oddalenia pozostawały w kontakcie, bo Iza zawsze dbała, żeby jej ukochany syn pamiętał, że jest także ukochanym wnukiem, żeby nie zapominał o imieninach, urodzinach i innych uroczystościach i często dzwonił, także bez powodu.

Marianna mogła sobie wyobrazić, jaki tryb życia teraz Jacek prowadzi, po rozprawie rozwodowej promieniał z radości. Jakiś jego cyniczny koleżka powiedział głośno na cały korytarz sądu: „A teraz, Jacusiu, jesteś Ferrante Palla – człowiek wolny!

Wolny jak dziecko. Nic tylko: dziwki i wóda, wóda i dziwki!”. To miał być żart, który rozśmieszył licznie zebranych koleśki, ale Iza się nie uśmiechnęła. Marianna zgorszyła się brutalnością żartu, a zwłaszcza ten Ferrante Palla ją, nie wiedzieć czemu, oburzył.

– O kim on mówi? Kto to jest? – zapytała szeptem Krzysztofa.

– To postać ze Stendhala – odrzekł – ale że taki chamuś czytał *Pustelnię parmeńską*...

– To nie jest taki chamuś, na jakiego wygląda – wtrącił się Jacek, który podszedł do nich – ale Stendhala oczywiście nie czytał. Widział stary film z Gérardem Philippe’em, u nas w wytwórni...

Marianna miała zawsze krytyczny stosunek do towarzystwa, w którym obracał się Jacek, ale rozumiała, że filmowcy to nie jest jakaś elita intelektualna. Szerokie spektrum zawodów i funkcji w ekipie powoduje, że spotykają się w niej ludzie różnych poziomów kultury i ucywilizowania. Kiedyś oczarował ją jeden reżyser swoją towarzyską ogładą, szerokością horyzontów, głębokością poglądów, innym razem zaszokował pewien technik prymitywizmem i chamstwem. Ale wszystkie te tak różne indywidualia łączył wspólny mianownik specyfiki tej sztuki na pograniczu przemysłu, rzemiosła i obozu cygańskiego, co w jakimś stopniu tłumaczyło opinię, którą się cieszyli (może nie bardzo). Teraz jednak, chociaż nie miała na to żadnych dowodów, sięgnęła po najpopularniejszy punkt na liście obaw wszystkich matek świata, że syn „wpadł w niedobre towarzystwo”. Postanowiła pojechać do Warszawy i urządzić inspekcję, tak u Jacka, jak i u Kasi, którą z kolei podejrzewała, że ciężko znosi ciężę, tylko nie chce się do tego przyznać. Nie uprzedziła o przyjeździe Kasi ani tym bardziej Jacka.

Wyjechała po śniadaniu, żeby dotrzeć do celu w połowie dnia. Był słoneczny i mroźny, ale że od dawna nie padało, jezdnię była sucha. W Grajewie przejeżdżała przez skrzyżowanie, na którym Krzysztof miał wypadek, starała się nie patrzeć i nie zapamiętywać szczegółów, ale mimo to zauważyła, że przebudowano skrzyżowanie, ulepszono sygnalizację, że miasto modernizowało się i już nie przypominało zapadłej miejsciny na rozstajach, jak wtedy, przed laty, kiedy zaczęli tędy często jeździć. Ruch był nieduży, mogła jechać szybko, ale tylko miejscami przekraczała dozwolone prędkości. W Łomży tradycyjnie zatankowała. Miła brunetka przy kasie popatrzyła na nią współczująco, ale nie powiedziała ani słowa. Kiedy zatrzymywali się tu z Krzysztofem, zawsze z nią przyjaźnie rozmawiali, jak jeden z kolorowych magazynów zamieścił reportaż z ich pensjonatu, rozpoznała ich na zdjęciach i poprosiła o autografy, więc nie byli już dla niej anonimowi. Teraz spojrzeniem dała

do zrozumienia, że wie o tragedii, ale widocznie krępowała się coś powiedzieć. Marianna odwzajemniła jej spojrzenie i lekko skinęła głową w podziękowaniu. Zapłaciła, w sąsiednim fastfoodzie kupiła sobie średnie frytki i ruszyła dalej. Przed Wyszkowem stali chłopcy radarowcy, ale Mariannę zawczasu ostrzegły bratnie, tirowskie dusze, za to kiedy wjechała na autostradę i przycisnęła mocniej pedał gazu, jej volvo dostało skrzydeł i poczuła prawdziwą „radość z jazdy”, chociaż nie było to bmw. Dojechała bez przygód do Warszawy, z podziwem przemknęła przez szklane tunele Trasy Toruńskiej i zjechała na Żoliborz. Zaparkowała na placu Inwalidów koło poczty i zadzwoniła na numer stacjonarny Jacka. Po rozwodzie i po wyjeździe Izy z Jasiem do Londynu Jacek został sam w dawnym mieszkaniu rodziców, a oni zachowali swój pokój, w którym zatrzymywali się, przyjeżdżając ze wsi. Telefon w mieszkaniu nie odpowiadał, dla pewności zadzwoniła ponownie i upewniła się, że nie ma nikogo. Choć miała klucze i zawsze wchodziła, kiedy chciała, teraz poczuła się nieswojo, jakby wkradła się do obcego domu.

Zostawiła swoją torbę podróżną w przedpokoju i szybko przeszła przez amfiladę pokoi. Wszystko zostało tak, jak za czasów Izy: jadalnia, sypialnia, pokój Jaśka, zniknęły tylko ich osobiste rzeczy i drobiazgi, chociaż ukochana kolekcja samochodzików jej ukochanego wnuka wciąż zajmowała trzy półki etażerki. Wszędzie panował prawie pedantyczny porządek, tylko łóżko w sypialni było rozbebeszone, ale nie wyglądało na to, aby ktoś z Jackiem w nim spał. Marianna zlustrowała jeszcze łazienkę i kuchnię w poszukiwaniu śladów kobiety, ale poza wyschniętą szminką w jakiejś szufladce, która mogła zostać po Izie albo nawet po samej Mariannie, nie znalazła nic. Wzięła swój podręczny bagaż i ruszyła do ich pokoiku. Był nietknięty, pewnie tak, jak go zostawił Krzysztof przed swoją ostatnią podróżą do domu, przerwana w Grajewie. Na drzwiach wisiał jego stary szlafrok kąpielowy, wtuliła węń twarz, szukając zapachu Krzysztofa, ale poczuła tylko ślad aromatu jego ulubionej wody Aqua Brava, który musiał pochodzić sprzed lat, bo już dawno jej nie importowano, a także nie przywoziły jej dzieci ze sklepów na lotniskach, odwiedzanych w czasie częstych teraz podróży, bo twierdziły, że to zapach już niemodny, „postarzający”. Dobre sobie, miał się odmładszać jakimś nowym zapachem, wmówionym smarkaczom przez chytrych perfumiarzy! Zresztą jak skutecznie zapach może odmładszać czy postarzać? Chociaż może – pokiwała ze smutkiem głową do swoich myśli – zapach młodego ciała, młodego potu może być upajający, zapach starości jest obrzydliwy, ohydna mieszanina biologii ciała i chemii lekarstw. „Klasa biologiczno-chemiczna” – do takiej chodziła

w gimnazjum: co za profetyczny wybór! Ale to był czysty przypadek, a młode nosy nie czują jeszcze zapachu swojej przyszłości.

Poszukując zapachu Krzysztofa w szlafroku, była gotowa trochę się wzruszyć, ale jakoś nie zebrało się jej na płacz. I bardzo dobrze – pomyślała, bo teraz jej głowę zaprzętały problemy z Jackiem. Nie dała za wygraną, postanowiła jeszcze dokładniej obszukać mieszkanie. Trochę było jej wstyd, bo nawet w czasach gdy Jacek był nastolatkiem, starała się szanować jego prywatność. Pamiętała, jak kiedyś wkładała do pralki jego dżinsy i sprawdzając, czy nie zostawił czegoś w kieszeniach, znalazła tam paczkę prezerwatyw. Oblała się wtedy rumieńcem, bo po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jej mały synek stał się już mężczyzną, a to znalezisko jest sygnałem, że wdarła się w sferę, w której nie mogli mieć już jakichkolwiek kontaktów. Przemogła opory i usiadła przy komputerze Jacka. Nie miał żadnych zabezpieczeń, więc bez trudu dostała się najpierw do jego poczty. Przebiegła pilnie przez ostatnie dni, potem przez dwa ostatnie tygodnie i nic nie zwróciło jej uwagi. Znalazła masę śmieci, ofert, zaproszeń do wejścia na jakieś portale społecznościowe – banał, dopiero gdy skierowała uwagę na listę nadawców, spostrzegła, że powtarza się regularnie jeden adres: maj@hot.pl, a tekst listu zawsze jest lakoniczny. Ułożyła sobie te mejle według dat przychodzenia i lista wyglądała tak:

„Za dwa tygodnie...”

„Za tydzień...”

„Za 6 dni...”

„Za 5 dni...”

„Za 4 dni...”

„Za 3 dni...”

„Pojutrze...”

„Jutro...”

Spojrzała na datę, a potem do kalendarzyka i struchlała: „jutro” to był dzień, kiedy wyjeżdżał od niej, z Siedliska! A więc tego dnia upływał jakiś termin. Pewnie zwrotu długu, bo przecież prosił ją o pieniądze, a kiedy zaproponowała mu spłatę wprost do wierzyciela, zaczął kręcić i w końcu poczęstował ją bajeczką o skrusze rzekomego koproducenta, Uszczelkarza. Więc miał ultimatum i musiał spłacić dług tego dnia, no, ale przecież od tamtej wizyty upłynęło już parę dni, a jemu chyba się nic nie stało? A może coś mu zrobili, tylko tai to przede mną? Może te „indiańskie sznyty” na jego pięknej twarzy? Oblała się zimnym potem: musi natychmiast się z nim zobaczyć! Ale jak zwabić go teraz do domu? Może pojechać do biura na

Chełmskiej? To go może zirytować („Czy podać kawkę mamusi, panie kierowniku?”), nie, musiałaby mieć jakiś wiarygodny pretekst.

Zaczęła rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu pomysłu, jej umysł pracował na wyższych obrotach, jak w zagrożeniu. „Matka wrzuciła piątkę”, jak mawiał Jacek, kiedy ona w jakiejś trudnej dla rodziny chwili koncentrowała się, łąpała za ster i przeprowadzała ich statek przez skalistą cieśninę czy mulistą mieliznę. Jacek podziwiał ją za to i pewnie odczuwał tajemną satysfakcję, że punktowała w takiej sytuacji ojca, z którym podświadomie, jak każdy syn, rywalizował. Zupełnie odwrotnie niż Kasia, córeczka tatusia, która zawsze stała po stronie Krzysztofa i z zasady starała się umniejszać zasługi matki, poddając je złośliwej krytyce, przeważnie piekielnie inteligentnej i zabójczo logicznej. Przez lata, kiedy dzieci dorastały, a rodzinna nawa była nieraz miotana przez sztormy lub flauty czasów, podział ról w dowództwie pozostawał jasny: Krzysztof był dalekowzrocznym strategiem wytyczającym szerokie cele, aby wygrać wojnę z losem, Marianna taktykiem, skutecznym zwycięzcą zaciętych bitew o przetrwanie.

Sprawdziła skrupulatnie całe mieszkanie, czy nie zostawiła jakichś śladów, zabrała swój bagaż i zeszła do samochodu. Uruchomiła silnik i zatelefonowała do Jacka. Komórkowy był „wyłączony lub poza zasięgiem”, powiedział głos, który zawsze ją irytował, bo ubzdurała sobie, że automatyczna kobieta mówi te słowa ze złośliwą satysfakcją, wobec tego zadzwoniła na stacjonarny, do biura.

– Szef jest bardzo zajęty. Nie wyobrażam sobie, aby dziś zechciał rozmawiać z kimś nieumówionym wcześniej – poinformowała nieuprzejmie sekretarka.

– Nie byłam umówiona wcześniej, ale tak się składa, że jestem mamusią szefa – odpowiedziała Marianna słodziutkim głosem.

Sekretarka momentalnie zmieniła ton.

– Ach, tak, przepraszam, łączę!

– Mama? Co się stało? Dlaczego nie dzwonisz wprost?

– Bo wyłączyłeś telefon lub jesteś poza zasięgiem. To drugie pewniejsze, ostatnio wciąż jesteś poza zasięgiem, zwłaszcza poza zasięgiem twojej starej matki – uderzyła w klasyczny ton, opatrując go jednak szczyptą ironii łagodzącej patos.

– O! Nie zauważyłem. Rzeczywiście wyłączyłem rano, żeby mi nie przeszkadzali, i zapomniałem włączyć. Ale mów, gdzie jesteś? Pewnie w swoim ukochanym Mango w Ełku?

– Wyobraź sobie, że nie. Chciałam wam zrobić niespodziankę i przyjechać bez uprzedzenia, zwłaszcza zobaczyć, co u Kaśki, bo przecież to już ostatnie tygodnie,

ale gapa, zapomniałam zabrać klucze. Stoję pod twoim domem. Mogę przyjechać po klucze do ciebie?

– No, tak. Dobrze, że ja nie zostawiłem ich w środku. Idź na kawę gdzieś blisko, ja zaraz przyjadę z kluczami...

– Na kawę, ale gdzie? Przecież tu jest pustynia!

– Co ty?! Masz co najmniej cztery miejsca w zasięgu: tam gdzie była drogeria, jest restauracja, albo tam na Czarnieckiego, gdzie był bar mleczny, także jest restauracja z egzotycznym jedzeniem. Ewentualnie u dawnego Naumana, lub jeszcze bliżej, gdzie było łapanie oczek, wiesz, tu na rogu, przy tramwaju, jest winiarnia, ale kawę też mają – wszędzie dostaniesz kawę. Najlepszą u Naumana, bo to teraz mają Włosi. O, wiesz co, objeżdż plac i zaparkuj koło nich, zjemy tam lunch, zaraz przyjadę. W takim razie weź sobie wodę mineralną, mają włoską, fantastyczną. Nie bierz przed obiadem kawy, bo pomyślą, że jesteś Kaszubką.

– Kaszubką? Dlaczego?!

– Kaszubi, a także Poznaniacy i Ślązacy, czyli nasi „Niemcy”, jedzą torty i piją kawę przed obiadem. Mówi się, że z oszczędności, czyli skąpstwa, bo jak goście napchają się słodkościami, to potem mniej mięsa zjedzą i zostanie na poniedziałek...

– To niesprawiedliwe. U krewnych ojca w Bytomiu zawsze karmiono nas do rozpuku. Ojciec zabierał zawsze raphacholin, jak tam jechaliśmy.

– No, ale to byli lwowiaczy!

– To prawda. Ale wiesz, my, Polacy, mamy w gruncie rzeczy wielką słabość do Niemców. Niby „nie będą nam pluć w twarz i dzieci nam germanić”, ale tyle ich cech nam imponuje, chociaż nie chcemy się do tego przyznać. Szczególnie zostało to w genach ludzi, których przodkowie żyli pod zaborami pruskim i austriackim. Twój ojciec urodził się w czterdziestym pierwszym roku i jak wojna się kończyła, miał cztery latka, a jego dziecinne oczy zapamiętały obraz niemieckiego żołnierza, oficera, na który patrzył w kontekście swoich ołowianych żołnierzyków, a nie grozy wojny, i ten obraz mu się podobał. Ilekroć zobaczył niemiecki mundur, na jakimś zdjęciu, w kinie, w telewizji, zawsze się nim zachwycał, jak świetnie jest wymyślony, jak skrojony i uszyty. Czasem patrzyłam na niego jak na wariata, na ekranie jakiś oficer SS lub gestapo, jakaś kanalia, którą widz pogardza, nienawidzi, a on mówi: patrz, jak ta czapka jest wymyślona, to wygięcie denka, otok, te trupie czaszki na otoku, to od razu budzi respekt, paraliżuje strachem, wymusza posłuch. Tak samo miał słabość do tych właśnie naszych „niemieckich” krain: Galicji, Poznańskiego,

Kaszub, czyli tych, gdzie Niemcy odcisnęli swój wpływ najsilniej. Mazowska nie znosił, mówił, że tu jest płasko i wszędzie czai się pozaborowa, rosyjska chandra, którą pół wieku komuny w Polsce jeszcze utrwaliło. A Kaszuby były jego platoniczną, niespełnioną miłością. Marzył o wakacjach w jakiejś małej wiosce rybackiej, gdzie nie ma letników, gdzie na plaży suszą się sieci i pachną świeżo nasmołowane łodzie, odwrócone grzbietami do słońca, jak zdechłe ryby wyrzucone na brzeg, gdzie mieszka się w małej, wybielonej izdebce, patrzy przez przekreślone na krzyż okienko na białe, spienione grzbiety uporczywie nadbiegających fal, a czarna flaga na wygiętym od wiatru w łuk maszcie łopocze jak serce schwytej mewy. Do izby wchodzi cicho stara, wysoka, surowa, wyprostowana kobieta, oczy ma białe, wypłukane wypatrywaniem horyzontu, wypłakane oczekiwaniem na ojca, brata, męża, syna – ukochanych, a wciąż ryzykujących, wciąż zawzięcie walczących z morzem o powrót z połowu. Kobieta stawia na wyszorowanym do białości stole jakiś prosty posiłek i bezszelestnie wychodzi... Wciąż o tym marzył, wciąż opowiadał, obiecywaliśmy sobie każdego roku, że tam pojedziemy, ale jak przeprowadziliśmy się na Mazury, to już nie było mowy o żadnych wakacjach w kraju. Po co? Tu mieliśmy swoje wzburzone fale na jeziorze, swoje huraganowe wiatry i swoje skłębione, malownicze chmury... Wiesz, teraz porządkuję papiery, stare fotografie i znalazłam zdjęcie zamyślonej dziewczyny siedzącej na plaży, opartej o bok drewnianej łodzi, z burzowym niebem nad głową. To była jego pierwsza, wielka miłość, Natasza, Rosjanka. Musiała wyjechać z rodzicami, gdzieś do Chin, potem wyszła za jakiegoś Amerykanina. Chyba nigdy nie przeboleał jej utraty, gdyby nie wyjechała, miałbyś mamusię Rosjanek...

Przerwał jej.

– Matka, ja już wiem, po co przyjechałaś: żeby się wygadać! Siedzisz tam w Siedlisku jak sowa, nie masz do kogo buzi otworzyć. Pamiętasz, jak dziadek zawsze mówił: „Nie pisać listów przez telefon!”. Zaraz się zobaczymy, to się wygadasz.

– U dawnego Naumana?

– Tak, podjedź do nich, będę za dwadzieścia minut.

Przyjęła ze zrozumieniem jego obcesowość, była do tego przyzwyczajona i wiedziała, że to w gruncie rzeczy jest ich zażyłością, swoistym rodzinnym kumpelstwem wypracowanym od dzieciństwa.

Dojechał po półgodzinie, tłumacząc się korkami na Wisłostradzie. Ona tymczasem

piła rzeczywiście smaczną wodę mineralną z plasterkiem cytryny i myślała melancholijnie, jak jej goście zaakceptowali podawanie zwyczajnej wody, co prawda z ich własnego ujęcia na pięćdziesiątym czwartym metrze, w szklanych dzbankach, z kostkami lodu i kilkoma listkami świeżo zerwanej mięty.

– Tylko gdzie ja zerwę mięte na Marszałkowskiej? – zrzędziła pewna monumentalna pani doktorowa, której przyjaciółka szczebiotała entuzjastycznie, że one teraz będą tak samo robiły w domu.

– W donicze, pani Magdaleno, w donicze, którą postawi pani w kuchni – podsunęła Marianna z nieszczere miłym uśmiechem, bo nie znosiła babska.

– Też coś! – prychnęła doktorowa – Jeszcze mi się mszyce zalęgą!

Odtąd przylgnęła do niej ksywka „Mszyca” i kiedy każdego roku uporczywie rezerwowała dwa pokoje dla siebie i przyjaciółki, Krzysztof zawsze powtarzał ten sam dość marny żart, że jedzie do Rolnika po płyn na mszyce i będzie codziennie jej go dolewał po łyżce do zupy, aż wytepi to, co się zalęgło. Pani doktorowa miała zresztą wyraźną słabość do Krzysztofa, bo patrząc na niego, przewracała swymi oczyma ropuchy z objawami choroby Basedowa i niemal oblizywała się jak jaszczurka. O tyle to zdumiewało, że sama była zdeklarowaną lesbą, obsługiwaną przez zahukaną, miniaturową przyjaciółkę, przekradającą się z punktualnością austriackich maszynistów kolejowych codziennie o 23.35 ze swej małej dziupli do łożnicy mistrzyni.

– Wszyscy mieszkający wzdłuż trasy pociągu Donau Expres, kursującego codziennie ze Stanisławowa, przez Lwów do Wiednia, regulowali do niego zegarki. Teraz radziłbym to samo gościom, kiedy słyszą skrzypienie podłogi na korytarzu pierwszego piętra, mogą być pewni, że jest pięć po wpół do dwunastej – mawiał Krzysztof. – A co do awansów Mszycy – dodawał – to ona, jako domina w tym związku podziela widocznie przekonania męskie: oddziela seks od miłości.

– To ty miałbyś być od miłości czy od seksu? – zapytywała zimno Marianna.

– Od miłości naturalnie, a potem by się zobaczyło – odpowiadał ze świetnie parodiowaną namiętnością.

Marianna pokręciła w duchu głową: jestem jak ten Jasio z dowcipów, wszystko mi się tylko z Krzysztofem kojarzy, nawet woda – przezroczysty płyn o trudnym do opisanie smaku. Mój Boże!

Przywitali się czule, choć nie wylewnie. Obejrzała ukradkiem jego twarz, ale nie dostrzegła żadnych obrażeń, żadnych szram. Kelner podszedł, z ukłonem podając kartę. Jacek nie oglądając jej, apodyktycznie zamówił:

– Dwa razy carpaccio, dwa razy Saltimbocca alla Romana i butelkę Brunello di Montalcino.

– Butelkę?! Przecież chyba musisz wrócić do pracy?

– Wypijemy po kieliszku, a resztę weźmiemy do domu, na wieczór. Zawsze lubiłaś to wino.

– Nadal lubię to wino, ale nie jego cenę. Stać cię na to? Uszczelkarz odpuścił?

Jacek się roześmiał.

– Odkąd brat mojego reżysera poszedł w górę w hierarchii partyjnej, nasz sponsor sypnął nowym groszem. Nie wiem, na co on liczy.

– Co to za partia?

– PSL.

– A, to pewnie wie, co robi.

Młodszy kelner przyniósł nakrycia, koszyczek z chlebem i butelkę oliwy z oliwek.

– Szef powiedział, żebym państwu podał tę. – Chłopak zabrał stojącą na stole oliwę, której etykieta wyglądała na lepszą od tej nowej, ale pewnie szef wiedział, co robi.

– Znają cię tutaj? – Marianna nalała sobie na talerzyk dużą kroplę oliwy, posoliła ją i popieprzyła, ułamała z kromki kawałek chleba i umoczyła w kałuży.

– Tak. Przychodzę tu często, czasem zapraszam kogoś, jakieś biznesowe lunche... Kucharz zna swój fach.

– Pyszny chleb i oliwa. Sami pieką pieczywo?

– Może tylko odgrzewają, nie wiem. A ten trik z oliwą to stary numer. To na pewno ta sama, ale gość czuje się wyróżniony. Inny greps: szef wychodzi do gościa, wita się, doradza, co zamówić, a najważniejsze, poufnie odradza którąś potrawę, z taką miną kręci nosem, jakby można było się nią struć. Konspiruje z gościem przeciwko swojemu kucharzowi! To na facetów działa niezawodnie, toteż nigdy nie robi tego kobietom. One, ze swoją powalającą logiką, zapytałyby, dlaczego toleruje takiego kucharza, który podtruwa gości. Ty na pewno byś tak zrobiła.

Marianna roześmiała się, poczuła coś w rodzaju uznania dla sprytu i przenikliwości owego szefa, który, tak jak nieraz ona, wiedział, jak wykorzystać naiwność i próżność mężczyzn, tych wiecznych chłopców.

Zjedli wyborne, aromatyczne i kruche carpaccio, a potem doskonałą saltimbocę

popili cudownym brunello. Marianna zachwyciła się daniem i prosiła syna, aby zapytał kelnera, jak to się robi, ale zanim ten przyszedł, Jacek wyjął swego iPhone'a i wszedł na Google: Saltimbocca (z wł. *salta in bocca* – skacze do ust) – rodzaj popularnej włoskiej potrawy. Potrawa ta jest przyrządzana z rozbitego płata cielęciny oraz szynki, który jest posypywany szałwią, a następnie zwijany w rulon i obsmażany z dodatkiem białego wina – przeczytał.

Mariannę zamurowało, patrzyła na syna jak na proroka, cudotwórcę. Zobaczył ten wzrok.

– Co ty, matka, nie używasz gugla? Bez tego jak bez ręki. Pokaż swój telefon, no, tak: za tę starą nokię możesz na Allegro dostać dwa ajfony. Ja ci to załatwię i wszystkiego nauczę.

Oszołomiona przytaknęła, chociaż nie wiedziała dokładnie, o co chodzi.

Na deser Jacek wziął tartę cytrynową, a Marianna tiramisu, oboje espresso, Jacek zapłacił kartą, tylko napiwek dołożył gotówką, i pojechali dwoma samochodami, te parę kroków, na drugi koniec placu Inwalidów, do domu. Jacek zabrał jej torbę podróżną i otworzył wiekową windę, wciąż w siatkowej klatce i wciąż zamykaną na blaszany kluczyk. Skrzypiąc i stękając, wyniosła ich na trzecie piętro, gdzie Jacek otworzył drzwi z kilku zamków i wpuścił matkę do środka. Weszła i zamarła: na środku hallu leżała jej rękawiczka, nawet się dotąd nie zorientowała, że jej nie ma. Z zimną krwią podeszła i stanęła na niej, Jacek, szarpiąc się z zamkiem, który jak stęskniona kochanka nie chciał wypuścić z objęć klucza, na szczęście niczego nie zauważył. Marianna upuściła drugą rękawiczkę, a potem, jak gdyby nigdy nic, podniosła obie.

– Powinnaś się przenieść do pokoju Jaśka, nie ma sensu, żebyś spała w tej klitce – mówił Jacek, otwierając drzwi do ich pokoiku, przesadnie głośno, jakby mieszkanie było ogromne, a Marianna głucha.

– Nie, ten mi zupełnie wystarczy, lubię go – odpowiedziała, czując, że się czerwieni na wspomnienie miodowych miesięcy spędzanych tu z Krzysztofem. Wydawało się jej, że nagle słyszy swoje głośne okrzyki i jęki rozkoszy, którymi tak ostentacyjnie prowokowała ich gospodynię w czasach, gdy jeszcze nie wiedzieli, że ona jest głucha jak pień i umie tylko czytać z ruchu warg. Przypomniała sobie, że Krzysztof, kiedy się o tym dowiedział, oznajmił: „Ja też umiem czytać z ruchu warg. Sromowych”. Uderzenie fali takich wspomnień w obecności syna straszliwie ją zawstydziło i zmieszało, tak jakby on mógł to wszystko zobaczyć.

– Muszę umyć ręce – zakomunikowała i poszła szybko do łazienki.

– Zostawię ci klucze, gdybyś chciała wyjść. Ja wrócę koło ósmej, ale możesz też zadzwonić, to po nie przyjadę, gdzieś tam...

– Nie, chyba nie wyjdę. Trochę się zmęczyłam, odpocznę sobie. Czy mogę użyć twojego peceta? Uzależniłam się od Internetu.

– Naturalnie. Otwiera się bez żadnych zabezpieczeń! – odpowiedział bez cienia zawahania, cmoknął ją w policzek i wybiegł z mieszkania.

Najpierw troszkę się zdrzemnęła, potem siadła przed komputerem i jeszcze raz skrupulatnie przejrzała całą pocztę Jacka, zwłaszcza tę niepokojącą sekwencję e-maili od jakiegoś maj@hotmail.pl, ale nie znalazła niczego, na czym mogłaby oprzeć podejrzenia. Potem powąłęsała się sentymentalnie i nostalgicznie po pokojach, pobawiła się starym misiem Jasia, którego znalazła pod tapczanem, głaskała go i tuliła tak długo, aż w oczach poczuła łzy, i te ją otrzeźwiły. Zeszła na dół z zamiarem zrobienia zakupów i skonstatowała, że z placu znikły wszystkie spożywcaki, których lokale zajęły knajpy albo banki. „Tyż piknie!” – mruknęła pod nosem i pomaszerowała ulicą Czarnieckiego, z wielką nadzieją w sercu, że sklepik Po schodkach jeszcze się ostał. Ostał się, dzielnie stawiając czoło burzom reform i trendów. Pogadała sobie ze starą ekspedientką, która ją jeszcze pamiętała z czasów, gdy przybiegała tu po pieczywo, zrobiła obfite zakupy i wróciła do domu. Nakryła do stołu w kuchni, przygotowała na przystawkę szynkę parmeńską z melonem („jak po włosku, to po włosku”) i starła kilkanaście dużych ziemniaków na placki, przysmak Jacka, na deser przyrządziła gruszki w sosie waniliowym. I czekała, jak za dawnych lat czekała.

Przyszedł po dziewiątej z bukietem zimowych kwiatów i od progu przeproszał za spóźnienie. Zadzwoniła pękiem swoich kluczy.

– Patrz, znalazły się!

– Gdzie były?

– W aucie, pod siedzeniem, a mogłabym przysiąc, że przedtem ich tam nie było.

– Diabeł je nakrył ogonem.

– Myślisz, że przyjechałam z diabłem?

– Nie, ale może tu ci wskoczył. Na placu są cztery banki, więc na pewno diabły się tu włóczą.

Włóczą się tu też dlatego, że wyczuły kłamczuchę – pomyślała ze skrucą o swojej mistyfikacji z kluczami, a na głos powiedziała niby od niechcenia:

– Masz ochotę na placki kartoflane?

– Matka! – wrzasnął. – Nigdy nie zadawaj mi takich pytań bez uprzedzenia, bo dostanę wylewu! Jasne, że mam ochotę!

– Wypłuj te głupie słowa! Zawału, wylewu – w twoim wieku?! – zezłościła się na serio, ale już po chwili jedli w świetnym nastroju szynkę z melonem i pili montalcino.

Potem, kiedy pochłaniał już chyba dwudziesty chrupiący, złocisty placek, zapytała obojętnym tonem:

– Zmieniłeś komputer? Teraz jest bardzo szybki.

– Mój kumpel Paweł mi tak kiedyś ustawił. To geniusz, komputery jedzą mu z ręki...

– Złotej, zapewne?

– Absolutnie. Nie wiem, skąd on to wszystko umie, nikt go tego nie uczył...

– Może właśnie dlatego. Nauczył się sam, a jak się czegoś nauczysz sam, to naprawdę umiesz.

– E, tam! Naucz się sama chirurgii.

– Dlaczego nie? Każdy kucharz mógłby być chirurgiem w przyśpieszonym tempie.

– Raczej patologiem. Zatrudnić się w kostnicy.

Marianna spoważniała, przypomniała jej się sprawa sekcji Krzysztofa i diagnozy ordynatora W., ale nie poruszyła tego tematu, za to zapytała, starając się, żeby zabrzmiało to lekko i niewymuszenie:

– À propos: kto to jest, ten jakiś maj-hot-pe-el...? Zaintrygował mnie jego upór w komunikowaniu się z tobą. Oczywiście, jeśli to jakieś tajemnice zawodowe, to przepraszam...

– Maj hot?! Nie mów mi o niej, uciekam przed tą babą, ale to beznadziejne! Jak mnie w końcu dopadła, to mało szpiku ze mnie nie wyssała. Potwór!

– Ale w jakim sensie?

– W jakim sensie? W każdym! To niejaka Majka Hot. Gorąca. Żona prezesa jednego konsorcjum. Chora! Nimfomanka! – Jacek najwyraźniej się zirytował. – Ma pod czterdziestkę, ale wygląda na dwadzieścia osiem. Nogi, ramiona, dekolt najwyższej klasy. Na jej widok faceci ślinią się jak buldogi, i ona o tym wie. Rządzi nimi jak chce, przebiera jak w ulęgałkach, ale jak już sobie kogoś upatrzy – umarł w butach. Pojechała, bestia, z mężem na urlop, na Madagaskar. Tam ją pewnie pożerali wzrokiem, a może nie tylko, ale mąż był na straży i nie wiem, czy go i tam

nie zrobiła w konia. Natomiast pisała takie e-maile i to nie tylko do mnie, jak się potem okazało. Najpierw: „Strasznie do ciebie tęsknię i nie mogę się doczekać”. Mieliśmy wcześniej szybki numerki na jakiejś imprezce, tak ukradkiem, za jakąś szafą, ale starałem się o tym zapomnieć, bo mnie przeraziła swoją aktywnością, na pograniczu wariactwa. Jak dostałem tego pierwszego mejla, to tak się przestraszyłem, że go natychmiast wykasowałem, ale jak zaczęła przysyłać następne, zatrzymałem, bo może mi się to przydać do jakiejś obrony, jak mąż wykryje aferę.

– Myślisz, że on nie wie?

– No, właśnie. Może wie i jest wdzięczny tym wszystkim, którzy pomagają mu ujarzmić demona jej seksu.

– A wtedy kiedy wróciła? Dopadła cię?

– Wiesz, to było wtedy, kiedy byłem u ciebie. Korciło mnie, żeby zostać, zadekować się na wsi na parę dni, tydzień i wywinąć się bestii. Może by się obraziła? Ale to jest straszna siła, jak zamykałem oczy, to widziałem jej pornograficznie piękną twarz i przyzywający mnie wskazujący palec z krwistoczerwonym lakierem: „Chodź, chodź, malutki, chodź do mnie, nie chowaj się za spódnicą mamusi!”. Wtedy zagrała głupia samcza pycha i ambicja. Co, ja się chowam?! Niedoczekanie, babo! I pojechałem. Zdemolowała mi sypialnię, tak że musiałem zrobić malowanie, i poważnie myślałem o wyjeździe do sanatorium, na szczęście konsorcjum jej męża objęło patronat nad jakąś drużyną hokejową i została jej rzeczniczka prasowa. Jeździ z nimi na mecze i zgrupowania po całym kraju...

Marianna złapała się za głowę.

– Dość! Nie chcę tego słuchać! Nie jestem jakąś sodaliską-idealistką, ale to już naprawdę przesada!

Wybuchnął tym swoim rozbrajającym śmiechem.

– Przepraszam, mamusiu. Zagramy w scrabble?

Grali cały wieczór. Marianna wspominała z rozrzewnieniem, jak babcia Eugenia uczyła kiedyś Jacka grać w brydża. Kiedy owdowiała, wpadła w karciany nałóg, zebrała jakieś swoje trzy kumy i stałe się umawiały na granie, ale czasem któraś nie mogła i brak było czwartego, więc babcia postanowiła nauczyć grać swego kochanego wnuczka. Dziesięciolatek okazał się tak pojętny i utalentowany, że wkrótce ogrywał swoje sędziwe partnerki, jak chciał.

Marianna skoncentrowała się i bardzo się starała dorównać Jackowi w pomysłowości i refleksie. Naturalnie przegrała.



Na drugi dzień wstała wcześniej i zrobiła mu śniadanie. Zachwycał się jajecznicą, ale jadł pośpiesznie, bo nieco zaspał i był spóźniony.

– Powiem: „Przepraszam, ale matka ze wsi przyjechała i wiecie, jak to jest”... Zrozumieją, bo wszyscy mają matki na wsi, pod Hrubieszowem, Siedlcami, Sokółką. To wszystko z kapitalistycznego awansu, chodzą w garniturach od Bossa, używają perfum Armaniego, ale słoma z butów od Salamandra wciąż wystaje.

– No, no, nie bądź taki hrabia! Herbowy szlachcic się znalazł.

– Nie, matulu, nie sięgam po herb Kalinowskich, dziedziców z Podola. Ja jestem z miasta, z miasta, to widać, słyhać i czuć! – zaśpiewał, wklepując sobie perfumy w starannie ogolone policzki. Armaniego zresztą.

Po wyjściu syna Marianna uprzątnęła kuchnię po śniadaniu, usiadła i wybrała numer Kasi.

– Kasiu, córeczko, mama mówi! Przyjechałam, jestem u Jacka, chcę cię odwiedzić. Jak się czujesz?

– Oj, mamusi, mam ciężkie dni. Jak dobrze, że przyjechałaś. Kiedy będziesz?

– Kiedy zechcesz.

– To może przyjdź na lunch. Zjemy w domu albo gdzieś pójdziemy.

– Co wy tacy światowi się zrobiliście?! Lunch, kolacja, a obiadów to już nie jecie?

– No wiesz, Robert wraca najwcześniej o siódmej, a przeważnie o ósmej, lunch je w pracy albo wyskakuje z kimś na miasto. Nasze życie prywatne to te parę godzin wieczornych, najwyżej do północy, bo trzeba wstać o siódmej. Może wolisz przyjść na kolację, Robert byłby niepokieszony, gdyby się z tobą nie zobaczył...

– Zrobimy tak: przyjadę koło południa, na lunch, to sobie pogadamy o babskich sprawach, a wieczorem przyjdę na kolację, chyba że macie jakieś plany?

– Nie, nie! Zaraz do niego zadzwonię, żeby się dzisiaj z nikim nie umawiał na wieczór. A teraz przyjeźdź jak najprędzej!

– Dobrze. Tylko po drodze wpadnę coś sobie kupić. Może do Domów Centrum?

– Zapomnij. Tam teraz nie dojedziesz, wszystko rozkopane. Śródmieście to masakra! Jedź do Arkadii, tam masz blisko i wszystko dostaniesz. Wiesz, gdzie to jest?

Myślała, że wie, ale trochę pokrążyła, nim udało się jej dotrzeć do parkingu

podziemnego. Wjechała schodami na pierwszy poziom galerii i zatrzymała się przy podświetlonej tablicy informacyjnej. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że sama nie wie, czego szuka, że tak naprawdę niczego nie pragnie, niczego nie potrzebuje. Pustymi oczyma patrzyła na nic niemówiące jej nazwy sklepów: Verso, Salem, Eucalyptus, Bodega i rozpaczliwie starała się sobie przypomnieć, po co tu przyszła. Rozejrzała się bezradnie dookoła i zobaczyła, że stoi pod wielkim marketem budowlanym znanej firmy. Od razu poczuła się u siebie i ochoczo weszła do środka. Tu wśród taczek, małych betoniarek, łopat i grabi odzyskała pewność siebie i równowagę. Ze znanstwem obejrzała nową generację elektrycznych podgrzewaczy do ciepłej wody i obiecała sobie, że sprawdzi, czy nie należy gdzieś wymienić starego, może już niesprawnego. Po namyśle kupiła nowe grabie do liści i kilka zasuwek do drzwi. Grabie zapakowali jej w folię, ale tylko ich część metalową, kij sterczał dumnie, kiedy usiadła u Wedla wypić filiżankę cappuccino. „Wieśniaczka w mieście” – pomyślała, ale z pewną dumą.

– Marianna, to ty?! – usłyszała za plecami.

Odwróciła się i zobaczyła tlenioną blondynkę z pieskiem na smyczy. Nie miała pojęcia, kto to jest, chociaż było coś znajomego w tej postaci, która łądowała na krzesło górę paczek z zakupami i mówiła bez przerwy:

– Bój się Boga, Mańka, co się z tobą dzieje, siedzisz wciąż na tych Mazurach? Jak ty możesz tam wytrzymać?! Ja pojechałam tam raz do Jadźki, pamiętasz Jadźkę? Myślałam, że się wścieknę z nudów, żadnych chłopów nawet nie było, to znaczy byli, ale nie w tym sensie... Zwyczajni chłopci byli i baby były, i krowy były, i kury były... Pies mi porwał do budy złoty sandałek od Zary, чудо, i nim go wyciągnęliśmy, pogryzł go na amen, to co? W jednym miałam chodzić? Zakładałam sobie na nogę ten ocalały, patrzyłam na niego i płakałam. Daj mi spokój ze wsią! No, opowiadaj, co u ciebie?!

W czasie tego słowotoku Marianna zdołała już zidentyfikować osobę. Znała ją jeszcze ze studenckich lat na akademii, już wtedy była postrachem towarzystwa, wszędzie jej było pełno, miała ksywkę Lala Cyc, bo to był jedyny atrybut jej urody warty uwagi, reszta była tragedią: wzrost karliczki, twarz mężczyzny, powinna się golić. Jej popisowym numerem był taniec na stole topless, który wpędzał w kompleksy obecne na sali panie. Znała wszystkich i wszyscy ją znali, trochę malowała, trochę pisała, nie bez talentu, ale zjadliwie, i w ten sposób szantażowała warszawkę, wszyscy bali się jej narazić, więc ją zapraszali, a przynajmniej tolerowali. Kiedy pewien literat, znany playboy, puścił w obieg powiedzonko, że Lalę powinno

się uśpić, nie darowała mu tego i rozpuściła plotkę, że on jest impotentem. Niestety, zrobiła mu tym tylko przysługę, bo wiele pań zechciało to sprawdzić i jakoś problemowi zaradzić. To wszystko było wiedzą Marianny sprzed trzydziestu, co najmniej, lat. Dziś Lala wyglądała jak pieczołowicie odrestaurowane i dobrze zabezpieczone ruiny murów miejskich z okresu potopu szwedzkiego.

– Tak, wciąż siedzę na wsi, wpadłam tylko na chwilę. Niestety owdowiałam zeszłej jesieni...

– Słyszałam, słyszałam, szczęściaro! No, co prawda ty miałaś fajnego chłopca, zawsze miałam na niego chrapkę, ale był tak obrzydliwie wierny, że nie dałam rady. Ja trafiłam gorzej: mój nie dość, że już nic nie może, to jeszcze jest stary i chory. A co to ja lekarz jestem? Pielęgniara? Mówię mu, dziadu, najmij se młodą masażystkę, może ci postawi, to ci się polepszy, ale on nie chce, wstydzi się. Znasz taką zagadkę: kto to jest, siedzi rano na łóżku w kałesonach, drapie się po siwych kudłach na piersi i kaszle? Nie wiesz? Mąż! Dobrze, co?! I co ty zamierzasz teraz począć?

Marianna siedziała ogłuszona tym pokazem głupoty i braku taktu, który godził w jej uczucia i przekonania. Właściwie powinna była wstać i wyjść bez słowa albo nawet spoliczkować natrętną idiotkę, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Może bała się, że wpadnie w furię i połamie na bezczelnym babsku świeżo kupione grabie, a szkoda by było. Wzięła głęboki oddech i spokojnie powiedziała:

– Jedna baba drugiej babie wsadziła do dupy grabie. Ot, co powinnam teraz począć, bo tak się właśnie składa, że mam tu nowiutkie, kochana, rozkoszna Lalu. Widzę, że latka lecą, a ty wciąż masz obłąkanego chuja w głowie!

Lala zaniemówiła na moment, wyszeptwała z trwożliwym podziwem:

– Aleś ty się zmieniła, Mańka... Nigdy bym nie pomyślała... – Obrzuciła szybkim spojrzeniem stojące spokojnie grabie, jakby taksowała skutki opisanego przed chwilą czynu, gdyby Marianna go zrealizowała, ale, jako zaprawiona w bojach wyjadaczka szybko opanowała sytuację, roześmiała się perliście i błyskawicznie obróciła wszystko w żart: – Ale super historyjka, będę miała co opowiadać w Egipcie!

– W Egipcie? – Marianna machinalnie się zdziwiła.

– À propos: może pojedziesz z nami do Egiptu, jedzie nas kilka babek, słuchaj, nie miałaś nigdy lepszych wakacji! Tam już czekają na nas całe oddziały cudownych chłopaków, jeden w jeden przystojniacha, obdarzony super, jak każdy Arab, nawet Murzynów w tym biją, wybierasz sobie jednego, albo i dwóch, i chłopaki cię kochają

cały turnus, dwa tygodnie! A jak ci mało, to dwa turnusy. Wracasz na czworakach, ale szczęśliwa, bo oni się zakochują, naprawdę cię kochają! I tęsknią potem! Listy miłosne piszą, co prawda odpisują z jednego wzoru, który ktoś im napisał, nawet z talentem. Ja nigdy nie wracam do tego samego, zawsze ciekawiej jest zmieniać, ale naprawdę warto tam jechać! Ja byłam już trzy razy...

Mariannę ogarnęło zniechęcenie, nie było sensu wdawać się w jakieś polemiki, spojrzała na zegarek i wykrzyknęła:

– O, rany! Jestem spóźniona!

Zerwała się, chwyciła grabie i wybiegła w pośpiechu, bez pożegnania.

Kasia i Robert mieszkali od niedawna w jednym z tych przedwojennych, luksusowych domów w Śródmieściu, który ocalony po powstaniu, bo leżał w strefie do końca zajętej przez Niemców, potem zdewastowany przez komunizm, zasiedlony zbieraniną ludzką od Sasa do lasa, został całkowicie wykupiony i wykwaterowany przez dewelopera i pieczołowicie doprowadzony do stanu pierwotnego, ale jeszcze wzbogaconego współczesną technologią, a jego dawny, kiedyś wysoki standard podniesiono o kolejnych parę stopni. Bliskość parku Łazienkowskiego, zaciszna ulica, ekskluzywnie położenie wyśrubowały niebotycznie ceny mieszkań, za połowę wyłożonej kwoty można by kupić wspaniałą rezydencję w Konstancinie, ale stamtąd Robert nie mógłby chodzić piechotą do swojego biura ani ich córeczka Maniusia biec do angielskiej szkoły tuż za rogiem, ani Kasia jechać parę ulic dalej do supermarketu na zakupy.

– Mieliśmy przyjaciół w Piasecznie, mieszkali w ładnym domu z ogródkiem – mówiła Kasia, kiedy Marianna już siedziała na białej sofie i podzwaniała lodem w szklaneczce campari z sokiem pomarańczowym – ale zapisali syna do szkoły katolickiej na Bielanach. Codziennie trzeba było po pośpiesznym połkniętym śniadaniu wyjeżdżać o siódmej z domu, aby dowieźć chłopca na ósmą piętnaście! A potem jeszcze do pracy, on na Wolę, ona do Śródmieścia. A gdzie zakupy, powroty? Obliczyli sobie, że cztery godziny dziennie spędzają w samochodzie, cztery godziny to jedna szósta doby, jedna szósta życia! Na sześćdziesiąt lat dorosłego życia dziesięć w blaszanym pudle, horror! Zbuntowali się, przenieśli na Żoliborz i odżyli. Nasza Maniusia zakochała się w ich... nie, nie w synalku, to dla niej starzec, ma osiemnaście lat... Zakochała się w ich piesku, miniaturowym jamniku ostrowłosym, wabi się Rysio. Autentycznie zakochała się: pisze do niego listy, zresztą piękne, może je kiedyś wydamy, telefonuje, tęskni... Ale to naprawdę

niesamowity pies, rozumie, co się do niego mówi, ale sam nie potrafi, więc odpowiada ci takim spojrzeniem, że ciarki chodzą po plecach! Kiedy rozmawiają przy kolacji, że nazajutrz wyjadą, albo kiedy pojawiają się walizki, on z rozpaczy chowa się do swojej budki i nie chce z niej wyjść, nawet żeby się pożegnać, a gdy wracają, dostaje szału radości, biega jak opętany po pokojach, uśmiechnięty! Tak, śmieje się od ucha do ucha i fika koziołki!

– Koziołki?

– No, nie przez głowę, przez bok. Trzy, cztery razy z rzędu, a potem leży rozwalony na grzbiecie, z nogami w górę i manifestuje swoje szczęście. Łypie tylko spod oka i patrzy, kogo uda mu się zwiabić, żeby go podrapał po brzuchu. Sama słodycz! Manusia i Robert molestują mnie, żebyśmy mieli pieska w domu, ale ja wiem, jak to jest: oni będą od pieszczotek na kanapie wieczorem, a ja od spacerów w każdą porę i pogodę. W zeszłym roku, w czerwcu ci nasi przyjaciele wyjeżdżali do Toskanii na wakacje, wynajęli tam trzystuletni dom z basenem, mogliby zabrać Rysia, ale pragnęli mu oszczędzić stresu: samolot, lotniska, trzysta kilometrów dojazdu na miejsce, a zresztą nie wiadomo, czy właściciele domu byliby zadowoleni. Robert entuzjastycznie zaproponował im, że weźmiemy na ten czas Rysia do nas, a oni, znając naszą sympatię do psa, miłość do niego Maniusi – i ukrywaną miłość Roberta, bo on kocha to, co kocha jego ukochana córca, córnia, córeczka, Manusia, Manieczka, Marynka – chętnie na to przystali.

Pierwszego dnia było cudownie: Robert i Manusia wstali dzielnie o szóstej, żeby jeszcze przed pracą i szkołą pójść z Rysiem do Łazienek na spacer. Rysio także był zachwycony, mimo że na smyczy, jakie mnóstwo drzew i łątarń do podlania! Wrócili w euforii, Robert twierdził, że taki spacer z psem to lepsze niż głupi jogging, Manusia przewracała oczami jak zaspokojona kobieta. Na drugi dzień pogoda się zepsuła, chłodno, mokro, mglisto, a pan Ryszard o szóstej rano drapie Roberta w bok, piszczy, dopomina się spaceru. On na Żoliborzu ma ogród i klapkę w drzwiach na taras, wychodzi, kiedy chce. Robert zaspany, niezadowolony, ale chcąc nie chcąc, wyprowadza tego biedaka, który już nie może się doczekać i daje do zrozumienia, że zaraz zrobi kupę na dywan. Wracają po dwudziestu minutach, Rysio obłocony, czarny jak kominiarz, bo wytarzał się w kałuży, Robert przemoczony do ostatniej nitki, bo nie wziął parasola, i wściekły, bo zapłacił mandat za niesprzątnięcie kupy Rysia ze ścieżki. „A jak miałem sprzątnąć? Wydałaś mi jakiś woreczek?” – zaryczał jak zraniony lew, wychylając namydlony pysk z łazienki. Czy ja wydaję jakieś woreczki na kupy?

Wieczorem przeprosił mnie za, jak to określił, poranne zezwierzęcenie i wytłumaczył, że był rozżalony wydarzeniami w Łazienkach, bo kiedy nagle zza drzewa wyskoczył strażnik, o wpół do siódmej rano!, z bloczkiem mandatowym i błyskiem triumfu w oczach, to Robert jeszcze nie wiedział, że zostanie przez służbistę metodycznie upokorzony. Na niewinną uwagę, że podziwia jego gorliwość w wykonywaniu obowiązków, chyba przed godzinami pracy, otrzymał odpowiedź, że nie będzie byle baran kontrolował godzin pracy funkcjonariusza miejskiego. Niezadowolony z odpowiedzi baran natychmiast zaatakował aroganta łbem, to znaczy wypowiedział myśl zrodzoną w zwojach baraniej głowy: „Ty palancie, nie wiesz, do kogo mówisz! Jak będę chciał, to cię wykupię od pani prezydent i będziesz u mnie wisiał na choince aż do Trzech Króli!”. Na to tamten, niezrażony apostrofą, wręczył Robertowi mandat na pięćdziesiąt złotych. Rozwścieczony bezduszną reakcją strażnika obwiniony wyciągnął sto złotych i rzucił tamtemu pod nogi, krzyżąc: „Masz, kutasie, i sprzątnij kupę sam!”. Tamten ryknął: „O, to już jest obraza funkcjonariusza na służbie! Dzwonię po policję!”. „Dzwon sobie, dzwońcu, dzwoń!” – wzruszył ramionami Robert i oddalił się, widząc, jak tamten usiłuje się dodzwonić gdzieś tam. Kiedy mi o tym opowiadał, mało nie płakał, czuł się upokorzony nie tyle przez strażnika, ile przez swoje zachowanie. Nie mógł zrozumieć, jak łatwo dał się wyprowadzić z równowagi, jak mógł zniżyć się do poziomu ulicznej pyskówki, on, prezes, doktor praw, członek honorowy licznych rad nadzorczych i stowarzyszeń, szanowany w całej Europie, a przede wszystkim mądry, zrównoważony człowiek, z poczuciem humoru i dystansem do siebie, powiedział coś tak żenującego: „Nie wiesz, do kogo mówisz?!”. Pocięczałam go, jak mogłam, powiedziałam, że sam fakt, że zrozumiał, dlaczego cierpi, już go powinien ukoić...

Zadzwoił telefon, Kasia pobiegła odebrać, Marianna zobaczyła, że mimo zaawansowanej już ciąży córka porusza się lekko i wygląda bardzo ładnie: rysy jej złagodniały, buzia zaokrągliła się, emanowała spokojem, wcale nie wyglądało na to, że ma ciężkie dni, jak mówiła. Rozmowa Kasi się przedłużała, Marianna czekała cierpliwie, siedziała w wygodnym fotelu i uśmiechała się do swoich myśli, w których odtwarzała sobie całe zajście z Rysiem w głównej roli i do swoich refleksji na temat Roberta. Bardzo go lubiła, właśnie za te przymioty wyliczone przez Kasię, i wcale jej nie zgorszyła ani nie zdziwiła jego reakcja na niewątpliwie wredne zachowanie strażnika w Łazienkach. Ucieszyło ją to, że w ich małżeństwie najwyraźniej dobrze się działo, generalne złagodnienie Kasi na pewno było zasługą Roberta i jego mądrości. Kasia nie wymieniła jeszcze innych jego zasług: altruizmu,

dobroci, hojności i wielkoduszności. W pierwszych latach ich wrastania w Mazury pomógł im w stopniu, którego nie dało się przecenić ani zapomnieć.

Myśląc o tym i przeczekując rozmowę telefoniczną, która najwyraźniej się rozwijała, Marianna spacerowała po wielkich amfiladowo rozłożonych pokojach, podziwiała ich wysokość, chyba sięgającą pięciu metrów, odrestaurowane gipsatury, wysokie płycinowe drzwi lakierowane na biało, jak i ściany podzielone elegancką, też białą, boazerią. Nowoczesne, „designerskie” meble, od czasu do czasu skonstrastowane przez dobrane ze smakiem antyki: mahoniową sekretkę, komplet barokowych krzeseł w wyrafinowanym stylu królowej Anny, dobre perskie dywany gdzieśgdzie rzucone na piękną mozaikę parkietu, parę świetnych obrazów, wszystko to robiło jak najlepsze wrażenie. Takie mieszkania Marianna widywała w amerykańskich filmach z życia nowojorskiej high society i zawsze marzyła, żeby tak mieszkać. Teraz tak mieszka jej córka, więc ona może się z tego naprawdę cieszyć. „Nie ma nic bardziej radosnego dla rodziców, kiedy widzą, jak dzieci realizują ich marzenia, prawda?” – powiedziała w duchu do siebie, ale także do Krzysztofa, gdziekolwiek był.

– Chodź, coś sobie zjemy! – zawołała Kasia z kuchni.

Dopiero w kuchni Marianna oniemiała z zachwytu. Wszystkie urządzenia najlepszych marek wbudowane w białe szafki w stylu angielskim, czarne granitowe blaty, podłoga z białego marmuru i to, co zawsze jej się podobało w amerykańskich filmach, które nieraz oglądała raczej pod kątem wnętrza, kostiumów, obyczajów i ewentualnie aktorów, niż dla akcji, często dziecinnie naiwnej lub nieprawdopodobnej: mianowicie zlew pod oknem. Zrozumiała kiedyś, że dzięki takiemu umieszczeniu gospodyni miała wgląd na podwórko, na bawiące się tam dzieci, na psa, który notorycznie atakuje listonosza, na kury molestowane przez indyka erotomana. A na co tu patrzy gospodyni? – wyjrzała przez okno i zobaczyła klasyczne, przedwojenne podwórko-studnię, ale nie ponure, jak zwykle, a wesołe, bo pozbawione czwartej ściany i patrzące na uporządkowane skwery, pomalowane na jasno, z dobrze utrzymanym trawnikiem i grupą drzewek owocowych, teraz pocukrowanych śniegiem. Zresztą praktyczna strona tego rozwiązania straciła już rację bytu w epoce elektrycznych zmywarek, dzisiejsza mamusia nie wygoni na podwórko dzieci, wołą ślęczyć przy ekranach komputerów, nie będzie czekać na listonosza, bo list dostanie e-mailem, nawet indyki straciły dawny wigor, a jeśli, to raczej przyglądają się kogutom. Świat stanął na głowie.

Usiadły przy stole śniadaniowym. Kasia podała na początek jakąś sałatę

z dressingiem jogurtowym, ze świeżą, chrupiącą bagietką, potem krewetki smażone na maśle z czosnkiem, posypane zieloną pietruszką, a do tego kieliszek białego chardonnay.

– Ty pijesz, w twoim stanie? – zaniepokoiła się Marianna, chociaż Kasia sobie nie nałała.

– Nie, choć lekarz pozwala na kieliszek czerwonego wina dziennie, ale nie chcę, bo on wystarczająco rozrabia. Cały brzuch mam skopany. Piłkarzem będzie czy co?

– Chłopak? Wiesz już na pewno?

– Na pewno. Tylko się nie wygadaj przed Robertem, bo jemu powiedziałam, że znowu dziewczynka.

– Coś ty?! Po co?

– Chcę mu zrobić niespodziankę. I kawał. Pamiętasz historyjkę o tym Żydzie, który przepowiadał, co się urodzi. Kiedy się zorientował, kogo oczekują, mówił to, co by chcieli usłyszeć, ale w swojej poważnie wyglądającej księdze zapisywał odwrotnie i w razie czego obiecywał zwrot pieniędzy. Jak trafił, najwyżej mu jeszcze prezent przynieśli z podziękowaniem, jak nie trafił i przyszli po zwrot pieniędzy, mówił: chwileczkę, zaraz sprawdzimy, i wyciągał księgę. Szukał wpisu i pokazywał: jaki syn? Jaki syn?! Ja mówiłem – córka, o tu zapisałem, proszę! Wyście chcieli syna, to zdawało wam się, że ja mówiłem: syn! Myślenie życzeniowe! Nie ma mowy o zwrocie honorarium!

Marianna uśmieła się szczerze, bo Kasia udatnie odegrała scenkę w stylu przedwojennego szmoncesu, ale przez jej praktyczny umysł przemknęła myśl: chwała Bogu, że nie poszła na studia aktorskie, Krzysztof skutecznie wybił jej to z głowy, teraz byłaby nieszczęśliwa. Zaraz zresztą podzieliła się tą myślą na głos.

– Nieszczęśliwa? – zdziwiła się Kasia. – Dlaczego? A może byłoby odwrotnie?

Marianna pokiwała głową z politowaniem.

– Ty, ze swoim krytycyzmem, byłabyś szczęśliwa? Nie podobałaby ci się sztuka, nie podobała reżyseria, scenografia, kostiumy, sama sobie byś się nie podobała. Popatrz na każdą karierę: jeśli ładna, to ją biorą dla urody, póki się nie zestarzeje, zbrzydnie i przestanie podobać publiczności, a szczególnie panom dyrektorom i reżyserom. Potem musi przeczekać kilkanaście lat, żeby stać się aktorką dramatyczną, tragiczną, ale to się udaje tylko niektórym, tylko tym, które mają wnętrze, myślą, no i mają talent. No i co z tym kawałem?

Kasia wróciła do opowiadania.

– Mieliśmy termin USG ustalony na konkretny dzień, Robert miał pojechać ze

mną, ale tego dnia wezwano go do ministra, w pilnej sprawie jakiejś ekspertyzy. Nie mógł odmówić i pojechałam sama. Dostałam papierek, że będę miała syna, i kiedy Robert wrócił, powiedziałam mu: tu jest napisane córka i ja to chowam do sejfu, bo jak się pomylił, to będę reklamować. Zdziwił się: reklamować? Nie chcesz syna? Mówię, że chciałabym bardzo i liczę na jego pomyłkę, ale mimo radości będę reklamowała w imieniu innych kobiet, które mogą przeżyć rozczarowanie. „Wariatka” – orzekł, ale kiedy sięgnął, aby zobaczyć papierek, ja szybko zalepiłam kopertę. „Tylko jej nie rozrywaj, bo zapieszysz” – ostrzegłam. Zgodził się. Mężczyźni są strasznie naiwni...

– I całe szczęście, bo byśmy sobie z nimi nie dały rady.

Zjadły, Kasia szybko włożyła brudne talerze do zmywarki i zaparzyła w ekspresie kawę, którą zaniósł sobie do salonu. Gawędziły długo, Marianna opowiedziała córce o rozmowie z ordynatorem W. Kasia przyjęła to spokojnie i pragmatycznie.

– To cały ojciec: nie użalał się, ukrył chorobę, liczył na to, że odejdzie cichutko, bez hałasu, nie robiąc nikomu kłopotu. Słuchaj, a może on celowo wjechał pod tego TIR-a? Wiedział, że tamtemu nic się nie stanie...

Marianna się zachnęła.

– Ależ co ty mówisz! On by tego nigdy nie zrobił, był na to za uczciwy, a w każdym razie nie zrobiłby tego w mieście, na skrzyżowaniu, gdzie kręci się tyle ludzi! Gdyby chciał się zabić, zrobiłby to na pewno po lekarsku, jakimiś pigułkami albo zastrzykiem, w ostateczności wjechałby w TIR-a na szosie, a nie tak po partacku... O TIR-a mógł się nie martwić, ale przecież na ulicy było pełno ludzi, przechodniów, ich by nie narażał!

– Innymi słowy: wierzysz, że to Opatrzność, czy jak to tam nazywasz, tak zadecydowała i wykorzystwała przypadek, żeby wybrać najlepsze rozwiązanie. Tak?

Marianna westchnęła.

– Gdybym miała w sobie gen wiary, to bym chętnie uwierzyła, ale mój gen powątpiewania we wszystko wciąż mi na to nie pozwala, wciąż zasiewa nowe łany wątpliwości. Już sama nie wiem, na czym teraz stanęło...

Siedziały w salonie i rozmawiały o sprawach ważnych i nieważnych, zasadniczych i błahych, dopóki Manusia nie wróciła ze szkoły. Marianna patrzyła na nią z zachwytem: była szczupłą, niezwykle proporcjonalną dziewczynką o pełnych wdzięku ruchach, można było się domyślić, że chodzi na lekcje tańca lub może uprawia gimnastykę artystyczną. Miała bardzo regularne rysy twarzy, duże niebieskie oczy i ciemne proste, jedwabiste włosy otulające kształtną główkę jak

hełm, małe owalne okulary, tak zwane lenonki dodawały jej wdzięku. Przywitała się z babcią serdecznie, ale w powściągliwym stylu mamusi, która nigdy nie lubiła wylewności. Marianna wyobraziła sobie, jak jej wnuk Jasio by ją przywitał: wskoczyłby jej z dzikim okrzykiem na kolana i nieomal by ją udusił z radości, ale zaraz przyszła usprawiedliwiająca refleksja: przecież Manusia ma już jedenaście lat, za duża jest na takie wybryki. Kasia poszła z córką do kuchni, żeby ją nakarmić, a Marianna, wpatrzona w ogromne, szarzące okna w nadchodzącym szybko zimowym zmierzchu, poczuła senność. Do salonu wróciła Kasia.

– Wiesz co, połów się trochę i zdrzemnij w pokoju gościnnym – powiedziała. – Zbudzę cię na popołudniową herbatę...

W zacisznym, wychodzącym na podwórze pokoju gościnnym zasnęła od razu i przespała bez snów godzinę. Zbudziła ją Maniusia, łaskocząc ją miękkim piórkiem po nosie. Marianna otworzyła oczy i roześmiała się. Przytuliła wnuczkę i ucałowała, co mała z chęcią odwzajemniła. Pewnie przy mamie wstydziła się swoich uczuć – pomyślała Marianna i zadała klasyczne pytanie wszystkich babć odwiedzających wnuczki:

– Stęskniłaś się troszkę za babcią?

– Bardzo się stęskniłam – odrzekła bez zwłoki Maniusia, spełniając oczekiwania babci. Padło drugie klasyczne pytanie:

– A jak tam w szkole, w porządku?

– Może być – ta odpowiedź, tonem lekceważącym z lekka, trochę zaskoczyła Mariannę.

– Nie lubisz swojej szkoły?

– Lubię, ale nie do przesady...

– O! A co ci się w niej nie podoba?

– Szpan. Większość koleżanek strasznie szpanuje, jakie to my jesteśmy w porządku, skoro nas tutaj przyjęli. I licytują się na auta, którymi są przywożone do szkoły. Ja mam parę kroków i przychodzę pieszo, to mnie lekcewały, dopiero jak mama raz podjechała naszym range-roverem, żeby zabrać mnie do miasta, zaczęły mnie poważać. Czy to nie głupie? Powiedziałam tacie, żeby kiedyś podjechał swoim lexusem, to może mnie wybiorą na gospodynię klasy.

Marianna słuchała tego z uśmiechem, ale nie zdążyła skomentować, bo do pokoju zajrzała Kasia.

– Chodźcie na czekoladę! – zawołała od progu. – Dawno nie piliśmy czekolady, więc pomyślałam, że zrobię dzisiaj. Ale w razie czego jest też herbata.

– Ja nie piłam od czasu, kiedy chodziłam z wami do pijalni Wedla na rogu Szpitalnej i Górskiego. Byłaś tam kiedyś, Maniusiu?

– Tak, byłam, ale rzadko tam jeździmy, bo mamie trudno zaparkować.

Kasia zaaprobowwała tę odpowiedź kiwnięciem głowy i dodała:

– U nas to kiedyś funkcjonowało w rodzinnym systemie kar i nagród.

– Co to znaczy? – zapytała Maniusia.

– Jak przyniosłam piątkę z matmy – idziemy do Wedla, jak zbiłam wazon – nie

idziemy, proste.

– To teraz jest tak samo, tylko kary są sroższe.

– Tak? A jakież są to te srogie kary? – zapytała Kasia z sarkazmem.

– Zamknięcie komputera. I to, że ty swojego używasz, kiedy chcesz, czyli zawsze. Mama czatuje całymi dniami! – poskarżyła dziewczynka.

– Czatuje? Na kogo? – zapytała naiwnie Marianna.

– Oj, babciu, czatować to gadać z kimś w Internecie. Z angielskiego, *chat* znaczy gawędzić, pogadać sobie...

– A, wreszcie mi to ktoś wyjaśnił! Wyobrażałam sobie, że samotni ludzie czatują, to znaczy czyhają w Internecie na kogoś, kto też jest samotny i chciałby sobie pokorespondować. Wydawało mi się to żałosne i żenujące.

– I takie czasem jest. Chodźcie, czekolada stygnie! – Kasia pociągnęła je do salonu.

Siedziały w ciepłym, dobrze oświetlonym, przytulnym wnętrzu, delektowały się czekoladą, ozdobioną przez Kasię kleksem ze sztywnej, słodkiej pianki, takiej jak robiła zawsze prababcia Eliza, wiolonczelistka ze Lwowa, mama dziadka Krzysztofa, o której opowiadała nieraz Kasia Maniusi. Chociaż sama pamiętała ją jak przez mgłę, od dziecka była nią zafascynowana. Podolska szlachta, dobre nazwiska, Lwów, filharmonia, pozycja dziadka – wszystko to tworzyło aurę, która imponowała Kasi od czasów, gdy odkryła uroki snobizmów i zadzierania nosa przy plebejskich koleżankach z klasy. Teraz jeszcze dla nastroju puściła cichutko ballady jazzowe Johna Coltrane'a z ulubionej płyty Krzysztofa *Blue Train*. Marianna, która nie miała ucha dla muzyki, raczej tylko do jej tanecznych rytmów, rozpoznała jednak utwór i wymieniła z córką porozumiewawcze spojrzenie. Trwały tak chwilę, milcząc i słuchając hipnotyzujących, aksamitnych tonów saksofonu w najdoskonalszym wykonaniu, aż Kasia, jakby w obawie, że taki nastrój je rozklei, powiedziała:

– Robert już wie, że jesteś. Obiecał się nie spóźnić, kolacja będzie o siódmej. Zaprosiłam też Jacka, powiedział, że zostawi auto i weźmie taksówkę, a potem wrócicie moim.

Mariannę przeszył dreszcz błęgiego zadowolenia: oto siedzi wśród swoich najbliższych, ma cudowną rodzinę, wszyscy się kochają, czas już wyrwać się z tych smutnych nastrojów, czas przestać snuć się po pustych pokojach w Siedlisku, w poszukiwaniu echa spraw, które już nie wrócą, trzeba raczej poświęcić się tym, którzy tego potrzebują, nawet jeśli udają, że niczego im nie brak. Ale co ma zrobić, wrócić do Warszawy? Musiałyby kupić sobie jakieś mieszkanie, bo nie wyobrażała

sobie mieszkania z Jackiem. Jakby go to kępowało w życiu, które prowadzi i na pewno jakiś czas będzie prowadził, zanim... Właśnie, zanim co?! Zanim się znów ożeni, zanim wróci do Izy? Poczowała przypływ zniechęcenia: znowu zaczną się martwić, wtrącać w jego sprawy. Dzieci? Przecież to są dorośli ludzie, mają swoje życie i niech je układają po swojemu, może właśnie jej oddalenie daje obu stronom komfort, którego nie należy burzyć. Przecież to nie są antypody, trzy, cztery godziny jazdy i już się dociera na miejsce! Muzyka kołysała, uspokajała, kołysała, a w jej głowie myśli goniły się, przewracały z hukiem, chowały po ciemnych kątach, z których wyskakiwały, strasząc dziecinnym okrzykiem: hu!

Wypiły czekoladę, Manusia, zanim poszła odrabiać lekcje, pokazała babci w tajemnicy przed mamą swój rysunek: to była Kasia z dużym, ciężowym brzuchem, w którym siedział jakiś kosmaty kłębek.

- Kto to jest? – zapytała lekko przestraszona.
- Mama. Mama w ciąży – wyszeptała jej Manusia do ucha.
- A to? – Marianna wskazała na kłębek w brzuchu.
- To jest Pysio, brat Rysia, którego mama urodzi.
- Marysiu, co ty mówisz?! – wykrzyknęła ze zgrozą Marianna.
- To się opłaca: ja będę miała pieska, a mama dostanie Nobla.

Marianna zaniemówiła. Manusia zadowolona z wrażenia, jakie zrobiła na babci, ruszyła do drzwi, na progu się odwróciła i powiedziała uspokajająco:

- Babciu, to jest taka bajka... – Uśmiechnęła się szelmowsko i zniknęła.

Kasia, która przedtem udawała, że niczego nie widzi, zajęta jakimś kolorowym magazynem o pięknych wnętrzach, parsknęła śmiechem.

Marianna zezłościła się.

– Twój tatuś przesyła pozdrowienia z cmentarza Rakowickiego! Rodzina wariatów! Pozarażał was wszystkich swoim czarnym humorkiem! Anglosaskim! Od saskim do laskim! Anglik z Kołomyi!

Kasia wstała i podeszła do matki. Objęła ją serdecznie i pocałowała w policzek.

– Mamusiu, nie złość się! Tata miał rzeczywiście nadpoczucie humoru, ale był fantastyczny. My wszyscy chcielibyśmy być tacy jak on i się o to staramy, ale jeszcze nam to nie wychodzi. Przecież ciebie też on nieźle wyszkolił w tym względzie, prawda?

Marianna zmiękła. Przekonały ją słowa Kasi, a już zupełnie zdumiały i ucieszyły jej gesty: kiedy ostatni raz Kasia tak spontanicznie i serdecznie ją objęła?!

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło i żeby nad nim zapanować, roześmiała się.

– Tak, szkolili mnie przez całe życie, a ja starałam się mu dorównać, ale był niedościgniony...

Marianna wstała i pomogła Kasi zebrać ze stolików i zanieść do kuchni naczynia. Zaofiarowała się, że pomoże przyrządzić kolację, ale ku swemu zaskoczeniu, dowiedziała się, że kolacja jest już zamówiona i zostanie przywieziona o 7.15.

– Tak punktualnie? – zdziwiła się Marianna.

– Tak, oni są punktualni, a skoro Robert obiecał przyjść przed siódmą, to akurat. Wypijemy jakieś aperitify i siądziemy do kolacji.

– Co zamówiłaś?

– Właśnie się martwię, że ciebie wcześniej nie zapytałam. Lubisz sushi?

– Powinam odpowiedzieć, jak Jacek w przedszkolu: nigdy nie jadłam, ale nie lubię, ale tak nie powiem. Powiem: nie wiem, nie jadłam, ale spróbuję.

– Pewnie się zakochasz w sushi i co wtedy poczniesz w Ełku?

– Bądź spokojna, zaraz ktoś otworzy taki bar u nas. Ludzie chcą mieć teraz to samo co w stolicy, i to od razu.

Reszta popołudnia upłynęła nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak. Kasia telefonowała, Marianna przeglądała jakieś magazyny ilustrowane, nieuważnie, z roztargnieniem. W pewnej chwili przyłapała się na myśli, że w tym beztroskim nastroju, trwającym, odkąd tu przyszła, w ogóle nie pomyślała o Krzysztofie, już nieobecnym. O dziwo, wcale jej to nie zawstydziło. Zastanowiła się, dlaczego? Może nadszedł koniec traumy, minęło już prawie pół roku, a może, co bardziej prawdopodobne, Krzysztof cały czas jest tu z nimi. To ją pokrzepiło i uspokoiło.

Robert wrócił nawet wcześniej, niż zapowiadał, Jacek też się stawił przed siódmą. Zięć przywitał się z teściową bardzo serdecznie, ich wzajemna sympatia trwała niezmiennie. Pojawiły się jakieś drinki dla zaostrzenia apetytu, panowie nalali sobie bardzo hojnie glenmorangie, dobrego, szkockiego single malta, na co przerwali się ostatnio warszawscy koneserzy, dawni wielbiciele Jasia Wędrowniczka, teraz pogardzanego jak marny bimber. Zadzwoniono z dołu, w domofonie zaskrzeczał głos:

– Catering z Sushibu.

Kasia go wpuściła i po chwili do przedpokoju wszedł dostawca, młody chłopiec z ogromną burzą długich jak u dziewczyny blond włosów, niosąc okazałą paczkę.

– Cześć, Jasiu, jak tam matura? – zapytał nieoczekiwanie Robert.

– To ty go znasz? – zdziwił się Jacek.

– Przywoził nam sushi już kilka razy. Zawsze u nich bierzemy, bo ich sushiman jest najlepszy w Warszawie, a na pewno na Mokotowie. Poza tym popieramy także jego, bo jest dzielny i dorabia sobie na własne wydatki, a nie wyciąga od rodziców, jak większość naszych milusińskich. W Ameryce synowie i córki milionerów muszą pracować...

– Zanim się dorwą do pieniędzy rodziców – dokończyła Kasia ze złośliwym uśmiechem.

– No, już tylko dwa i pół miesiąca. Zacząłem zakuwać – odrzekł chłopiec i potrząsnął łwią grzywą, na której zaiskrzyły płatki śniegu.

– *Lew w zimie* – mruknęła Marianna. – Pamiętacie taki film z Peterem O’Toole? Jakież to był świetny aktor!

– Wybacz, chłopcze, poufałość – powiedział Jacek – nie masz w szkole problemów z włosami?

– Nie mam. Ostatnio pani dyrektor powiedziała nawet, że mi ich zazdrości. Nic dziwnego, bo ma rzadkie i wypłowiałe... – mówił młodzieniec z prostotą.

– Nie, no ja się zabiję! – wykrzyknął Jacek i rzucił się z rozmachem na fotel.

– Daj mu spokój! – rzuciła półgłosem Marianna. Zresztą konwersacja się urwała, bo Kasia zapłaciła i chłopiec wyszedł, kłaniając się i życząc smacznego.

Jacek kręcił głową.

– Nie, to koniec świata! To, że chłopiec robi z siebie straszdyło, pewnie nie on jeden w tej szkole, to mnie nie dziwi i nie mam do niego pretensji, ale że pani dyrektor jeszcze się tym zachwyca, to niepojęte. Za moich czasów, a przecież to nie było w średniowieczu ani za komuny, tylko w wolnej Polsce, ogoliliby mnie do skóry, publicznie, w auli! Za komuny by mnie za to wyrzucili.

– No, proszę, proszę, mój braciszek staje się konserwatystą! Gdzie twój liberalizm, żeby nie powiedzieć: libertynizm? – wbiła mu szpileczkę Kasia, ale nie dała się wciągnąć w dyskusję, bo wezwała wszystkich do stołu. Marianna z satysfakcją obejrzała estetycznie nakryty stół i z pewną tremą przystąpiła wraz z wszystkimi do jedzenia. Na przystawkę były spring rolls, chrupiące, miniaturowe krokietki z pysznym, warzywnym nadzieniem, potem świetna zupa tajska na kokosowym mleczku, z krewetkami, no i główne danie: cały wachlarz rozmaitych sushi. Pili do tego lekkie trebbiano z Abruzzów. Mariannie sushi zasmakowało, a już zupa zachwycała.

– Zupa cudowna! A sushi nieźle, ale że ty, który nie poszedłeś do przedszkola,

jeśli ci do kieszonki w fartuszkę nie włożyłam kartki „Grzybów i śledzi nie jadam”, jesz teraz ryby, i to surowe?! – powiedziała do Jacka.

– Ryby tak, śledzia nie, bo to nie jest ryba. A grzyby już jem, nawet z chęcią.

Na deser Kasia wygoniła wszystkich do salonu, gdzie podała tort bezowy z Misianki na Saskiej Kępie. Robert posłał po niego swego kierowcę, gdy tylko się dowiedział o przyjeździe teściowej. Jacek, który objął rolę barmana, zaproponował wszystkim *digestivo*, przy czym większość opowiedziała się za beherovką.

– Wiecie, ta historia z włosami chłopca dała mi do myślenia – zagaił Robert. – Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak szybko zmienia się świat, to co parę lat temu było niewyobrażalne, dzisiaj uważamy za normalne, ba, wydaje nam się, że tak zawsze było. Gdyby ktoś mi jeszcze parę lat temu powiedział, że będę jadł w domu surową rybę i inne owoce morza, tobym go wyśmiał. Dzisiaj w Warszawie jest kilkadziesiąt sushi barów i wciąż ich przybywa.

– Może dlatego, że przekonaliśmy się, że to jest zdrowe i smaczne? – wtrąciła Kasia.

– To by nie zachęciło tak wielu. Zdecydował snobizm, i to wśród młodych ludzi, koło trzydziestki, naszych mazowieckich yuppies, którzy jeszcze przedwczoraj paśli gęsi pod Siedlcami, wczoraj skończyli studia z marketingu i zostali zwerbowani do jakiejś korporacji, a tam wbito ich w białe koszule, krawaty i ciemne garnitury, posłano na szkolenie do Londynu, gdzie zobaczyli z przerażeniem, że Angole jedzą surowe ryby, ale ponieważ wszystko im tam imponowało, to po powrocie zaczęli tego szukać w Warszawie i poszło jak lawina! Holendrzy, którzy byli u nas w zeszłym roku na stażu, zupełnie serio myśleli, że sushi to nasza potrawa narodowa...

Wszyscy się roześmiali wesoło, a Marianna podsumowała:

– Stara prawda: snobizm to postęp! No, co prawda nie we wszystkich kulturach.

Robert zapalił się do dyskusji.

– Snobizm w przeszłości bywał nośnikiem postępu, zwłaszcza cywilizacyjnego, w jakiejś mierze też kulturalnego czy artystycznego. Elegantki polskie kiedyś snobowały się na Paryż, dziś raczej na Londyn albo Mediolan, polscy malarze w dziewiętnastym wieku studiowali w Monachium, ale ciągnęło ich do Paryża, i to raczej życie bohemy niż prądy w sztuce. Zresztą to działa w różne strony, pamiętacie lata, kiedy paryscy dyktatorzy mody zaczęli lansować sowieckie kufajki, futrzane czapy, gumiaki, a raczej tak zwane filce, i śliczne paryżanki prezentowały ruską bidę w wydaniu luksusowym. Moskwiarki chodziły zakutane w kozuchy, bo

im było zimno, a te luksusowe laleczki, bo się snobowały.

– Francuzi, Niemcy, a właściwie cały Zachód ma słabość do Rosjan – przytaknęła Jacek. – Oni cały czas się ich trochę boją, obchodzą się z nimi jak z niedźwiadkiem. Chciałoby się go pogłaskać, ale strach, że dziabnie. I śmieszno, i straszno!

– Ta fascynacja dzikim, tajemniczym człowiekiem Wschodu ma podłoże erotyczne. Pamiętacie tego Mongoła, który odwiedzał Catherine Deneuve w *Piękności dnia* Buñuela? Ale nie tylko chodzi o egzotykę, dzisiejsze singielki zarządzają sobie babskie wieczorki, na które wynajmują striptizera. Z reguły jest to byczysko, tak zwany kark o gębie złoczyńcy, ale to je właśnie kręci.

– Tak, nawet ja, siedząc w naszej głuszy, zauważyłam, jak zmienił się typ idola, amanta, ulubieńca kobiet. Za moich gimnazjalnych lat to był na przykład Gérard Philipe, uroczy, delikatny, subtelny, pełen wdzięku chłopiec, dziś piękna dziewczyna przyjeżdża na weekend z ogolonym na łyso chamem, który nawet nie raczy powiedzieć dzień dobry, jak wchodzi na śniadanie do jadalni. I nie chodzi chyba tylko o to, że on ma wielką furę, obowiązkowo bmw...

– ... wypasioną – podrzucił Jacek.

– Tak, znam ten język – przytaknęła Marianna – ... ale dlatego, że on się jej podoba. Patrzy na niego zachwycona!

– Bo wszędzie takich widzi, koleżanki z takimi chodzą, w kinie ogląda takich amantów, a ci, widząc, że to się dziewczuchom podoba, nagminnie stylizują się na takich bandziorów! – dorzuciła Kasia.

– Oni mają jeszcze jeden cel – podjął Jacek. – Straszyc, wyglądać groźnie. Zaczyna się to już u małałatów, którzy naśladowują starszych. Dziś chłopiec z inteligentnej rodziny chce wyglądać jak cham z zakazanej ulicy, więc goli śmieszna główkę i zakłada czarne okulary. Już nie marzą, że jak dorosną, zostaną inżynierami, doktorami, chcieliby być gangsterami i mówią „jebać gliny”!

– Jacek! Jak możesz?! Taki język przy Maniusi?! – krzyknęła zgorziona Marianna.

– Przepraszam, to był cytat.

– Babciu, mnie to nie gorszy, ja wiem, co to za słowo. Pochodzi od zajebisty, wszyscy dzisiaj tak mówią.

Marianna złapała się za głowę.

– My, wieśniacy, to znaczy po waszemu chamy, tak nie mówimy, wy, miastowe ludzie, dajecie nam przykład. Bóg zapłać wam za to! – Ukłoniła się nisko, parodiując staroświecki pokłon włościański.

– Matka, ty masz talent aktorski! Fachura ci to mówi! – krzyknął Jacek.

– Założę się, że mama się udziela w kółku teatralnym koła gospodyń wiejskich w Starych Juchach i tańczy *Głęboka stuudzienkaaa...* – Kasia ujęła się pod boki i pokiwała swoją ciążą w prawo i w lewo, parodiując taniec ludowy.

Marianna się roześmiała.

– No, co ty?..

Jacka to nieoczekiwanie zezłościło.

– Przegięłaś, wiesz?!

Przytomnie wkroczył Robert:

– Działki, sza! Bo was postawię do kąta.

Kasia wzruszyła ramionami, ale przestała. Chyba się trochę zawstydyła, Marianna objęła ją i pocałowała na pocieszenie. Teraz dopiero, właśnie w tej parodii tańca, brzuch Kasi uwidocznił się wyraźnie, a wręcz pokaźnie.

– To właściwie na kiedy ci wyliczyli poród? – zapytała Marianna.

– Przecież wiesz. Na dwudziestego czwartego kwietnia, na twoje urodziny. Jakby się pchał... to znaczy pchała za wcześnie, to ją zatrzymam, a jak będzie marudzić, to wypchnę za drzwi...

Robert rzucił na nią szybkie spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Jacek spojrzał nagle na zegarek.

– O, rany Boskie! Zupełnie zapomniałem! Mamo, wybacz, muszę jeszcze na moment wyskoczyć. Posiedź chwilkę u nich albo pojedź do domu i tam się spotkamy.

– Poczekam tu, jeśli mnie nie wyrzucą – odpowiedziała Marianna. – W ten sposób zmuszę cię do pośpieszenia się z tą chwilką...

– Dobrze, gdyby się przedłużyło, zadzwonię!

Wybiegł jak szalony, nawet się nie pożegnał spojrzeniem z siostrą i szwagrem.

– A co, nie mówiłem? – spytał Robert z uśmiechem. – To na pewno nie jakieś tam pogotowie seksualne – spojrzał porozumiewawczo na Kasię.

Marianna zrobiła zdziwioną minę.

– Jakie znowu pogotowie?

– W sensie, że nie jakaś tam przelotna miłośćka – wyjaśniła jej córka. – Ja też coś słyszałam...

– O czym wy mówicie? – Marianna nie mogła się połapać.

Robert popatrzył z wahaniem na Kasię, jakby chciał uzyskać jej aprobatę, ona

wzruszyła tylko ramionami, co mogłoby się wydawać niejednoznaczne, ale nie Robertowi, który dobrze znał swoją żonę, więc zaczął:

– Nie wiem, jak ty, mamó, ale my, chociaż znamy dobrze Jacka i wiemy, że jest seksoholikiem, że nareszcie osiągnął idealny dla siebie stan: jest wolny, nieskrępowany, za nikogo nie odpowiada...

– Jak to? – przerwała mu. – A za Jaśka?!

– Oczywiście, ale Jasiek jest daleko, bezpieczny z mamą, a tu nikt na Jacku nie wisi, jest wesołym ptaszkiem, który sobie skacze z gałązki na gałązkę, wymarzona sytuacja...

– Dla każdego samca, łącznie z tobą! – Kasia wbiła mu igiełkę w idealnie wymierzonej chwili.

– No, przestań... – opędził się dobrotliwie Robert. – Otóż wydaje się, że nadszedł kres tej wolności. Pojawiła się jakaś tajemnicza kobieta...

– Tak?! – Marianna aż podskoczyła na fotelu. – Kto to jest?

– Sęk w tym, że nikt dokładnie nie wie, nikt jej nie widział. Z tego, co do mnie doszło, to jest jakaś skrzypaczka lub wiolonczelistka...

– Wiolonczelistka, la la la... – zanuciła Kasia ze złośliwą miną. – A ja słyszałam, że to jakaś cyrkówka czy celebrytka...

– Otóż nie i nie ma nic wspólnego z show-biznesem, gra muzykę poważną, studiuje w Akademii Muzycznej w Warszawie, ale... – Robert zawiesił głowę.

– Ale co? – zniecierpliwiła się Kasia.

– Ona jest Chinką.

– No, nie! – wykrzyknęła Marianna. – Jak oni ze sobą rozmawiają?

– Jak kobieta z mężczyzną, to jasne – powiedziała Kasia z politowaniem.

– Ona na pewno już mówi po polsku albo rozmawiają po angielsku. Chińczycy dobrze mówią po angielsku, bo wymawiają „r”, a nie jak Japończycy, którzy wymawiają je jak „l”, w związku z czym jest wiele nieporozumień i dowcipów.

Marianna zastygła w osłupieniu: w duchu od dawna martwiła się sytuacją Jacka i bardzo by chciała, aby związał się z jakąś rozsądną i dobrą kobietą, która by się nim zaopiekowała i pokierowała jego życiem, ale Chinka! Po pierwsze, to raczej nie ma przyszłości, ze względu na skrajne różnice między dwiema kulturami, a po drugie, ona może być najlepszym człowiekiem, ale nie jest to ktoś, kto zaopiekuje się, pokieruje Jackiem, choćby dlatego, że nie wie, jak tu się poruszać, i to on musiałby być stroną wiodącą w tym związku, a co do jego możliwości w tym zakresie nie miała

złudzeń. Przez jej głowę przeleciało wspomnienie historii Marty, serdecznej przyjaciółki z Nowego Jorku: miała dwie świetne córki, już tam urodzone i wychowane w duchu tolerancji i w poczuciu, że świat jest dziś otwarty i jednakowo dostępny dla wszystkich, typowe wychowanki nowojorskiego *melting pot*. Jedna wyszła za japońskiego chirurga i wyjechała z nim do Tokio, druga za ortodoksyjnego Żyda i została w Brooklynie. Rozwiodły się po paru latach wysiłków obu stron, żeby zintegrować różnice kulturowe, które okazały się nieprzezwyciężalne.

– I co teraz będzie? – spytała z tak prawdziwym zatroskaniem, że Robert i Kasia się roześmiali.

– Nic nie będzie – odparła Kasia. – Jest Chinka, za chwilę będzie Koreanka albo Japonka. Nie zauważyłaś, ile żółtków jest w Warszawie?

– Wiesz, że nie wolno tak mówić, to jest niepoprawne politycznie. Tak jak nie wolno mówić Murzyn... – zaczął Robert, ale Kasia go zakrzyzczała:

– Co to znaczy: nie wolno?! Komu nie wolno?! Gdzie nie wolno?! Murzyn nie wolno, a Murzynek wolno? „Murzynek Bambo w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka...”, to już nie mamy tam koleżki?! – krzyknęła wzburzona Kasia.

Robert przestraszył się tego wybuchu, przysiadł się do Kasi i objął ją.

– Ależ wolno, tobie wolno wszystko, tylko nie wolno się denerwować. To jest oczywiście głupie, bo mechanicznie przeniesione ze Stanów. Tam słowo *Nigger* czy *Black* obrośnięte jest najgorszymi skojarzeniami z Ku-Klux-Klanem czy segregacją rasową, u nas zdarzały się jakieś pojedyncze incydenty, a wymyślone przez ulicę mają być może trochę obraźliwy czy pogardliwy wydźwięk, ale są bardzo łagodne, a ponadto w pewnym sensie dowcipne, inteligentne: asfalt czy tunel... A Chinką na razie nie ma się co martwić, to, co teraz wiemy, to mogą być tylko plotki albo złośliwe kawały wymyślone przez koleśki. Poczekamy, zobaczymy...

Przerwał, bo zadźwięczał sygnał domofonu. Robert wstał i poszedł do hallu, podniósł słuchawkę. Posłuchał i powiedział:

– Dobrze, ale może ją zapytam? – Zawołał w głąb mieszkania: – To Jacek, mówi, żebyś zeszła, on już nie chce tu wejść, zaczeka na dole.

– Ma rację, już idę! – powiedziała Marianna. Ucałowała Kasię i Maniusię, która przybiegła, słysząc, że babcia wychodzi, pożegnała się z Robertem i wyszła.

Jacek stał przy jej samochodzie, który zaparkowała na ulicy.

– Musisz prowadzić, mnie nie wolno... – powiedział.

– Jeszcze piłeś? – westchnęła.

– Ani kropli, ale przecież przy kolacji piłem. Robert nalał mi dwie bomby scotcha...

Po drodze rozmawiali o jakichś głupstwach. Mariannę korciło, aby naprowadzić rozmowę na coś chińskiego: kuchnię, tenisówki, jedzenie pałeczkami, chiński mur, ale na szczęście się powstrzymała.



Przed wyjazdem do siebie na wieś Marianna postanowiła jeszcze odwiedzić doktora F., mieszkającego w niedalekim sąsiedztwie placu Inwalidów, na tak zwanym Żoliborzu Oficerskim. Dzielnica powstała w latach dwudziestych, niedaleko Cytadeli. Miasto spory kawał ziemi podarowało armii, a ta z kolei zaczęła obdarowywać zasłużonych oficerów działkami, na których budowano wille i domy szeregowe. Tu zbudował swoją willę generał Józef Haller, dowódca II brygady Legionów, a potem zacięty przeciwnik Piłsudskiego, niedaleko mieszkał pułkownik Sosabowski, późniejszy generał, dowódca I Samodzielnej Brygady Spadochronowej, wsławionej tragicznym desantem pod Arnhem, większość nazw ulic miało swe źródło w historii wojskowości: generała Zajączka, Czarnieckiego, Hauke-Bosaka, Kaniowska. Nawet komunistyczni ciemniacy nie zorientowali się, że nazwa tej ostatniej pochodzi od Kaniowa, miejscowości na Ukrainie, gdzie Legiony stoczyły ciężką bitwę z Niemcami, jedną z legend historii odzyskania niepodległości, i nie zmienili jej. A mogli, bo zaciekle walczyli z tradycjami II Rzeczypospolitej, zmieniając tu między innymi ulicę Pogonowskiego na Zaułek czy Lisa-Kuli na Pochyłą. O tym wszystkim rozmyślała Marianna, idąc z wizytą do doktora F., niosąc mu w prezencie butelkę dobrego wina, które uwielbiał.

Nagle zachnęła się i krzyknęła do siebie w duchu: „Co ty, Wikipedia jesteś?! Myślisz o zapomnianych sprawach, a nie pamiętasz o lekarstwie!”.

Rzeczywiście zapomniała o wstąpieniu do apteki pod domem, o co prosił rano doktor, dzwoniąc na jej komórkę.

– Kochanie, wstąp do apteki i odbierz lekarstwo. Powiedz, że dla mnie, to ci wydadzą, pewno zresztą cię jeszcze pamiętają...

– Jeśli jeszcze jest ta chuda wścieklizna, to mnie pamięta – przyznała Marianna, widząc na ekranie pamięci trochę już nieostrą twarz owej farmaceutki, wyjątkowo nieuprzejmej osoby.

– O, tamtej już dawno nie ma! Na szczęście! Są podobno młode, niezłe dupki, ale ja ich niestety nie widziałem.

Marianna uśmiechnęła się: to cały doktor F., znany w tej dzielnicy ekscentryk i miłośnik kobiecego ciała. Niestworzone opowieści o nim krążyły. Zawróciła więc na plac i weszła do apteki koło poczty. W środku zmieniło się bardzo: zamiast parawanów z matowych szyb, w których wycięte były tylko okrągłe otwory do porozumiewania się i półkoliste do podawania recept oraz płacenia, zastała otwarte

blaty z jasnego kamienia, i nowe, jasne meble zamiast ponurych szafek z emaliowanymi, owalnymi tabliczkami z łacińskimi nazwami leków, które chyba miały budzić respekt, a nawet lęk przed tajemniczym światem farmacji.

– Popatrz, jakim zaufaniem darzą ludzie pewne zawody – mawiał często Krzysztof – taka pani magister może ci domieszać strychniny do syropku na kaszel, zupełnie bezkarnie, bo nikt nie będzie prowadzić śledztwa z powodu każdego zgonu, a farmaceutka z zasady jest poza podejrzeniami. Albo fryzjerzy! Goli cię taki...

– Ja się nie golę – przerywała mu.

– No dobra, goli mnie taki, a skąd ja wiem, czy go nagle coś nie skusi, żeby podciąć mi gardło?! Wystarczy jeden impuls do chorego mózgu i on od razu: ryziu, ryziu! A potem szukaj wiatru w polu, bo przebiegły psychopata już płynie promem ze Świnoujścia do Ystad!

– Znasz taki przypadek? – pytała zaciekawiona Marianna.

– Nie, to się jeszcze nie zdarzyło, ale może się zdarzyć – odpowiedział trochę zbity z pantafelku.

– I pan Zygmunt może w każdej chwili zwariować, poderznąć ci gardło i uciec do Szwecji?

– No, on na pewno nie, ale... – zaczynał się płątać i rozmowa nie miała żadnych konsekwencji.

Młoda, sympatyczna dziewczyna w białym fartuchu uśmiechnęła się do nowej klientki zapraszająco. Marianna zawahała się troszkę, bo obok stał już jakiś klient, ale zrozumiała, że on czeka. Młoda pani magister od razu pojęła, o co Mariannie chodzi, i odwróciła się, aby wyjąć lek z szufladki, wtedy z zaplecza dobiegł głos:

– Magda, ja nie mogę tego znaleźć!

Zza szaf wyłonił się mężczyzna w białym płaszczu z twarzą czarną jak smoła. Murzyn! Afrykanin – sprostował politycznie poprawny cenzor w głowie Marianny.

Wysoki, bardzo przystojny czarny mężczyzna, niewątpliwie farmaceuta, mówiący po polsku bez najmniejszego akcentu, to nie był widok często spotykany w Warszawie. Marianna odwróciła wzrok i przybrała obojętny wyraz, wydawało się jej, że tak okaże grzeczność, tymczasem pani magister przeprosiła ją i zapytała czekającego klienta, eleganckiego, starszego siwego pana:

– O co pan prosił kolegę?

– Albo trzy.

Farmaceutka wystukała nazwę na klawiaturze i spojrzała na ekran komputera.

– Nie mamy takiego leku. Czy jest pan pewny, że nazwa jest właściwa?

Starszy pan wyjął telefon komórkowy.

– Pozwolą państwo, że sprawdzę... – zwrócił się do blondyneczki i Murzyna, a także niejako i do Marianny. Zaczął wybierać numer, farmaceutka wróciła do obsługiwania Marianny, czarny magister taktownie czekał.

– To jest to, co pan doktor zamówił, ale dokładam jeszcze... – zaczęła, ale przerwała, bo starszy pan mówił dosyć głośno do słuchawki:

– Czy to jest Albo trzy? Jak? Powtórz. Albo..., jak albo? – posłuchał chwilę – No, jak albo trzy, albo cztery, albo pięć? Nie? No to przeliteruj! ALBOTHYL? – spojrzał pytająco na farmaceutkę, ta kiwnęła głową z miną „to oczywiste”, ale pan jeszcze mówił: – Słuchaj, ja wiem, jak się wymawia „th” i po angielsku, i po grecku, ale u nas, pod wpływem Niemców i częstego występowania tej zbitki... Co?! Sama jesteś głucha Gienia! Poza tym Gienia nie była głucha, tylko ślepa! Do widzenia!

Starszy pan odetchnął z ulgą i pokręcił głową z miną: „to niewiarygodne do czego dochodzi”, Murzyn sięgnął do jednej z szufladek, farmaceutka tłumiała śmiech. Starszy pan zapytał Murzyna:

– Czy to jest może na głowę?

Farmaceutka prychnęła śmiechem, uprzejmy Murzyn otworzył już usta do odpowiedzi, błyskając białymi jak kreda zębami, ale ubiegła go koleżanka:

– Nie, to są globulki dopochwowe. Na kobiece sprawy.

Starszy pan zmieszał się trochę i nie wiadomo dlaczego zwrócił się do Marianny, uchylając kapelusza:

– Bardzo panią przepraszam.

Zapłacił za lekarstwo i mrugnawszy do Murzyna porozumiewawczo, dodał:

– Jak tak dalej pójdzie, będziemy też proszeni o aplikowanie...

Marianna i farmaceutka wymieniły spojrzenia i pokręciły głowami z dezaprobatą. Starszy pan podziękował, ukłonił się i wyszedł, Marianna wyszła chwilę za nim. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak wsiada on do dużej, czarnej limuzyny z kierowcą i odjeżdżają.

Doktor F. mieszkał bardzo niedaleko, w starej żoliborskiej willi z lat dwudziestych, wolno stojącej, otoczonej dużym ogrodem. Kupił ją w latach sześćdziesiątych po odsiedzeniu wieloletniego więzienia za AK. Mówiono, że za wyleczenie we Wronkach jakiegoś kryminalisty, podobno bossa praskich bandziorów, dostał bajeczne honorarium, które mu wypłacono, gdy wyszedł. Inna,

bardziej prawdopodobna wersja głosiła, że po wyjściu na wolność najpierw osiedlił się gdzieś na prowincji, gdzie zasłynął jako cudotwórca, do którego zapisywano się na kilka miesięcy naprzód, a po paru latach przyjechał do Warszawy, skąd zresztą pochodził, z ogromną kasą i od urzędu dzielnicowego wykupił ten dom z lokatorami. Wszystkim kupił przyzwoite mieszkania, wykwaterował, jak się wtedy mówiło, a potem wyremontował, zamieniając go wręcz w pałac. Miał dość kosztowne hobby: uwielbiał stare meble, a szczególnie angielskie w stylu królowej Anny, i cierpliwie, przez lata zbierał je, przywoził z zagranicy, wymieniał i poszukiwał po wszystkich antykwiariatach w kraju.

Jeszcze przed przeprowadzką do stolicy, w tym anonimowym miasteczku na wschodzie Polski, znalazł żonę, dużo młodszą, dorodną, zdrową dziewczynę, która urodziła mu dwojkę dzieci: Maćka i Danusię. Okazały się zdolne i utalentowane: Maciej został uznanym malarzem, Danuta wybitną śpiewaczką operową, występującą na całym świecie. Żona zginęła w wypadku samochodowym na początku lat osiemdziesiątych, kiedy dzieci były już po studiach, a on ledwie przekroczył sześćdziesiątkę, i wtedy zaczął drugą młodość. Kupił sobie w tajemnicy przed wszystkimi dobrze ukrytą w centrum luksusową garsonierę i niemal codziennie przyprowadzał tam coraz młodsze i atrakcyjniejsze dziewczyny. Na początku miał ambicję, żeby nie korzystać z usług prostytutek i nie pieniędzmi, a kosztownymi prezentami opłacał swoje rozkosze, ale później, gdy na rynku pojawiła się nowa kategoria luksusowych hostess i znacznie podniósł się poziom nowej kadry „panienek”, pozbył się oporów i płacił, wyszukując coraz droższe oferty.

Z czasem osłabła w nim pasja poszukiwania wciąż nowych wrażeń i związał się na dłużej z dwiema, bardzo starannie wyselekcjonowanymi z dziesiątek przetestowanych. Płacił im wysokie pensje „za gotowość” plus wynagrodzenie ekstra za każde spotkanie. Pierwsza – cudownie zbudowana, uderzająca pięknością, była studentką („sponsorował ją”), zakochana w sobie do szaleństwa, pragnęła przeglądać się w lustrzanych ścianach jego łazienki i wszystkie pieniądze od niego wydawała na stroje i biżuterię, którą uwielbiała. Wiedział, że ma jeszcze jednego stałego sponsora, kilku cudzoziemców sporadycznie przyjeżdżających w interesach do Warszawy i stałego narzeczonego, łatwowiernego, biednego jak mysz kościelna studenta, którego de facto utrzymywała. Była bardzo bystrą i niegłupią dziewczyną, twardo stającą po ziemi. „To jest moja najważniejsza dekada – mówiła – teraz muszę wykorzystać swoje atuty, potem będę tylko brzydka. Nie zamierzam walczyć do upadłego o urodę, póki jest, wycisnę z niej wszystko, na maksa, po trzydziestce

zmieniam się totalnie. Nie marzę, jak większość dziewczyn, żeby złapać cudzoziemca, wyjść za mąż, wyjechać do Nowej Zelandii i grać damę. Wyjdę za mąż, ale wyjadę tylko z Warszawy, do jakiegoś fajnego miasta, Krakowa, Wrocławia, zrobimy sobie dwójkę dzieci i tak dalej, i tak dalej – już po bożemu, ale biedy klepać nie będę, odłożę sobie ile trzeba”. Kiedy zapytał, czy te plany wiąże z tym swoim narzeczonym, zaśmiała się pobłaźliwie: „Nie, to miły Misiu, ale oferma, znajdę sobie lepszego ojca moich cudownych dzieci!”.

Druga jego nałożnica była całkowitym przeciwieństwem pierwszej: trochę zaniedbana mężatka około czterdziestki, matka trójki drobnych dzieci, z nadwagą, która czyniła z niej prawie Wenus z Willendorfu, dorabiała sobie do domowego budżetu, bo mąż był bezrobotnym pijakiem. Traktowała swoją pracę bardzo serio, bardzo się starała, żeby był z niej zadowolony, bo bała się, że straci zajęcie, ale równocześnie autentycznie ją lubiła. Uprawiała z nim seks z taką pasją i zachwytem, była niestrudzona w poszukiwaniu nowych bodźców, tak fizycznych, jak i psychicznych, chyba nikt nigdy nie potrafił go tak rozpaścić jak ona. Dlatego płacił jej coraz wyższe premie, podwyższał stałą pensję, tak że wzbraniała się ją przyjmować, a on płacąc, miał wrażenie, że tym wyznaje jej miłość, i dziękował jej za łaskę, którą go obdarzała. Tak oddawał cześć niemal religijną jej zmysłom. To wszystko działo się trzydzieści, dwadzieścia, a nawet dziesięć lat temu (partnerki, czyli jak mawiał „personel”, zmieniały się oczywiście wielokrotnie w tym okresie), teraz doktor F. miał dziewięćdziesiąt cztery lata i już od roku nie opuszczał domu. Krzysztof, kiedy jeździł na swoje uniwersyteckie wykłady, obiecywał sobie go odwiedzać, ale przeważnie przypominał sobie o tym w połowie drogi powrotnej.

Przepiękne, rzeźbione w czarnym dębie wejściowe odrzwia otworzyło jakieś szare pokurczę, klasyczny kocmołuch w starym stylu, biedactwo ze wsi najęte do służby „u miastowego państwa”.

– Pan starszy już umyty, czeka u siebie – powiedziało.

Marianna pomyślała, że służąca wzięła ją za lekarkę, a może za jakąś masażystkę, ale nie zareagowała. Poszła za dziewczyną przez hall i kilka pokoi amfiladowych, urządzonych z wyrafinowanym smakiem, do sypialni doktora. Siedział w wysokim fotelu, wsparty na jedwabnych poduszkach w kolorze écru, miał na sobie bordową bonzurkę i ciemne spodnie. Stopy odziane były w safianowe pantofle od Salamandra, pod szyją jaśniała śnieżnobiała apaszka. Wciąż miał piękną, jak wyrzeźbioną twarz i młodzieńczy błysk w oczach. Pokurczę przeczekowało chwilę powitania, które było niewymuszone i swobodne, jak zawsze ucałowali się

i uściśnięli, podsunęło gościowi mniejszy fotel i zapytało:

– Co podać: kawę czy herbatę?

Marianna poprosiła o herbatę i chwilę później tego pożałowała, ale pokurczę już się oddaliło. Marianna oddała doktorowi F. lekarstwa i wręczyła mu butelkę. Podniósł okulary na czoło i przyjrzał się z bliska etykietce.

– Ho, ho, ho! Gdzie ty kupujesz takie wina?

– Nie uwierzysz, w waszym sklepiku, po schodkach...

– Nie gadaj! Tu, na tym zadupiu?

– Bo ty nie wiesz, co tu się dzieje dookoła. Starzy ludzie sprzedają domy młodym, przedsiębiorczym małżeństwom, te je przebudowują na luksusowe wille, bo mają forszę, więc nasza pocziwa Kazia podniosła standard sklepiku. Wzbogaciła ofertę, zwłaszcza alkoholi i delikatesów, nowy klient to wymusił.

– No, proszę! A jak ja ją na to namawiałem, jak prosiłem, żeby sprowadzała lepsze towary, to mówiła: „I kto to u mnie kupi? Pan, tak, ale ludzie tu nie mają pieniędzy, młodzi stąd dają dyla, zostają tylko emeryci i renciści, a tym ledwie na masło do chleba starcza”.

Weszło pokurczę z tacą, na której stała filiżanka herbaty, cukiernica i talerzyk kruchych herbatników.

– Ja nie słodzę, można zabrać cukiernicę – powiedziała Marianna.

– A ja już posłodziła – oznajmiło pokurczę.

– Co?! Posłodziłaś?! – oburzył się doktor. – Czyś ty do reszty zdurniała?! – Popatrzył na Mariannę, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Posłodziła i jeszcze przyniosła cukiernicę! Może myślisz, że za mało, i na wszelki wypadek przyniosłaś cukiernicę? Ile łyżeczek wsypałaś?

– Cztery.

– Cztery?! Zwariowałaś?! Kto tak słodzi?!

– Ja zawsze do szklanki cztery, a do kubka sześć...

– Niebawale! Chodź tu do mnie zaraz. Bliżej. Pochyl się!

Dziewczyna była wyraźnie przerażona, może myślała, że doktor ją uderzy, nawet Marianna nie rozumiała, do czego on zmierza. Doktor popatrzył na jej oko, jedno, drugie, obciągając powieki w dół.

– Przynieś szkło, leży na biurku.

Pokurczę podeszło do przepięknego biurka Boulla stojącego pod oknem i patrzyło na nie spanikowane, nie wiedząc, czego szuka. W końcu zobaczyło wielkie

szkło powiększające oprawione w srebro i zaryzykowało. Podało przedmiot doktorowi.

– Chodź bliżej, jeszcze raz. Schyl się niżej, kretynko, przecież nie gryzę!

Ponownie obejrzał jej lewą i prawą gałkę oczną, rozciągając powieki w górę i w dół.

– No, tak, cukrzyca! Że też ja tego nie zauważyłem! Wiesz – mrugnął szelmowsko do Marianny – ja teraz staram się nie patrzeć na młode dziewczynki, szkodzi mi to...

– Zwrócił się znów do służącej: – Masz czasem takie drżenie? Słabo ci? Boisz się? Spać ci się chce w dzień? No, taką trzęsionkę masz czasem?

– Tak, czasem mnie trzęsie... – odpowiedziała ze strachem dziewczyna.

– Dobra, teraz możesz odejść, potem cię zbadam dokładniej...

Dziewczyna wyszła przerażona, ale za chwilę wróciła z nową filiżanką herbaty, zapewne już gorzkiej.

Marianna przyjrzała się jej bliżej i stwierdziła, że dziewczyna ma wcale ładną twarz, tylko jej chude ciało, niski wzrost i postawa, jakby kaleka lub załęknioma, spowodowała, że została zakwalifikowana do pokurczy.

– Dziękuję ci. Jak masz na imię? – zapytała Marianna.

– Józia.

– Musisz uważać z cukrem.

– Tak, proszę pani – odparła pokornie Józia i cichutko wyszła.

– Biedne dziecko, skąd ona jest?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. To Stefa ją skądś przywiozła.

– Twoja pani doktor? Jesteś jeszcze z nią?

– To ona jest jeszcze ze mną, co mnie coraz bardziej dziwi. Ma dopiero siedemdziesiątkę z małym hakiem, można powiedzieć: młoda kobitka, mogłaby sobie jeszcze życie ułożyć...

Nie była pewna, czy kpi, czy mówi serio, więc odrzekła wymijająco:

– Jest po dwóch, zdaje się niezbyt udanych małżeństwach, może już nie chce ryzykować. Zresztą ma ciebie. Wiem, że jest ci bardzo oddana...

Machnął lekceważąco ręką, ale powstrzymał się od komentarza.

– A co u ciebie? – zapytał. – Jak sobie radzisz sama?

– Jakoś mi idzie. Teraz, kiedy minęło już kilka miesięcy, trochę odreagowałam. Zwłaszcza kiedy dowiedziałam się, że Krzysztof był ciężko chory i gdyby nie zginął, to i tak by umarł, tylko w wielkich cierpieniach. To mi przyniosło ulgę i ukoilo

żał...

– Chorował przed wypadkiem, była diagnoza?

– Nie, ukrywał to przede mną, przed wszystkimi.

– To jak się o tym dowiedziałaś?

– Zrobili sekcję zwłok.

– Konowały! Zawsze muszą krajać, kłuć, prześwietlać, wkładać w gardło, w dupę jakieś rury, sondy, zamęczać ludzi, nim zaczną leczyć, a przecież wystarczy...

Dlaczego nie przyszedł do mnie?!

– On pewnie wiedział, co mu jest, chyba się nawet próbował leczyć sam, a przede wszystkim nie chciał, żebym ja się dowiedziała...

– A ty się nie zorientowałaś?

– Skądże! Gdybym zaczęła coś podejrzewać...

Marianna zaniepokoiła się, jakby przeczuła, co teraz powie doktor F.

– To może on nie był chory? Wy, baby, potraficie nas prześwietlić lepiej od Roentgena i skoro nic nie zauważyłaś...

– No, tak, ale sekcja?

– Tak, tak. Jasne. Sekcja. Mieli czarne na białym... – powiedział pośpiesznie, jakby zorientował się, że brnie niebezpiecznie za daleko, i dodał: – Widocznie bardzo go kochałaś i dlatego nic nie widziałaś. Zakochane kobiety są ślepe.

Pomilczeli chwilę, Marianna westchnęła i powiedziała:

– Tak, zaniedbaliśmy ciebie. Odkąd wyjechaliśmy na Mazury, bywaliśmy tu coraz rzadziej. Kilka razy obiecywaliśmy sobie, że cię odwiedzimy, ale zawsze coś nam wypadło. Odkłada się, odsuwa spotkania z kochanymi ludźmi, a potem nagle robi się już za późno...

Doktor spojrzał na nią nieprzytomnie, a potem jakby się ocknął i powiedział jakimś zupełnie nowym tonem:

– Słuchaj, córeczko, zawsze cię bardzo lubiłem, podobałaś mi się, chciałem cię nawet uwodzić, ale lubiłem też Krzysztofa i nie mógłbym go skrzywdzić. Skrzywdziłbym was oboje, bo z tobą to by się nie dało tak pyk, pyk, pyk, cichcem parę razy. Ty byś się od razu zakochała, porzuciła jego i całą rodzinę, chciałabyś uciekać ze mną na koniec świata. Ja może i bym oszalał na twoim punkcie i też bym zrujnował moje wygodne, poukładane życie. A nie powinienem tego życia rujnować, bo zbudowałem je tak jak chciałem, najpierw w marzeniach, leżąc na betonie, w karcerze, polewany wodą, przy otwartym oknie, w styczniu, a potem mozolnie,

przez dziesięć lat, w Pipidówce, zaciskając zęby i harując całymi dniami, ciułając forsę, która pchała się do mnie drzwiami i oknami. Ale teraz, w tej chwili, poczułem coś takiego, jakiś imperatyw, któremu nie mam siły się oprzeć, że jesteś tą osobą, której to mogę powiedzieć, której muszę to powiedzieć, bo czuję, że niedługo umrę. Może to nie jest przypadek, że dzisiaj do mnie przyszedłeś, może tak było pisane albo tobie coś kazało, coś przyprowadziło cię za rękę. Podsuń się bliżej, córeczko, daj mi rękę i słuchaj...

Marianna poczuła przyplływ jakiegoś irracjonalnego lęku, ale przemogła się i podała mu rękę. Ujął ją kościstą, bladą dłońią o smukłych palcach pianisty, upstrzoną starczymi piegami, przyciągnął ją bliżej do siebie, tak że poczuła zapach jego oddechu. Nie był przykry, przypominał orzechy. Zaczął mówić cicho, poufnie:

– Słuchaj, córeczko, ja nie jestem żadnym doktorem, nigdy nie studiowałem żadnej medycyny, ale wiem więcej o chorobach i jak je leczyć od panów docentów, profesorów... Jak wybuchła wojna, miałem dwadzieścia jeden lat i studiowałem malarstwo, chciałem być malarzem, jak mój ojciec i jak mój starszy brat. Jego zmobilizowali, mnie nie zdążyli. On bił się nad Bzurą, cofał się z pułkiem aż pod Lwów, dostał się do niewoli niemieckiej, uciekł, złapali go Sowieci, bo właśnie wkroczyli, ale im też uciekł i przedostał się do Warszawy. W nocy, w listopadzie, wpław przez Bug.

Przez pierwsze trzy lata okupacji staraliśmy się jakoś utrzymać: handlowaliśmy papierosami, wódką, czym się dało, kupiliśmy riksze i jeździliśmy nią na zmianę. Któregoś dnia brat wiózł jakiegoś cywila, może Niemca lub volksdeutscha, chociaż odezwał się po polsku, jak wszedł i zamówił kurs, gdzieś na Powiśle. Jak jechali przez plac Trzech Krzyży, nagle z chodnika wyskoczyło dwóch młodych chłopaków i zaczęli strzelać do tego pasażera, on usiłował wyszarpnąć z kieszeni trenca pistolet, ale nie zdążył, podziurawili go jak sito i uciekli. Brat chciał strącić trupa z rikszy, ale nie dał rady, on był strasznie ciężki, bo był gruby, więc brat się przestraszył, zostawił riksze i uciekł na piechotę. Zdążył tylko zerwać tabliczkę z numerem rejestracyjnym. Ten zabity okazał się jakimś ważnym gestapowcem, Niemcy rozlepili ogłoszenia, że jeśli nie zgłosi się rikszarz, powieszają dwudziestu zakładników. Wieczorem przyjechał facet z takiego związku rikszarzy i dorożkarzy i powiedział, że wezwali go na Szucha i pokazali mu naszą riksze, żeby rozpoznał, czyja to. Rozpoznał, że nasza, bo brat pomalował ją ozdobnie, jak bryczkę, ale powiedział, że nie wie. Ten facet postawił nam flaszkę bimbru na stole i powiedział: „Napijcie się, chłopcy, na odwagę, wyjdźcie na miasto i skombinujcie sto dolarów.

Ten zielony papierek jutro rano przyniesiecie mi do biura za to, że was nie sypanąłem, a pojutrze jeszcze dwa takie same, za to, żebym przestał słuchać tego diabełka, który wciąż mi szepcze do ucha, żeby was jednak sypanąć. *Verstehen*?! Mieliśmy dwa wyjścia: zakłuc szuję na miejscu i uciekać albo obiecać, że przyniesiemy dolary, i też uciekać. Wybraliśmy drugi wariant, mimo wszystko bezpieczniejszy, bo uciekliśmy jeszcze tej nocy.

Pojechaliśmy do wuja, na wieś, pod Lublin. Akurat były żniwa, miejscowy obszarnik potrzebował rąk do pracy, więc nas zatrudnił sezonowo. Tam poznaliśmy niejakiego Adama, był zawodowym oficerem, zbiegł z oflagu, ukrywał się jako technik, konserwator sprzętu rolniczego. On nas wciągnął do konspiracji i z nim poszliśmy do lasu, jak Niemcy zaczęli przesiewać okolicę przez coraz gęstsze sita. W lubelskich lasach przesiedzieliśmy do końca wojny, ponad dwa lata. Wprawdzie Sowietci „wyzwolili” Lubelszczyznę już w lipcu, ale my woleliśmy się nie ujawniać i czekaliśmy, aż Zachód się o nas upomni. Na razie utworzyliśmy sobie taką małą, wolną Polskę z dwóch powiatów. I tu zrobiliśmy błąd: trzeba było zrobić z jednego, bo tak to się zaczęli źreć między sobą, gdzie ma być władza cywilna, gdzie hierarchia kościelna. Tymczasem przyjechało KBW i zrobiło krwawe porządki. Tych, którzy nie polegli, uwięziono, osądzono i skazano. Mego brata na karę śmierci, ja dostałem dożywocie.

Siedziałem we Wronkach, raz trafiłem na izbę chorych i tam poznałem doktora Webera. To był Niemiec, skazany też na dożywocie za eksperymenty medyczne na więźniarkach w którymś z obozów. Udało mi się zostać jego pomocnikiem i tak w ciągu sześciu lat pracy z nim zostałem gruntownie wyedukowany medycznie, ale najważniejsze, że zdradził mi swój sekret: rozpoznawanie schorzenia na podstawie wyglądu tęczówki oka. Tam jest wszystko napisane, i to jeszcze przed pojawieniem się znamion choroby, trzeba tylko umieć to odczytać, no i potem umieć leczyć. Tego mnie też nauczył, zanim umarł w pięćdziesiątym piątym roku, i kiedy zostałem pomocnikiem jego następcy, strasznego durnia z dyplomem doktorskim, praktycznie zacząłem rządzić tą izbą chorych. Rozpoznawałem choroby i przepisywałem leczenie, wszystko na konto pana doktora, który na całe więziennictwo polskie zasłynął jako genialny diagnosta i skuteczny lekarz. Wobec tego został ulaskawiony i mianowany dyrektorem szpitali MSW na cały kraj. Następcy jego już nie pomagałem i wkrótce mnie wyrzucił do celi. Na szczęście nie siedziałem już długo, po odsiedzeniu dwudziestu lat, w połowie lat sześćdziesiątych darowano mi resztę kary.

Wyszedłem z więzienia z papierami, w których mi napisali: „zawód – felczer” i miałem już dokładny plan, co robić. Jak otworzyłem pierwszy gabinet w małej dziurze za Lublinem, na tabliczce przy furtce napisałem: „Dr Zygmunt F. – ordynator”, licząc, że nikt mnie tam nie poprosi o dokumenty. I tak się stało. Raz tylko przyszedł jakiś kontroler z urzędu gminy, ale przypatrzyłem się jego oku i stwierdziłem, że ma spore nadciśnienie, zapytałem go, czy to leczy. Facet przestraszył się i już był mój, zacząłem go leczyć, z dobrym skutkiem, a on mi przyniósł w zębach wszystkie pozwolenia i certyfikaty, gdzie już figurowałem jako doktor. Jak już to wszystko miałem, to kiedyś przy wódce, w dobrym nastroju, powiedziałem mu, że jestem tylko felczerem, że nigdy nie twierdziłem, iż mam tytuł doktora, że to „dr” oznacza „dr!, dr! – proszę dzwonić!”. A „ordynator”, bo ordynowałem od piętnastej do osiemnastej. Potem nawet od rana do wieczora. Zaśmiewał się tylko i po pijacku wołał: „Dr, dr! – jestem zdrowy! Dr, dr! – mogę pić!”. Resztę znasz: zdiagnozowałem bezbłędnie i uleczyłem skutecznie dziesiątki tysięcy ludzi, a oni mi przynieśli tyle pieniędzy, że mogłem sobie stworzyć bajeczne życie, przy którym moje więzienne marzenia są naiwne jak wierszyki Konopnickiej... – Uśmiechnął się do swoich wspomnień, pomilczał chwilę, nim podjął opowieść.

– Te tysiące uzdrowionych ludzi to moja drabina do rajsu, tylko jeden szczebel jest złamany i mogę z niego runąć w otchłań: kiedyś przyjechał do mnie jakiś starzec, od razu mnie tknęło, że go kiedyś już spotkałem. Przyjrzałem się uważniej i rozpoznałem w nim kata z Wronek, powiesił setki ludzi, a przedtem z lubością ich tortuował: dźgał nożem, podpalał włosy, topił w wiadrze. Nie poznał mnie, ale ja byłem pewny, że to on. Zresztą w papierach miał napisane, że jest emerytem MSW. Rozpoznałem raka wątroby z przerzutami, wiedziałem, że zacznie potwornie cierpieć i będzie to trwało miesiącami. Nie pomogłem mu, przeciwnie, dałem mu leki, które go utrzymywały przy życiu, ale nie koły bóli, tylko je wzmagały. Postąpiłem wbrew przysiędze Hipokratesa, której zresztą nigdy nie składałem. Żył jeszcze rok, chociaż ja skazałem go na dwa. Nie wytrzymał, w szale potwornego bólu zadał sobie kilkanaście ciosów nożem w brzuch i skonał z upływu krwi. Opowiedziała mi to jego wnuczka, która przyjechała mi podziękować. Szlochała u mnie w gabinecie z żalu i mówiła, że był cudownym dziadkiem, kochała go nad życie...

Marianna milczała, oszołomiona tym niespodziewanym wyznaniem, zanim zapytała:

– Dłaczego mi to powiedziałaś?

– Bo ty jesteś mądra, a ja musiałem to z siebie wyrzucić. Musiałem wyrzucić to, z czym żyłem trzydzieści lat, i poprosić cię o... rozgrzeszenie.

– Mnie?! Jak ja mogę dać ci rozgrzeszenie? Wezwij księdza.

– Nie jestem wierzący. Nie widzę powodu spowiadać się przed jakimś facetem, którego nawet nie znam. A ciebie znam. Lepiej niż myślisz. Nie chcę, żebyś mówiła: *ego te absolvo...* itepe, powiedz tylko, że mnie rozumiesz.

– Rozumiem cię.

– To jest rozgrzeszenie.

Zamilkli. Doktor F. zamknął oczy i położył głowę na oparciu fotela. Oddychał głęboko, jak po wysiłku. Po skroni spływała mu strużka potu. Marianna zapytała bardzo cicho, niemal szeptem, poufnym tonem:

– Ktoś wie o tym, co mi opowiedziałeś?

– Nie. Nigdy mnie nikt o nic nie pytał. Nikt nie weryfikował moich papierów, a zgon tego kata nie był przecież podejrzany, chorował, stwierdzili nowotwór, a że źle go leczono, że cierpiał, że w końcu umarł... mało to ludzi tak umiera? No, może nie wszyscy kłują sobie brzuch nożem.

– Ale dostałeś przecież tytuł doktora honoris causa tego niemieckiego uniwersytetu?

– Oni też nie prosili mnie o żadne papiery, ale oni wszystko wiedzieli. Doktor Weber pisał o mnie w listach z więzienia do żony. Nazywał mnie – przepraszam, cytuję: „geniuszem diagnostyki”, uważał, że go przerosłem... – Doktor F. zaniósł się śmiechem, aż się zakrztusił i zakaszał. Poprosił o nalanie szklanki wody z kryształowej karafki. Marianna podniosła się, ale nim sięgnęła po szklankę, jak z podziemi wyrosła mała służąca i ją wyręczyła. Doktor wypił do dna.

– Dobrze, żeś przyszła – powiedział. – Idziemy sikać!

Wstał z wysiłkiem z fotela, podpierając się laską, i podtrzymywany przez dziewczynę pokuśtykał do łazienki. Lekko powłóczył lewą nogą. Po chwili wrócili. Usiadł, dziewczyna nakryła mu nogi pledem z wielbłądziej wełny, popatrzyła pytająco, czekając na polecenia, ale on odprawił ją ruchem ręki. Gdy wyszła, powiedział z goryczą, ale puszcżając szelmowskie oko:

– To jest teraz moje całe życie seksualne...

Marianna uśmiechnęła się, trochę zażenowana.

– A Stefania? Już nie żyjecie ze sobą?

– Przecież to jest stara kobieta?! – wykrzyknął szczerze zdumiony.

– Dużo młodsza od ciebie.

– Tak, o dwadzieścia dwa lata, ale to wciąż daje wynik siedemdziesiąt dwa! Na samą myśl, że mógłbym się gramolić na staruszkę, śmiech mnie ogarnia! Chociaż... mógłbym chyba jeszcze liczyć, na jakiś... petting, ale to Poznanianka, oni się tam na tym nie znają!

Marianna roześmiała się na głos.

– Wiesz, ty jesteś niesamowity! No, muszę cię pożegnać, chyba wrócę dziś na wieś...

Ucałowali się. Doktor F. powiedział na pożegnanie:

– Pamiętaj, Mańka, są trzy rzeczy na świecie ważne: najeść się, napić i popierdolić. I jeszcze czwarta: mówić prawdę.

Marianna wyszła od niego ogłuszona, jakby wybuchła koło niej petarda. Ta spowiedź, niespodziewana, a tak drastyczna, wydała jej się ciężarem nie do udźwignięcia. Dlaczego akurat ją to spotkało, dlaczego ją wybrał? Co ma z tym zrobić? To wszystko już dziś nie ma sensu, doktor już nie leczy, a zresztą czy zaszkodził komuś? Przecież pomógł tysiącom ludzi, a że jakiemuś łotrowi nie pomógł...? Czy miała prawo go rozgrzeszyć? Zresztą, czy zrozumienie to naprawdę rozgrzeszenie? Czy zdjęła ciężar z jego duszy i będzie mu teraz lżej żyć? Oszołomiona szła długo ulicą bez celu, zanim otrząsnęła się trochę i ruszyła do domu.

Następnego dnia dowiedziała się, że doktor F. umarł nad ranem.





Zima była już w wyraźnym odwrocie, w słoneczne dni śniegi topniały, w nocie znowu łapał je mróz, ale jego zęby tępiły się z każdym dniem, a pogróżek, że jeszcze tu wróci, nikt nie brał poważnie – marzec był już przecież za pasem. Marianna wróciła z Warszawy w dobrym nastroju, z głową wypełnioną planami. Zwątpienie i zniechęcenie już ją opuściły, wbrew poprzednim, co prawda niewypowiedzianym myślom, postanowiła, że otworzy pensjonat, jak zwykle, czyli 1 maja, a kto wie, czy nie na Wielkanoc, która w tym roku wypadła w drugą niedzielę kwietnia. Taką opcję uzależniała od pogody i temperatury. Pamiętała ten cudowny rok sprzed dekady, kiedy było tak ciepło, że w lany poniedziałek goście biegali po podwórku w kostiumach kąpielowych i oblewali się kubłami wody, jak to na wsi Pan Bóg przykazał przed wiekami. Potem jednak przypomniała sobie, że Jasiek obiecał przyjechać z Londynu właśnie w okresie Wielkanocy, i zrezygnowała z myśli o wcześniejszym otwarciu pensjonatu. Chciała cały czas jego ferii poświęcić tylko jemu, a nie biegać z wywieszonym językiem między gośćmi, kroić szynkę cudownie uwędzoną przez pana Czerniawskiego, podsuwać mazurki i lukrowane baby, poić smorodininową nalewką.

Zacząła od przeglądu posiadłości od zewnątrz. Założyła gumowe buty, bo wszędzie leżała poroztopowa breja, wzięła notes i długopis, zawołała Józka i ruszyli najpierw w pola, naturalnie w szczekającym radośnie towarzystwie psów. Czarny pobiegł w jedną stronę, Najki w drugą, a Heniek, któremu już całkiem przewróciło się w głowie, biegał to za jednym, to za drugim i podgryzał po łapach, usiłując zaganiać ich w stado, jakby były baranami. Marianna zauważyła, że Najki i Czarny wymieniły się spojrzeniami, komentując tym zachowanie „małego kaprała”, ale jak powiedziała o tym Józkowi, to popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Pani to by chciała jeszcze je pisać nauczyć...

Jeśli któryś z psów, jakie kiedykolwiek mieli, mógł się czegokolwiek nauczyć, to był nim Heniek. Po śmierci Baxtera Marianna długo nie mogła go zapomnieć i Krzysztof chciał kupić jej nowego pieska, najlepiej tej samej rasy, ale długo nie mógł niczego znaleźć, wreszcie pewnego dnia natrafił w Internecie na anons jakiejś hodowli we Wrocławiu, gdzie było zdjęcie jamnika łudzaco podobnego do Baxtera. Obok był jego rodowód i lista nagród, które zebrał na różnych wystawach. Okazało się oczywiście, że był *von und zu*, arystokratą od pokoleń, a nawet czempionem Europy w swojej klasie. Hodowla zawiadamiła, że na początku kwietnia należy się

spodziewać po nim potomstwa, że mamą będzie równie utytułowana i piękna jamniczka i że można się już zapisywać na szczeniaczki. Pierwszego kwietnia na stronie hodowli ukazało się radosne ogłoszenie: szczęśliwa mama powiła sześcioraczki i nie był to prima aprilis, bo obok widniała fotografia zmęczonej, ale szczęśliwej jamniczki w koszyku, otoczonej przez sześć małych szcurek. Sześć tygodni później, po uprzednim umówieniu się z właścicielką hodowli, Krzysztof pojechał do Warszawy, kupił specjalną torbę do przewożenia małych piesków (oczywiście długo zastanawiał się nad wyborem koloru i fasonu) i poleciał do Wrocławia. W hodowli powitał go wesoły jazgot dziesiątków psów różnych ras i właścicielka, osoba o wyglądzie nawiedzanej prorokini w powłóczystych szatach, zaprowadziła go do odpowiedniego kojca. Leżała tam umęczona mamusia, którą z zapalem ssało sześć już dość sporych piesków. Wszystkie były bardzo zajęte swoją czynnością, tylko jeden oderwał się od jedzenia, przekręcił głowę i z zainteresowaniem przyjrzał się Krzysztofowi. Wtedy odwrócił się, zrobił dwa kroczki do przodu i pomachał przyjaźnie ogonkiem: Krzysztof był jego! Wziął go i podniósł na wysokość twarzy: patrzyli na siebie dojrzały, rozumny człowiek i malutkie, psie dzieciątko, patrzyli sobie w oczy i obaj siebie zaakceptowali od tego pierwszego wejrzenia. Człowiek, obdarzony jeszcze przez naturę zdolnością refleksji, pomyślał z radością, że wzajemnie będą się dobrze rozumieli, bo łączy ich jedna wielka wspólnota, jeden tajemniczy cud obejmujący wszystko we wszechświecie: życie. Na lotnisku, przy kontroli, dwie surowe funkcjonariuszki zapytały go podejrzliwie:

– Co jest w tej torbie?

– Proszę zobaczyć – odparł Krzysztof i otworzył ją. Piesek wystawił główkę i uśmiechnął się (pomachał ogonkiem).

Obie funkcjonariuszki zaczęły wykrzykiwać pieszczącymi się głosikami:

– O Jeziu, Jeziu, jaki jestem ciudowny! Muniu, muniu, muniu! Takie łapki malusieńkie mamy, takie uszka kłapciuszka posiadamy! A ci ci ci, a ci, ci, ci!

Korzystając z euforii funkcjonariuszek, przejście pokonało kilku ponurych facetów w czarnych garniturach, kapeluszach i okularach, niosących długie futerały. Jeden z nich się niechcący otworzył i wypadł z niego ręczny karabin maszynowy i parę granatów. Facet przykląkł i flegmatycznie, bez pośpiechu pozbierał swoje fanty. Jakiś uprzejmy starszy pan podał mu jeden granat, który upadł tuż koło jego pedantycznie wyczyszczonego buta. Oprych zasalutował jednym palcem do runda kapelusza, nie przerywając żucia gumy, potem błyskawicznym ruchem sięgnął do

daszka czapki jakiegoś siedzącego obok wyrostka i naciągnął mu ją na oczy.

– Co się patrzysz, debilu?! – mruknął.

Ale na te wydarzenia nikt nie zwrócił uwagi, cała poczekalnia wpatrywała się z błogim zachwytem w małego jamniczka, który wyszedł z torby na środek sali, rozejrzał się przyjaźnie, ziewnął szeroko, przykucnął i wyprodukował ogromną kałużę. Jedna z funkcjonariuszek, kołysząc przytulnie ogromnym zadem, podbiegła i z zachwytem wytarła siki papierowym ręcznikiem, co obecni nagrodzili brawami. Do Krzysztofa podszedł jakiś cudzoziemiec i oksfordzką angielszczyzną zaczął go wypytywać o źródło nabycia torby. Zamierzał przewieźć do Amsterdamu swojego pieska i martwił się, że wstawią go do klatki i zamkną w przedziale bagażowym. Krzysztof z satysfakcją zauważył, że ta torba imponuje cudzoziemcowi, że być może pomyślał on, choć wciąż z lekkim niedowierzaniem, że ta Polska nie jest takim dzikim krajem, jak sądził. Dobrze, że nie zauważył na torbie naszywki: Made in China. Kto wpadł na pomysł, żeby jamniczka nazwać Heniem, Heńkiem, Henrykiem, ginie w pomroce dziejów. Niektóre źródła podają, że imię nadała mu Kasia, kiedy go zobaczyła, odbierając ojca z psem na Okęciu. Zachwycona błagała Krzysztofa, żeby go zostawił u niej w Warszawie, ale on się nie ugiął, chociaż serce mu łkało, zachwycone wrażliwością córki. Rozum przedstawiał jednak niezbite argumenty, że pies po miodowym miesiącu stanie się piątym kołem u wozu i nabawi się choroby sierocej. Najpewniej jednak nazwała go Heńkiem Marianna, która zakochała się w nim od pierwszej chwili, z wzajemnością.

Doszli do bramki w polu: zimowe wiatry mocowały się z nią parę miesięcy i pochyliły ją trochę, ale nie zdołały obalić. Dzika gęś z drewna lipowego, wieńcząca szczyt bramki, zbieła i zszarzała od deszczów i śniegów, ale wciąż trzymała się niezłe.

– Może ją trzeba jakoś zaimpregnować? – zapytała retorycznie Marianna.

– Jak ziemia zmięknie, to przyjadę naprostować bramkę, wtedy zaciągnę gęś pokostem, zaraz nabierze błysku! – odparł Józek.

– I tę kartkę trzeba już wymienić. Może to zrobić w czymś trwałym? Myślałam o wygrawerowaniu na mosiężnej tabliczce, albo zamówieniu takiej białej, emaliowanej?

– E, to wtedy naprawdę ukradną! Może by Gruby wyrzeźbił to na desce? „Jeśli chcesz, żeby spotkało cię coś dobrego, zadzwoń tym dzwonkiem, jeśli chcesz sobie napytać biedy – ukradnij go” – Józek przeczytał głośno napis na przybitej do słupa pinezkami kartce, zafoliowanej wprawdzie szczelnie, a mimo to sfatygowanej

i wymiętej. – Wie pani, ja żem nie wierzył, że to postraszy złodziei, a jednak to działa! Dzwonek wciąż wisi.

– Ale serce mu wyrwali, nie można już dzwonić. Jego też trzeba wymienić.

Zapisała w notesie: „wyprost. br., dzwonek, napis, tel. Gruby” i poszli dalej. Dotarli aż na cypel i obeszlili jego brzegi. Z krzaków wyskoczyła sarenka i przebiegła na drugi koniec, gdzie znów ukryła się w gęstwinie. Psy na szczęście czekały gdzieś daleko, pewnie wypłoszyły zająca. Cypel okalały olchy, wiele z nich było złamanych, obalonych przez burze i uschłych.

– Wezmę Kotulę z wozem, zwiezie się ten susz, potnie i porąbie. Będzie do kominków na całe lato.

– Jeszcze trzeba obejść cały brzeg.

– To się rozumie, nie musi pani iść. Kotuła ze trzy dniówki wyrobi, a może i cztery...

– A co u niego? Podobno jak owdowiał, to przestał pić?

– Ano, leżał krzyżem w kościele całą sumę, a potem przysiągł dobrodziejowi przy ludziach, że rzuca picie i palenie. Ludzie mówili, że to z radości.

– Z radości?

– Z radości, że mu baba obumarła.

– Obumarła? Chyba odumarła?

– A to wszystko jedno. Dość, że mu już nie skrzeczy za uszami. On mówi, że już dawno nie chciało mu się pić ani palić, ale musiał. Jej na złość! – Uśmiechnął się z triumfem, wyrażając tym męską, głupią solidarność.

Przyjrzała mu się z pod oka.

– A ty, Józek, chyba starym kawalerem zostaniesz? Nie żal ci Justyny?

Posmutniał i powiedział po chwili:

– Czasem może i żal, ale cieszę się, że jej dobrze jest. Z takiej bidy wyrosła, po klepisku całe dzieciństwo chodziła, a teraz wielka gospodyni jest, samych krów ze sto trzydzieści mają, z ujednolitych dopłat żyją po królewsku. A i jej chłop porządny człowiek, może trochę dla niej za stary i pewnie dlatego dzieci jeszcze nie mają. Ale jeszcze młoda, może jeszcze Pan Bóg da, albo jakiego ładnego Cygana podeśle...

Marianna się uśmiechnęła.

– To prawda z tymi Cyganami?

– Że co?

– No, że uwodzą nasze dziewczęta?

– A nie widzi pani po wioskach, a i w samym Ełku, ile takich kruczooczarnych dziewuch albo chłopaków biega? Cyganów jest tam cała ulica, z każdego okna talerz satelity sterczy, a pod domami rząd mercedesów parkuje. Ale nie wolno już mówić „Cyganie”, teraz to są Romowie i miasto im łoży na edukację!

– Czy to źle?

– Nie, dobrze, niech się uczą, a nie kradną, ale widzi pani: bliższa koszula ciała, dzieciaki z gminy do szkoły w Starych Juchach nieraz i pięć kilometrów chodzą na piechotę, bo bus czasem się psuje, czasem nie ma na paliwo... A zresztą, co mnie to obchodzi, może dlatego do żeniaczki mnie nie ciągnie, ani dzieci chcieć się nie chce... – głos mu uwiązł w gardle, umilkł rozgoryczony.

Marianna nie wiedziała, co powiedzieć, rozejrzała się, jakby zaniepokojona nieobecnością psów. Józek zauważył to, gwizdnął przeraźliwie na palcach. Usłyszeli zbliżające się szczekanie i psy nadbiegły, machając ogonami. Ostatni przybiegł Heniek, dumnym wzrokiem dając do zrozumienia, że to on je przygonił.

Poszli teraz do altanki na wzgórzu.

– Dobrze, że pan Krzysztof panią namówił, żeby nie stawiać tej wieży na górze. Teraz jeszcze by wystawała, ale za rok modrzewie i świerki ją by przerosły i nic by nie było z niej widać, a tu – proszę, widok zawsze ten sam!

Rzeczywiście widok stąd roztaczał się wspaniały, zwłaszcza kiedy słońce stało w kontrze, tak jak teraz, tafla jeziora mieniła się miliardami diamentowych błysków. Ale altanka gorzej przetrwała zimę: spadło kilka dachówek i gąsiorów, schodki też wymagały remontu, a całość malowania – Marianna to skrupulatnie zanotowała. Potem poddali oględzinom pomost. Tu na razie wszystko wyglądało dobrze, ale lód na jeziorze był jeszcze gruby i wszystko zależało od tego, jak będzie w tym roku topniał. Jeśli stopniowo i powoli, a nie będzie silnych wiatrów od zachodu, nie będzie też problemów, ale Marianna pamiętała, jak silny wiatr wyrzucił na brzeg hałdę połamanej kry, a wraz z nią dwa ogromne bloki betonu z rozbiórki owczarni, zatopione jesienią z zamiarem utworzenia falochronu. Uświadomiła sobie, jak dalece w ciągu tych ponad dwudziestu mazurskich lat stała się uzależniona od natury, jak nauczyła się respektować jej prawa i wymagania.

Obejście podwórka trwało niedługo, tu Józek doglądał wszystkiego na bieżąco i panował wzorowy porządek. Marianna pochwaliła go za opatrzenie bud psich na zimę, chociaż nie wszystkie były zajęte, bo Czarny i Najki uparczywie wolały tłoczyć się w jednej.

– Zmarzluchy! – powiedziała im Marianna z wyrzutem prosto w oczy. Pomachały

pogodnie ogonami, udając, że nie wiedzą, o co chodzi, dopiero Józek im przygadał:

– To tchórze, zwłaszcza Czarny! Najki to wszystko ma w nosie, bo wie, że budzi respekt i żaden złodziej mu nie podskoczy, a Czarny przy nim też gra waśniaka, ale jak Najki się zawieruszy z jakimiś dziećmi, to Czarny boi się na zapas, cały dzień chowa się po kątach, a na noc usiłuje się zadekować w czyimś pokoju albo pcha się do nas.

– Najki wciąż wymyka się do hotelu? Można by pomyśleć, że chodzi tam do baru, birbant!

– Jakiego hotelu? – zdziwił się Józek.

– No, tego tu, koło nas.

– To oni się już hotelem nazywają? Przedtem mówili, że to agroturystyka, dwór..

– Dalej tak mówią, tylko ja tak ich nazywam, bo to coraz bardziej przypomina hotel, a może nawet... A, nieważne. I Najki tam chodzi?

– Jak tylko przyjedzie do nich jakaś rodzina z dziećmi, Najki już tam jest. Oni zaraz dzwonią, żeby go zabrać, bo dzieci się boją, i ja po niego jadę. Po drodze mu nawkładam i jak wysiądzie pod garażem, idzie do budy ze spuszczoną głową i nie wychodzi do wieczora ze wstydu. Ale na drugi dzień rano pokaże się na chwilę, pokręci, udaje, że wszędzie go pełno, i nie wiadomo kiedy – myk i już go nie ma, spryciarza! A wie pani, co mnie dziwi? Że jak do nas czasem przyjadą dzieci, to pobawi się z nimi pół dnia, a potem znowu pędzi do hotelu, do tamtych dzieci, co to jest?

– Wygląda na to, że będziemy musieli wezwać jakiegoś detektywa do rozwiązania tajemnicy Najkiego. Za tym może się kryć jakaś wielka tragedia rodzinna! – zażartowała Marianna, a tak naprawdę dobrze wiedziała, co się kryje za dziwnym zachowaniem psa. Jakieś dziesięć lat temu, kiedy sześciolatek Jasiek spędzał u nich wakacje, wciąż marudził, że chciałby mieć psa, który byłby tylko jego i nikogo więcej. Pewnej niedzieli, w tajemnicy przed Marianną, pojechali z Krzysztofem na targ do Ełku, gdzie można było kupić wszystko, a więc i psy. Krzysztof potem naiwnie kręcił, że liczył na to, że nie będzie psów, że żaden Jaśkowi się nie spodoba, ale oczywiście stało się inaczej. Jasiek krążył między stoiskami i właściwie wszystkie psy mu się podobały, a rozanielony dziadek patrzył na jego reakcje z zachwytem. Nagle ukochany wnuczek przykucał przy jakimś koszu, w którym leżała piękna mama, owczarek niemiecki, z wianuszkami małych szczeniactek, i jeden z nich natychmiast polizał chłopca po twarzy.

– Ten! – krzyknął Jasio. – Tego chcę!

Dziadek mało się nie rozpląkał, widząc tę scenę, wyciągnął portfel i bez targów zapłacił za pieska. Tamże od razu kupili obróżkę, smycz, budkę z aksamitu, kilka rozmaitych szamponów i furę karmy dla szczeniaków najdroższej marki. To także zostało mu wypomniane wieczorem, kiedy Jasio z wykąpanym szczeniakiem spali już przytuleni w łóżeczku („Tylko tę jedną noc, babciu! On się będzie bał sam spać, bez mamy!”). Marianna rozczesywała włosy, siedząc na łóżku, a Krzysztof stał ze spuszczoną głową jak uczeń i pokornie słuchał reprimendy, że powinien był się targować, bo ta biedna kobieta teraz się zamartwia, że powiedziała za mało, skoro bez wahania zapłacił, i dlaczego nie zapisał, skąd była, co z tego, że z Grajewa, ale adres, adres?! I kto był ojcem pieska, a może jakiś kundel, bo co to można powiedzieć, teraz każdy szceniaczek jest śliczny, a kto wie, co z niego wyrośnie, i po co taka obróżka, przecież tu nie musi mieć obróżki, a za pół roku będzie nosić na ogonie, bo przecież od razu widać, że to będzie duże psisko, wystarczy popatrzeć na łapy... Kiedy teraz przypomniła sobie tę scenę, kiedy zobaczyła Krzysztofa, przestępującego z nogi na nogę, zawstydzonego, wyraźnie z poczuciem winy, zrobiło jej się tak jego żal, tak strasznie głupim wydało jej się teraz jej zachowanie, że gdyby w tej chwili zmartwychwstał, rzuciłaby się mu do nóg, całowałaby jego buty i błagała o przebaczenie!

Ale stało się: Najki, nazwany tak przez Jasia od marki jego ulubionych butów i kurtek Nike, rósł wraz z chłopcem, który się z nim nie rozstawał. W głowie Marianny wyświetlił się teraz następny film o ich zabawach na trawniku, koło garaży. Obaj tarzali się tam na grzbietach i nie wiadomo było, kto kogo naśladuje.

Najtrudniejsze były chwile, kiedy kończyły się wakacje. Najpierw Jasiek i pies znikali na całe godziny, zaszywając się albo w krzakach, na dzikiej plaży, albo chytrzej, bo na strychu, a kiedy rodzice już stanowczo chcieli chłopca wsadzić do samochodu, on rzucał się dziadkowi na szyję, wczepiał się w niego z całej siły i szlochał, mocząc mu całą koszulę:

– Ja nie chcę wracać, dziadku, błagam cię, zatrzymaj mnie, błagam!

Jacek zabierał go siłą, Iza wciągała na tylne siedzenie auta i szybko odjeżdżali, a głupi dziadkowie stali na progu domu, patrzyli na kurz, który powoli opadał za ginącym już za zakrętem samochodem, i płakali jak bobry.

Wspomnienie tej sceny wzruszało ich przez długie lata, kiedy i Jasiek, i Najki rośli jak na drożdżach i dorośleli. Zawsze też przywoływali na pomoc przeciw zbyt niemu rozczuleniu podobną scenę, która wydarzyła się parę lat później: gościli już któryś rok z rzędu, zawsze w lipcu, małżeństwo z córeczką, oczkiem w głowie

tatusia, bardzo aktywnego biznesmena. Kiedyś tatuś nagle musiał wyjechać do Warszawy na dwa dni. Mała Ola nie chciała go puścić, strasznie płakała i prosiła, ale on musiał. Po jego odjeździe dziewczynka zapłakana i zrozpaczona zwróciła się do jamniczka:

– Przytul mnie, Heniu, jestem taka nieszczęśliwa!

Heniek był wtedy jeszcze malutki, miał kilka tygodni, trudno było sobie wyobrazić, jak mógłby przytulić dużą już dziewczynkę.

Te wspomnienia przeleciały przez głowę Marianny z szybkością ponaddźwiękową, a jednak wszystkie szczegóły dały się zobaczyć wyraziście w kolorze, z dźwiękiem stereofonicznym i w 3D. Gdyby ludzie potrafili rejestrować swoje wspomnienia, fantazje, sny, co za cudowne powstawałyby filmy – pomyślała. Ale gdyby ktoś mógł rejestrować czyjeś myśli, nawet tylko w formie spisanego protokołu, toby dopiero była tragedia!

Orwell już myślał o tym w 1984!

Otrząsnęła się z tych myśli i weszli z Józkiem do głównego budynku. Przejrzeli dokładnie pokój za pokojem, łazienkę za łazienką. Przybyło trochę zapisków w notesie Marianny: tu przepalona żarówka, tam wieszak naderwany, tu zbita szybka obrazka *Obrona cmentarza Łyczakowskiego*, który spadł z haczyka, tam zapowietrzony grzejnik. A ogólnie: trzeba by odmalować wszystkie ściany, okna i parapety, drzwi mogą zostać, bo trzymają się świetnie, robota stolarza z Wydmin oparła się czasowi, a drewno modrzewiowe, z którego zrobił skrzydła, nabrało pięknej, miodowej barwy. Przydałoby się może tylko wymienić klamki, bo te, kompletowane kiedyś z trudem w pawilonach przy Marszałkowskiej, wyglądały już dość żałośnie i biednie.

Pani Helenka zawołała na obiad („Obiad! Obiad!”), Marianna chętnie zeszła i z apetytem jadła po sporym wysiłku i spacerze na powietrzu.

Czuła się bardzo szczęśliwa, że tu wróciła, i z zadowoleniem myślała, co jeszcze zrobi w gospodarstwie w najbliższych tygodniach.

Po obiedzie Marianna przypomniała sobie, że dawno nie widziała się z Krystyną, chociaż mieszkała ona tak blisko. Zadzwoiła i dowiedziała, że przyjaciółka właśnie pojechała do Warszawy, ale jej mąż został i zaprasza ją na popołudniową herbatę. Marianna bardzo go lubiła i chętnie przyjęła zaproszenie. Powiedział: „Five o’clock tea”, więc zdążyła się jeszcze troszkę zdrzemnąć, zmieniła bluzkę, wyjęła ze spiżarni konfiturę z malin w prezencie i wyruszyła. Chciała pójść piechotą ten niespełna kilometr, ale błotna breja i psy, które na pewno pobiegłyby za nią, odwiodły ją od

tego zamiaru – pojechała samochodem.

Henryk był emerytowanym profesorem ornitologii, jego specjalnością były papugi. Przez całą swoją karierę naukową, którą zaczął po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, na początku lat pięćdziesiątych, nie miał szans zobaczenia przedmiotów swoich zainteresowań, czyli papug, na wolności. Nigdy nie interesował się polityką, w ogóle niczym się nie interesował poza papugami, mimo to przypadkowo dostał się w rejon zamieszek ulicznych w czasie protestu robotniczego w 1956 roku. Na jego oczach padł trafiony milicyjną kulą młody człowiek i Henryk spontanicznie, wraz z jakimiś trzema przechodniami, pomógł wynieść go poza obszar ostrzału, a potem do pobliskiego szpitala. Młody człowiek okazał się studentem wydziału, na którym Henryk był świeżo upieczonym asystentem. Student, po wyleczeniu, został aresztowany i osądzony, zarzucono mu, że podburzał kolegów do protestu w obronie robotników, a Henryk przy okazji został w to wmieszany – za to, że pomagał go zanieść do szpitala. Prokurator nie chciał uwierzyć w przypadek, sam fakt, że byli z jednego uniwersytetu, stanowił wystarczający dowód współpracy i podobnej wrogości do ludowego państwa.

Dzięki pomocy wybitnego adwokata Stanisława H. udało mu się uniknąć kary, ale zapis, który został w aktach UB, wystarczał, żeby Henryk nie dostał nigdy paszportu, więc nigdy nie mógł wyjechać, nawet do zoo w NRD, bo tak zwanej wkładki do dowodu osobistego też mu odmawiano. Mimo to, posługując się literaturą przedmiotu i obserwacją dostępnych na miejscu okazów, osiągnął pozycję najwybitniejszego ornitologa, a może raczej papugologa w kraju. Zawsze chciał trzymać bodaj jednego ptaka w domu, ale jego żona Krystyna protestowała i w ogóle uważała, że jego zawód i pasja są objawem zaburzeń umysłowych, bo kto to widział, żeby dorosły mężczyzna zajmował się czymś tak niepoważnym. On bagatelizował jej ignorancję, a wszczynane przez nią z tego powodu awantury zbywał roztargnionymi gestami rąk.

Z czasem Henryk został mianowany profesorem zwyczajnym i zaproponowano mu katedrę na Uniwersytecie Warszawskim. Ale w domu nadal się nie przelewało, profesorskie pensje na polskich uniwersytetach zawsze były skromne, a papucie hobby należało do kosztownych, toteż Krystyna, osoba energiczna i przedsiębiorcza, postanowiła wykazać się „prywatną inicjatywą”, jak to wówczas nazywano, i otworzyła pracownię modniarską w wybudowanych właśnie pawilonach na Pradze. Znalazła dwie stare kobieciny, przedwojenne modystki, i zaczęła z nimi wytwarzać damskie kapelusze. To był strzał w dziesiątkę. Krystyna nie mogła nadążyć, tak

wielkim popytem cieszyły się jej wyroby. Teraz Henryk mógł wydawać całą swoją profesorską pensję na papugi, ona utrzymywała dom, studia córki, swoje zachcianki i jeszcze mogła dużo odłożyć. Ze skromnej, profesorskiej żony przeobraziła się w elegancką damę, kupiła drogi samochód, zaczęła podróżować. Złośliwe przyjaciółki plotkowały, twierdziły, że zmienia kochanków jak rękawiczki (raczej jak kapelusze), ale ona była za sprytna, żeby można ją było na czymś takim przyłapać.

Po zmianie systemu i nastaniu wolności, w każdym razie gospodarczej, Krystyna naprawdę rozwinęła skrzydła na swoją miarę (choć sama tak tego by nie nazwała ze względu na awersję do przebrzydłych ptaszysk swego męża maniaka). Zorientowała się, że jest popyt na blaszane kapsle do butelek, zwłaszcza do piwa, kupiła jakąś upadłą fabryczkę pod Warszawą, ściągnęła z zagranicy używany automat i zaczęła produkować. Każdy wypluwany przez maszynę kapsel spadał z niej do pojemników z cichym dźwiękiem: cyk, cyk, cyk, cyk, a tych cyków było codziennie najpierw kilkadziesiąt tysięcy, potem zaś, gdy zbudowała nową halę i kupiła całą linię automatów, wielokrotnie więcej, a każdy cyk to był najmniej jeden grosz. Fabryczka, która na początku zaopatrywała mały browar na Podlasiu, zamieniła się w ogromny zakład obsługujący całą Europę i kawałek Azji. W ciągu paru lat Krystyna, a przy niej Henryk, stali się milionerami.

W latach dziewięćdziesiątych, kiedy Henryk zbliżał się do wieku emerytalnego, Krystyna, już wówczas bardzo zamożna, zafundowała mu wielką wyprawę do Ameryki Południowej, aby mógł poobserwować swoje ukochane ptaki na wolności. Pojechał z nim młody asystent, człowiek przedsiębiorczy, znający języki, silny i zdrowy. Miał się opiekować swoim profesorem, być jego ochroniarzem i tłumaczem. Polecieli przez Frankfurt do Caracas, wynajęli motorową łódź z załogą i popłynęli w górę rzeki Orinoko. Profesor biegał jak opętany po pokładzie z jednej burty na drugą, bo papug napotkał tyle i tak różnorodnych, że mało nie dostał oczopląsu. Po miesiącu śmiertelnie znudzona załoga odmówiła dalszej współpracy, a zażenowany niewywiązaniem się z obietnic bosman poradził im, żeby pojechali do Peru, gdzie żyje niezwykle rzadki gatunek papugowatych – szkarłatka królewska (*Alisterus capularis*), bajecznie upierzona, tułów szkarłatny, skrzydła zielone.

Pociągami przez Kolumbię i Ekwador ruszyli do Peru i tam udało im się namówić tubylców, aby zwykłą, wiosłową łodzią, rodzajem pirogi, popłynęli z nimi rzeką Maranon do Ukajali z zamiarem dotarcia do Amazonki. Prócz ich łodzi płynęło z nimi jeszcze pięć z zapasami żywności, kobietami, dziećmi, psami i kotami, a nawet

z klątką drobiu. Niestety, na którymś biwaku asystent profesora nieopatrznie wyciągnął potajemnie zabrany w bagażu swój ulubiony instrument, organki koncertowe, i nie mógł się powstrzymać, żeby nie zagrać, zresztą całkiem udanie, kilku utworów z repertuaru zespołu Mazowsze, w którym kiedyś tańczył. Występ jego tak zachwycił Peruwiańczyków, że z wdzięczności wyciągnęli duży kociołek spirytusu, zmieszanego z peyotlem. W ciągu godziny wszyscy byli spici do nieprzytomności i wtedy doszło do haniebnego wyczynu tubylców: podróżnicy zostali zgwałceni – asystent przez kobiety, profesor, niestety, przez mężczyzn.

Niewykluczone, że ten akt powstał tylko w wyobraźni asystenta zamroczonego peyotlem, bo profesor uparcie twierdził, że niczego takiego nie pamięta. Zresztą nic dziwnego, bo przez trzy dni leżał na pokładzie łodzi i majaczył, z uporem powtarzając wciąż, że ma już dosyć tych kolorowych ptaszysk, które siedzą na każdym drzewie, i chce jechać do Nowej Zelandii i złapać papugę ziemistoszarą o nazwie kakapo (*Strigops habroptila*), która jest nietotem, nie wydaje żadnych dźwięków, nie da się jej wyuczyć żadnych obelżywych słów i do złudzenia przypomina sowę. Po tygodniu zniechęcenie profesora minęło, znów zaczął z pasją obserwować i fotografować papugi. Wrócił z podróży szczęśliwy i do szaleństwa rozkochany w tych ptakach. Jeśli przedtem, z wiadomych względów, nie trzymał w domu ani jednej papugi i musiały mu wystarczać te, które mieszkały w jego zakładzie na uczelni, to teraz zbuntował się i zapragnął mieć jakąś przy sobie.

Zaczął od jednej, która była bardzo pojętna, nauczyła się najpierw wołać „dobry wieczór”, bez względu na porę dnia, potem do złudzenia naśladować dzwonek telefonu, tak że nigdy nie było się pewnym, czy odebrać, czy nie, a wreszcie odgłos tramwaju, który przejeżdżał w okolicy niezbyt często, ale dzięki papudze co chwila. Potem kupił następną, do towarzystwa tej pierwszej, i od tego momentu nie mógł się powstrzymać od mnożenia swojej hodowli.

Kiedy liczba papug w ich mieszkaniu na Hożej osiągnęła wartość krytyczną, Krystyna zaczęła myśleć o jakimś domku letniskowym, gdzie mogłaby wywieźć męża razem z jego ptakami. Córka i zięć opowiedzieli jej o swoim weekendzie w pensjonacie Marianny, o urokach miejsca i o nadarzającej się okazji, i poczuła, że to jest rozwiązanie jej problemów. Przyjechała sama, zorientowała się, że chłop, który zamierza sprzedać ziemię położoną tuż nad jeziorem, jest samotnym alkoholikiem opuszczonym przez zdesperowaną żonę i osieroconym niedawno przez stareńkich rodziców zmarłych podobno dzień po dniu, więc zaproponowała, że kupi także jego dom i zapewni mu dożywocie. Dom był piękny, w starym stylu

mazurskim, otoczony obronnym murem z okazałą bramą wjazdową, cudownie wkomponowany w pejzaż, ale mocno zaniedbany. Chłop, o głowie ludząco przypominającej hipotetyczne wizerunki neandertalczyka, trochę się ociągał, mówił: „A skąd ja wiem, że mnie pani potem stąd, przepraszam za wyrażenie: nie wypierdoli, tak cy nie?”. Krystyna opowiadała potem, że pomyślała, że nie ona, a wódka go, przepraszam za wyrażenie, wypierdoli niedługo ze świata, tak cy nie, więc zapewniła, że będzie to miał w akcie notarialnym, i dopięła swego. Od tej chwili zaczęli go nazywać „Takcynie”, chociaż prosił, żeby go nazywać Nikodem.

Nim zaczęli remont, przeżyli chwilę grozy: w okolicy pojawiła się jakaś Ukrainka, która nie wiedząc, że chłop nic już nie ma, tylko szasta pieniędzmi na prawo i lewo, chlejąc całymi dniami, umyśliła sobie go usidlić. Kiedyś zaczekała, aż wyjdzie z karczmy Mazur w Królowej Woli, złapała go pod pachę i powiedziała, że zaprowadzi go do domu. Popatrzył na nią nieprzytomnie i powiedział:

– Irenka? Wróciłaś? To dobrze, chodź w krzaki, to cię wyobracam!

Ale zrobił tylko dwa kroki w stronę zarośli, runął jak długi i zasnął. Ukrainka nie dała za wygraną, najęła furę z koniem, chyba od Kotuli, bo on też był w karczmie, zainkasował zapłatę i wręczył jej bat ze słowami:

– Masz kluczyki, babo, tylko zwróć mi wóz przed nocą!

Ukrainka wrzuciła Takcyniego na dechy i powiozła do chałupy, tam wtaskała go do wyra i odjechała oddać furę. Pozwoliła mu spać do rana, jak się obudził, napiła kwasem spod ogórków, nagrzała baniak wody, nałała do cynowej balii i wsadziła go do mydlin. Wyszorowała go ryżową szczotką, bo miał skorupę brudu jak skóra hipopotama, ostrzygła i ogoliła i poszła z nim do łóżka.

Po trzech upojnych dniach Takcynie uciekł do restauracji Jutrzenka w Stradunach, a wszystkie chłopcy, jego kumple od flaszki, przysięgały jej, że nie wiedzą, gdzie on może być. Kotula posunął się nawet do tego, że przysięgł, że widział, jak Takcynie został przejechany przez kombajn, i na pewno jest w kostnicy szpitala miejskiego w Ełku. Nieszczęsnej, zapłakanej Ukraince stróż z litości pozwolił obejrzeć wszystkich nieboszczyków, a ona się przeraziła, że go nie pozna, faktycznie krótko go znała, ale problem rozwiązał się sam, bo w kostnicy leżały tylko jedne zwłoki, i to starej kobiety. Ukrainka dopiero wtedy zorientowała się, że stróż jest kompletnie pijany i nie rozumie, co się do niego mówi. Od tej chwili trochę łaskawiej patrzyła na problem pijaństwa na Ukrainie.

Tak czy owak, Takcynie zniknął. Ukrainka czekała na niego tydzień, po czym zdecydowała się wracać do domu, zostawiając tylko na stole kartkę, na której

nagryzmoliła po ukraińsku: „Żeby cię piekło pochłonęło, żebyś się smażył przez całą wieczność, Lachu, pijanico, za moją krzywdę, za moją miłość – Lena Ostapczuk, Jezupol 8, obw. Iwano-Frankiwszk”. A więc jednak odeszła z iskierką nadziei w sercu, ale Takcynie nigdy się nie odezwał. Wrócił po paru miesiącach z Pisz, gdzie przepił z bratem prawie wszystkie pieniądze za dom i ziemię, zabrakło mu już nawet na zamówioną protezę, i dalej straszył czarnymi pniakami po przednich górnych i dolnych zębach, straconych w licznych pijackich, heroicznym bojach. Krystyna zdecydowała się rozpocząć remont i nakazała Takcyniemu pilnować robotników, których najęła. Ci nie przemęczali się zbyt i remont trwał przeszło rok, Takcynie siedział osowiały pod ścianą i sączył piwko litościwie przynieszone mu przez majstra. Majster cierpiał na lumbago, nie wolno mu było nic podnosić, więc siedział obok Takcyniego beczynnie i apatycznie przyglądał się pracy swoich ludzi. Czasem wymieniali jakieś leniwe myśli, ale głównie milczeli. To było dobre dziesięć lat temu, Takcyniego nie widywano już w okolicznych gospodach, może wyjechał do brata albo umarł?

Marianna wjechała na podwórko i zaparkowała na wyznaczonym miejscu, Henryk otworzył drzwi i stanął w plamie żółtego światła: drobna sylwetka w aureoli siwych włosów. Przywitali się według nowego obyczaju, narzuconego przez pokolenie ich dzieci – ucałowali się w oba policzki. Marianna powinna była jeszcze unieść zgiętą w kolanie nogę, ale musiałyby mieć cienką pończochę i wysokie szpilki, żeby to wyglądało stylowo, a nie gumki naciągnięte na dżinsy. Henryk pomógł jej zdjąć okrycie i wprowadził ją do pokoju. Krystyna zostawiła cały układ starego domu i umeblowała go z wielkim gustem starymi, wiejskimi meblami ściąganyymi z całej Polski, a nawet z zagranicy. Piękna tyrolska malowana w kwiaty szafa, kupiona na targu staroci w Wiedniu, stała na honorowym miejscu salonu, w środku zainstalowano wielki, płaski telewizor, żeby oglądać program, trzeba było na oścież otworzyć drzwi i wyglądało to dobrze, bo wszystkie dodatki – dekodery, wzmacniacze, kolumny i odtwarzacze z całą płataniną kabli zniknęły po zamknięciu i nie straszyły swoim obmierzłym wyglądem.

Marianna usiadła w głębokim, wygodnym fotelu i obserwowała, jak Henryk rozlatanymi wielkimi dłońmi wyglądającymi jak kury, które chcą się wzbicić w powietrze, nalewa drinki. Zawsze fascynowało ją podobieństwo Henryka do bajkowego pana Kleksa albo do klasycznego wizerunku dziewiętnastowiecznego profesora gimnazjum na przykład w Petersburgu: łysa głowa otoczona wiankiem rozczapierzonych siwych włosów, kozia bródka i druciane okulary na końcu nosa.

Henryk z sukcesem zakończył nalewanie whisky i podał Mariannie szklanę, dzwoniąc lodem jak na nieszpory. Sam szybko łyknął spory haust – trzęsionka rąk ustała jak nożem uciął. Usiadł z rozkoszą w drugim fotelu i zapytał:

– I co tam?

– Hipopotam! – odrzekła Marianna i roześmiali się. Było to ich stare hasło i odzew, prywatny rytuał, który kultywowali przez lata, bez sensu i jakiegokolwiek znaczenia.

– Byłaś w Warszawie?

– Tak. Odwiedziłam dzieci: Jacek zadowolony rozwodnik, korzysta ze swobody, chociaż chyba kroi się coś poważniejszego, ale nie zapeszajmy, Kasia jest w błogosławionym stanie, ma urodzić pod koniec kwietnia.

– Czego się spodziewają?

– Jeszcze nie wiedzą. Dziecko leży w takim położeniu, że na USG nie widać płci. Oczywiście czekają na syna, a mała Mania na braciszka. Takie małe dziewczynki uwielbiają niemowlaka w domu, bawią się nim jak laleczką.

– Jak się Mateusz urodził, nasza stara suka, ogarzyca, dostała pokarmu.

Marianna spojrzała na niego przeciągle.

– Wiesz co, Heniu, trochę przegiąłeś! – Obraz jej małej wnuczki karmiącej piersią braciszka ją zaszokował.

Henryk zamrugał oczami, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Co zrobiłem?

– Nic, nic... – Marianna zrezygnowała z wytłumaczenia mu sensu swoich słów, trudno było się do niego gniewać, aluzyjności tego, co powiedział, po prostu nie rozumiał. Przyzwyczajona była do jego wolnego refleksu i permanentnego roztargnienia. Raz Henryk wpadł do nich na kawę, usiedli na tarasie z Krzysztofem i rozmawiali o tym i owym. Henryk wiedział, że ma imiennika, jamniczka Henia, który kręcił się koło nich i swoim zwyczajem przynosił patyki, aby mu je rzucać. Ilekroć przyjechali jacyś nowi goście, Henio robił się bardzo zazdrosny i usilnie starał się zwracać na siebie uwagę, tak też działo się i teraz. W pewnej chwili Krzysztof zirytowany nazbyt natrętnym molestowaniem przez psa i dżganiem po nogach przynoszonymi patykami krzyknął ostro:

– Heniek! Uspokój się!

Henryk zbladł.

– A co ja takiego zrobiłem? – zapytał.

Nagle z drugiego pokoju, w którym było ciemno i tylko otwarte drzwi salonu wpuszczały tam trochę światła, dobiegł do nich, przeraźliwie skrzekliwy, głośny okrzyk:

– Heniek, Heniek!

– To Sara – wyjaśnił Henryk i zawołał pieszczotliwym głosem: – No, Saruniu, chodź do Henia, chodź!

Z ciemnej czeluści drugiego pokoju wyleciała ogromna kolorowa papuga i usiadła na głowie gospodarza. Ten poklepał się po ramieniu i powiedział karcącym tonem:

– Na głowie nie siadamy! Tu siedzi Sara, tu!

Papuga niechętnie przeniosła się na ramię Henryka, a tam jeszcze długo się mościła, kołysząc się z nogi na nogę jak marynarz.

– Czy to kakadu? – zapytała Marianna.

Henryk obruszył się.

– Co ty?! Do tego stopnia się nie znasz? Tego uczą w podstawówce! Kakadu mają czub, a to jest ara ararauna, z rodziny Psittacidae. Ma wyjątkowo zwrotne skrajne palce i gruby, mięsisty język. Patrz na ten masywny dziób i ruchomą górną szczękę względem czaszki, to naprawdę jeden z cudów natury.

– Ile masz tych papug? Tę jedną?

– Tę jedną?! – Henryk zaśmiał się sardonicznie. – Chodź, to ci pokażę.

Zgonił ptaka z ramienia i poprowadził Mariannę stromymi schodami na strych. Zapalił światło i natychmiast rozległ się dziki rejwach dziesiątków, a może i setek ptaków, umieszczonych w kilku woliarach z drucianej siatki. Z ogłuszającego wrzasku można było wyłowić wyraźne, prawidłowo choć skrzekliwie wymawiane słowa:

– Witaj! Witaj! Jestem głodna! Czekaj, kanalio! Dobranoc! Heniu, raz dwa, raz dwa, raz dwa!

Henryk wpadł w ekstazę, zaczął biegać po strychu, dosypywać karmy, dolewać wody. Marianna patrzyła na to przerażona, ale udawała, że ją to bawi. W pewnej chwili wydało się jej nawet, że papugi chóralnie skandują jego imię: „He-niek, Heniek, He-niek!!!”. Zeszli na dół, dopili drinka, rozmowa się nie kleiła.

– Wiesz, tak sobie myślę, że te papugi wywarły zbyt wielki wpływ na moje życie. Poświęciłem je tylko im, bez reszty. W pewnym momencie sobie uświadomiłem, że je kocham bardziej niż żonę, niż córkę, przecież to chore. A co one mi mogą dać? Lubią

mnie, to prawda, cieszą się na mój widok, ale mogą tylko skrzeczeć: Heniu, Heniu! I czekać, aż im coś podrzucę do jedzenia. Przyznam, że czasem mnie to rozgorycza, wydaje mi się, że to jałowe... Co ty o tym sądzisz?

Marianna zakłopotana się, cóż można o tym sądzić? On niewątpliwie przesadził z tą pasją, ale przecież dawała mu satysfakcję, jakiś rodzaj szczęścia.

– Cóż, chyba możesz być dumny ze swoich osiągnięć, jesteś niekwestionowanym autorytetem w swojej dziedzinie na skalę europejską. Gdybyś w szczytach swoich sił twórczych miał dostęp do badań zagranicznych, gdybyś mógł sam je prowadzić, miałbyś sławę światową. Ale to, co osiągnąłeś, jest naprawdę godne podziwu.

Pokiwał głową, ale bez przekonania.

– No, tak, tak...

Marianna pomyślała, że najwyższy czas, aby skończyć rozmowę, udała, że zapomniała o czymś w domu, że ma przyjść sołtysowa po podatek, i z ulgą zakończyła wizytę. Wychodząc, zobaczyła kątem oka, że on dolewa sobie do szklanki bursztynowego płynu i szybko ją wychyla z błogim uśmiechem. Wsiadła do swego volva, uruchomiła silnik i ruszyła z piskiem opon. Jechała w ciemnościach, połą drogą, światła reflektorów ślizgały się po głębokich, błotnistych koleinach, grudki błota uderzały w podwozie, czyniąc denerwujący hałas. Marianna myślała, uśmiechając się, o rozmowie z profesorem Henrykiem. Świat jest pełen wariatów, a może to ja jestem wariatką i przyciągam takich samych do siebie? Ale czyż to nie oni popychają świat do przodu? Jednak zastanawiające jest, dlaczego ci dwaj, obcy w gruncie rzeczy mężczyźni, doktor F. i Henryk, zwrócili się do niej ze zwierzeniami? Czy jest w niej coś, co ich do tego skłoniło? Może to, że jest sama, że nie ma już przy niej Krzysztofa, ich ośmieliło? Mieli do niej zaufanie, ale nie musieli się obawiać jej reakcji, tak jak w wypadku swoich żon czy przyjaciółek. A Krzysztof, czy gdyby miał coś takiego do wyznania, poszedłby z tym do innej kobiety?

Podjechała pod swoją bramę, otworzyła ją pilotem, wjechała w aleję modrzewi, kiedyś malutkich, przez nią zasadzonych, a dziś strzelistych, wysokich na cztery metry. Pomyślała, że trzeba je podstrzyc, ale najpierw poradzi się ogrodnika w Mońkach, i te sprawy wydały się jej dużo ważniejsze niż roztrząsanie tajemnic dusz męskich. Wjechała do garażu, wysiadła, zamknęła samochód i poszła do domu prowadzona przez eskortę zadowolonych z jej powrotu psów.

Zima poddała się definitywnie w połowie marca. Śniegi stopniały, a wiatry wysuszyły mokre pola. Łód na jeziorze też topniał powoli, zrezygnowany i apatyczny, wyglądało na to, że pomostom znów się upieczce. Marianna zrobiła inwentaryzację towarów pozostałych z ubiegłego sezonu, naturalnie tych, których termin ważności jeszcze nie upłynął, i okazało się, że mają wciąż spore zapasy cukru, mąki, kasz oraz makaronów. Półki z przetworami też prezentowały się imponująco: słoiki konfitur z malin, wiśni, agrestu i truskawek, a przede wszystkim wybornych powideł ze śliwek węgierek, z czterech starych, jeszcze poniemieckich drzew, stanowiłyby ozdobę każdej spiżarni i dumę każdej gospodyni. Na osobnych regałach leżakowały butelki nalewki na czarnych porzeczkach i na wiśniach. Ta pierwsza, zwana z ruska smorodinówką, stawała się ich produktem markowym, bardzo popularnym wśród gości, zwłaszcza od czasu, gdy Marianna wprowadziła miły zwyczaj częstowania ich po kolacji kieliszeczkami „od gospodarza”.

Osobną część spiżarni stanowiły zapasy miodu, który wprawdzie nie był wyrabiany przez nich, ale pochodził z wybranej pasieki z odległego o niespełna dwadzieścia pięć kilometrów Olecka. Przywoziło go zawsze miłe starsze małżeństwo, które Marianna lubiła za pogodę ducha i pokorę, z jaką znosili swój los, szczególnie ciężki. Parę lat temu ich jedyny ukochany syn, ich chluba i nadzieja, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, wybitnie utalentowany grafik, zmarł nagle w wieku niespełna trzydziestu lat na zawał serca, osierociwszy żonę i dwoje małych dzieci. Staruszkowie po okresie załamania i rozpaczy zobaczyli, że teraz będą musieli pomóc synowej w wychowywaniu ich wnuków, więc zabrali się ostro do powiększenia swojej małej pasieki i w ciągu paru lat stali się liczącym się na rynku producentem miodów ekologicznych. Marianna co roku brała od nich znaczną ilość na swoje potrzeby, a także godziła się na sprzedawanie miodu gościom. Po podsumowaniu zapasów mogła zaplanować zakupy na nadchodzący sezon.

Trzeba było też zawczasu pomyśleć o powiększeniu na sezon personelu. Pani Helenka mogła nadal szefować kuchni, ale potrzebowała co najmniej dwóch podkuchennych, które mogłyby także pełnić rolę kelnerek, poza tym potrzebne były dwie sprzątaczkі i ktoś do biura. Józek, wprawiony zaopatrzeniowiec, jeździł na zakupy do hurtowni, piekarni, na targowisko, a w gospodarstwie jako złota rączka był niezbędny i nieoceniony. Przy pracach w ogrodzie i sadzie oraz niespodziewanych cięższych robotach przyjmowało się ludzi na dniówki.

Tego dnia po obiedzie Józek przywiózł kandydatkę na podkuchenną albo na pokojówkę. Była to siedemnastoletnia dziewczyna z wielodzietnej rodziny ze Starych Juch, co już z góry przemawiało za jej kandydaturą. Nie chodziło tylko o względy humanitarne, aby ulżyć zaharowanej matce, ale też o fakt, że mogła codziennie dojeżdżać autobusem i nie trzeba było zapewnić jej noclegu, a to z czasem stwarzało problem. Dom pani Helenki i Józka stał po sąsiedzku i na początku oni przychodzili do pracy rano i wracali nieraz późnym wieczorem, ale kiedy w przebudowanej na garaż stodole dało się wygospodarować całkiem przyzwoite mieszkanie – dwa pokoje z kuchnią i łazienką – przenieśli się tu, najpierw tylko na zimę, a potem na stałe. Ich domu używało się początkowo w lecie jako sypialni dla pracujących sezonowo dziewcząt, ale kiedy okazało się, że muszą one grać sobie wodę do mycia i kąpać się w balii, Marianna zrozumiała, że trzeba im stworzyć warunki na miejscu, bo czystość stawiała na pierwszej pozycji. Na poddaszu garażu powstała obszerna sypialnia z sześcioma łózkami, szafkami i szafami, a co najważniejsze, łazienka z trzema kabinami prysznicowymi. Inspektor BHP, który przyjechał na odbiór gotowego pomieszczenia, okazał się służbistą ze skłonnością do filozofowania: nakazał dobudować jeszcze jedną kabinę „do higieny intymnej”.

– To znaczy: musi być bidet? – zapytała rzeczowo Marianna.

– Urządzenie umożliwiające obmycie intymnej strefy ciała, tak to nazwijmy – sprecyzował.

– Chodzi o podmycie? – nie ustępowała Marianna.

– O obmycie, podmycie, wymycie, generalnie o mycie, taka jest wykładnia tego pojęcia – wyjaśnił z wyższością inspektor.

– Ale nie jest powiedziane, że strefę intymną trzeba myć oddzielnie? – dociekała Marianna.

– Sposób praktykowania higieny intymnej pozostawia się wyborowi użytkownika.

– Użytkownika czego? – zapytała podchwytliwie Marianna.

Inspektor speszył się lekko, wyczuł, że właścicielka pensjonatu zaczyna wpuszczać go w maliny, ale szybko, stary lis, opanował sytuację.

– Użytkownika kabiny do higieny intymnej, ma się rozumieć, no, ale tej kabiny tu nie widzę, a to jest warunek odbioru pomieszczenia...

– No, właśnie, ja też nie widzę miejsca, gdzie by mogła ona tu stanąć.

– Przepisy nie nakazują, aby kabina była usytuowana w sypialni, może stanąć

bliżej stanowiska pracy.

– Na przykład w jadalni, bo one pracują w jadalni. Ze szkła, coś w rodzaju akwarium. Wspaniały pomysł na atrakcję dla gości, miałabym rezerwacje na rok z góry!

Inspektor nie dał się zbyć żarcikami.

– Tu też przepisy BHP nie dotyczą aspektów spektakularnych urządzenia, kabina może być przezroczysta, byleby była wodoszczelna.

Marianna zmieniła taktykę, uderzyła w ton osoby ciężko doświadczanej przez życie.

– Panie inspektorze, no gdzie ja teraz wyczaruję osobną kabinę? Każę się dziewczynom podmywać pod prysznicem, najwyżej kupię im czepki na włosy, żeby sobie fryzur nie moczyły...

– Pani im może kazać nawet stawać na rękach, ale to nie wyczerpuje instrukcji przepisu numer 43/KHI/911. Gdyby pani wcześniej zapoznała się z instrukcją, być może zamiast tego stoliczka pod oknem ustawiłaby bidet i zasłoniła go parawanem, przyjąłbym go, mimo że byłoby to odstępstwo...

– Przecież musiałam stworzyć im warunki jakiegoś życia kulturalnego, napisania listu do domu, do chłopaka...

– Oj, widzę, że w cuda pani wierzy. Kto dzisiaj listy pisze, chyba mejle najwyżej albo esemesy, ale dam pani radę: niech pani na jedne drzwi da tabliczkę: „Higiena intymna” i będzie git, a z czasem pani tam bidet wmontuje zamiast prysznica... Bo widzi pani, przepisy mówią, że na dziesięć osób musi być jeden prysznic, a pani na sześć trzy wałnęła, ciut za dużo, kochana, za rozrzutnie...

Sypialnia dla dziewcząt zdała egzamin, w lecie zawsze spało ich trzy, cztery, w zależności od zapełnienia pensjonatu. Dziewczynki od razu pojęły, że muszą dbać o higienę, i bardzo chętnie biegały pod prysznic, w upały nawet kilka razy dziennie, a na wzmiankę o bidecie prychały śmiechem, że miednica im wystarczy. Kiedyś powstał mały problem: Marianna zgodziła się, aby dziewczyny ze szkoły gastronomicznej odbyły w pensjonacie praktykę. Przez całe wakacje przychodziły w grupach po cztery, na dwa tygodnie, w sumie przewinęło się ich ponad trzydzieści. W pewnej grupie przyjechał z trzema dziewczynami chłopiec. Okazało się, że w tym roczniku jedyny, zresztą bardzo przystojny, smukły, wysoki, z miłą, jeszcze dziecinną buzią, ale grzeczny i dobrze wychowany. Marianna się zasępiła.

– Gdzie ja cię położę? No, dosłownie, nie ma gdzie szpilki wetknąć!

– A nie może z nami spać? – spytała jedna z dziewcząt. – Przecież spał z nami

na obozie sportowym i w schronisku, jak byliśmy na wycieczce w Warszawie... I nic mu się nie stało, nie zjadłyśmy go, to i tu go nie zjemy!

– No, dobrze, jak się zgadzacie... I on się zgadza... Myślę, że mamy na strychu jakiś parawan, wyślę zaraz Józka, niech poszuka... – odpowiedziała.

– Chyba nie warto. To nawet byłoby gorzej – powiedziała druga.

– Dlaczego? – zdziwiła się Marianna.

– Bo jak będzie miał parawan, to się za nim schowa i będzie nas przez szparki podglądał.

– A rzeczywiście! – obruszył się chłopiec. – Bo ja nie widziałem, co?! „Nie dowodź, miła, nie dowodź, nie jest znowu z ciebie taki cud...” – zanucił ironicznie.

I rzeczywiście: pani Helenka i Józek mogli poświadczyć, że żadne zabezpieczenia się tam nie działały, bo sypialnia znajdowała się tuż nad ich mieszkaniem i przez tylko jedną warstwę desek stropu słyszeli każde słowo.

– Na pewno nie jest tak, jak było z Wierą.

Kiedyś zatrudnili poleconą przez kogoś Ukrainkę, która po pewnym czasie uprosiła Mariannę, żeby przyjęła do pracy jej wujka, który znał się na wszystkim w domu i w ogrodzie, a szczególnie w sadzie. Wuj przyjechał bardzo szybko i wtedy okazało się, że nie ma lewej dłoni, podobno stracił ją w wypadku, przy obsłudze kombajnu w polu. Ale tym kikutem nauczył się operować bardzo sprawnie, założył na niego coś w rodzaju opaski z rzemienia zapinanego na sprzączki, na której była pętla. Tę pętlę nadziewał na przykład na lewą rączkę tacek i woził góry nagrabionych przedtem liści czy zebranych po polach kamieni. Okazał się bardzo pracowity i wydajny, byli z niego bardzo zadowoleni. Któregoś dnia Marianna zapytała w kuchni panią Helenkę:

– Nie wie pani, gdzie jest wuj Wiery?

– Wuj? – wtrącił się Józek z oburzeniem. – On taki wuj, jak ja stryj! On to jest jej wujem od pasa w górę, od pasa w dół to jest...

– Józek! Zamknij się! Na co sobie pozwalasz przy pani Mariannie?! – zgromiła go matka.

– Przecież nic nie powiedziałem! – zmieszał się Józek. – Gdyby pani słyszała w nocy to, co my przez sufit, to by pani wiedziała, że to nie jest żaden wujek.

Marianna zmieszała się jeszcze bardziej, nie wiedziała, jak się zachować, zwłaszcza wobec pani Helenki. Wzruszyła ramionami i rzuciła niezbyt mądrze:

– Ja tam nic nie wiem. I nie chcę wiedzieć...

Sezon zresztą się już kończył, parę dni później Wiera i jej „wuj” wyjechali, ale na drugi rok Marianna już ich nie zatrudniła.

A bidetu do tej pory Marianna też nie wstawiła, choć upłynęło już parę lat od tamtej rozmowy. Być może wpłynęła na to historia innego bidetu, nie tutaj, lecz w Warszawie, nie u nich, lecz u znajomych, nie wmontowanego, lecz wymontowanego...

Znajomi owi mieli willę na Mokotowie, w której po wylocie dzieci z rodzinnego gniazda mieszkali tylko we dwoje. Dom ich był bardzo obszerny, ale że działka ciasna, architekt zaprojektował go nieomal jak wieżę, miał sześć czy siedem poziomów, a przez to kilkadziesiąt schodów. Syn tych państwa dostał bardzo intratny kontrakt w Stanach i wraz z rodziną wyjechał tam na co najmniej pięć lat, zostawiwszy rodzicom swoje wygodne mieszkanie na sąsiedniej ulicy. Wtedy oni doszli do wniosku, że przeprowadzą się do syna, a swoją willę wynajmą. Bardzo szybko znaleźli amatora, jednego z dyrektorów wielkiej firmy francuskiej, producenta znanych kosmetyków. Ów dyrektor sprowadził z Paryża swoją rodzinę: żonę i dwójkę dzieci, które w odróżnieniu od rodziców były prawie czarne i miały arabskie rysy. Z czasem wyszło na jaw, że dzieci te były adoptowane, a małżeństwo jest tylko przykrywką dla zgoła odmiennych preferencji seksualnych małżonka.

Pewnego dnia właściciele willi zostali wezwani i postawieni wobec faktu zmian, których dokonali w łazience lokatorzy. Impulsywny Francuz tonem pretensji, nieomal awantury, oświadczył, że zdemontowali bidet, aby w jego miejsce zainstalować drugą umywalkę, gdyż dzieci chodzą na tę samą godzinę do szkoły i rano powstają konflikty. Właściciel willi, szczęśliwie władający biegle francuskim, gdyż studiował przed wojną w Paryżu, w bardzo uprzejmych słowach oświadczył, że wprawdzie oczekiwałby raczej zapytania o zgodę przed faktem, ale w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko temu, nie może wszakże powstrzymać się od wyrażenia zdziwienia, że zdemontowania bidetu dokonali Francuzi, spadkobiercy wielkiej kultury, która dała światu to wspaniałe urządzenie. „Marianna i bidet – to dwie wielkie ikony Francji! Jestem więc trochę rozczarowany...” – dodał ze smutkiem.

Na to Francuz zaniósł się sardonicznym śmiechem i zapytał:

– A czy widział pan moją żonę?

– Nie miałem tego zaszczytu – skłonił się właściciel willi.

Wtedy Francuz opowiedział mu dowcip.

Spotykają się Dupont i Carpentier, dwóch biznesmenów, jeden pyta drugiego:

– Panie Dupont, ile pan dajesz za moją żonę?

– Nic – odpowiada Dupont.

– Kupiłeś pan! – krzyczy uradowany Carpentier.

– Bardzo śmieszne – powiedział właściciel willi i wyszedł.

Potem było jeszcze mniej śmiesznie: jak opowiadali sąsiedzi, w domu Francuzów dochodziło do awantur, szczególnie w weekendy, kiedy głowa rodziny upijała się w ogródku i coraz jawniej zaczynała molestować seksualnie swego przysposobionego syna Vincenta. Po jednej z awantur, w poniedziałek, kiedy obleśny małżonek pojechał do pracy, żona, notabene wyjątkowej szpetoty niewiasta, zabrała dzieci i wyjechała w niewiadomym kierunku. Francuz początkowo zaszył się w domu i pił parę dni, a potem bez skrępowania zaczął sprowadzać na noc przystojne męskie prostytutki.

Wszystkie te bidetowe wspomnienia przeleciały przez mózg Marianny jak zwykle z szybkością ekspresu, kiedy patrzyła na młodziankę, miłą twarzątkę kandydatki na pokojówkę lub podkuchenną. Widziałyby ją raczej w pokojach, gdyż dziewczyna prezentowała się dobrze i z pewnością zyskałaby sympatię pensjonariuszy, tym bardziej że pani Helenka spoglądała na nią z nieskrywaną niechęcią. Źródło jej tkwiło w wyraźnym zainteresowaniu Józka wdziękami Karolinki, bo tak nazywała się kandydatka. Marianna upewniła się w swoich podejrzaniach, kiedy pani Helenka wyszła za nią z kuchni i w korytarzu szepnęła: „E, to jakaś flądra!”, a już ostatecznie dała wyraz nieprzyjaznego nastawienia, gdy oświadczyła, że pojedzie do Starych Juch do apteki, gdy Józek będzie odwoził Karolinkę do domu. Mimo to stanęło na tym, że dziewczyna przyjdzie na parę dni próby w okresie ferii wielkanocnych.

Józek, zły na matkę, nolens volens, podał jej palto i zaprowadził obie pasażerki do samochodu. Ich furgonetka miała dwa siedzenia obok kierowcy, pani Helenka, zgodnie z przewidywaniami, zajęła środkowe, skutecznie odgradzając dziewczynę od Józka, bojąc się o nawet najlżejszy kontakt przypadkowych dotknięć, do którego mogłoby dojść na wybojach szutrowej drogi. Józek widział, że za samochodem biegną psy, ale mściwie milczał, klnąc tylko w duchu i pomstując. Zamierzał zatrzymać się dopiero w polu i tam dać pokaz swojej siły i stanowczości, robiąc psom dziką awanturę i odsyłając je do domu. Liczył na to, że ułowi pochwałę w spojrzeniu Karolinki, która już nie raz, nie dwa obrzuciła go dziś zaciekawionym, może nawet zalotnym spojrzeniem. Kiedy wyjeżdżali za bramę, żadne z nich nie zauważyło, że za załomem płotu, zakryty przez gęste krzaki, stoi jakiś motocykl z przyczepą. Kiedy furgonetka zniknęła za zakrętem, motocykl szybko ruszył

i zdążył wjechać do środka, zanim brama zdołała się zamknąć.

Motocyklista w skórzanej pilotce w dawnym stylu i grubych okularach czołgisty Armii Czerwonej wolno, starając się robić jak najmniej hałasu, nawet wyłączając na ostatnich metrach silnik, podjechał pod wejście do domu. Cicho zatrzymał się i zszedł z siodełka. Miał na sobie wytartą skórzaną kurtkę, bryczesy i wyglansowane oficerskie kawaleryjskie buty z cholewami, brakowało mu natomiast nie tylko ostróg, ale też jakiegokolwiek dystynkcji w postawie. Można było podejrzewać, że buty go dotkliwie cisną, bo stawiał stopy skierowane palcami do środka i lekko utykał. Przed drzwiami wejściowymi zdjął okulary oraz pilotkę, wtedy dopiero dało się go rozpoznać: to był Kotuła! Mrużył z lękiem oczy i podrapał się z wahaniem po twarzy, ale przemógł się i zapukał w szybę drzwi.

Marianna aż się wzdrygnęła zaskoczona niespodziewanym dźwiękiem. Przede wszystkim zastanowiła się, dlaczego psy nie szczekają. Druga myśl była uspokajająca: pewnie to swój, bo złoczyńcy nie pukają. Wysłała do sieni otworzyć drzwi. Początkowo nie poznała przybysza, dopiero kiedy wszedł do środka, powitała go słowami:

– A, to pan, panie Kotuła. Nie poznałam, będzie pan bogaty!

– Kto wie, może i będę, a biedny już i dziś nie jestem – odpowiedział w swoim mniemaniu szarmancko, choć zabrzmiało to raczej arogancko.

– Co pana sprowadza, panie Kotuła? – zapytała Marianna, gorączkowo zastanawiając się, czy zaprosić go do kuchni, czy do salonu. Pomyślała, że będzie ją prosić o pożyczkę, więc w salonie będzie bardziej onieśmielony, ale poczekała na odpowiedź. Ta była jednak enigmatyczna:

– A bo, mam do pani jedną sprawę... Trochę to skompilowane... to znaczy trudno powiedzieć... a może pani zajęta, to ja bym kiedy indziej... – zdawał się wpaść w panikę, zakręcił się, jakby do odwrotu.

– Nie, nie, proszę, może pan wejdzie... – zdecydowała zaprosić go do jadalni. Będzie pośrednio między salonem a kuchnią, ale o zdjęcie kurtki na wszelki wypadek nie poprosiła.

Wszedł z wahaniem, jakby z góry badał drogę ucieczki, a ona wtedy, przechodząc koło okna, spojrzała na podwórko i zobaczyła stojący tam motocykl.

– O! Nie wiedziałam, że ma pan taką maszynę! – udała wielki podziw.

Od razu poczuł się lepiej.

– A ma się, właśnie! To ojcwowa zdobycz wojenna z frontu, pod Kołobrzegiem go zdobył i do Berlina nim dojechał. Zundapp, marka niemiecka. Stał pod sianem

w stodole i żem o nim wcale zapomniał, alem tera go wyrychtował i chodzi jak ta lala...

Zdecydowała się zaprosić, aby usiadł. Przysiadł na brzeżku krzesła i poczerwieniał. Może zrobiło mu się gorąco, bo w jadalni, położonej od podwórza, zawsze było cieplej. Wtedy po raz pierwszy poczuła zapaszek: mieszaninę prze poconej odzieży i odoru jeszcze nieprzetrawionej wódki. Pewnie sobie gołnął, dla kurażu – pomyślała.

– W czym rzecz, panie Kotula? – zapytała i usiadła na drugim końcu stołu.

Podrapał się w głowę i zaczął:

– Bo to widzi pani, różnie z nami bywało... Ja żem trochu za dużo pił, nieraz żem panią zdenerwował, a i bywało nawet, żem sakramencko wkurwił, za przeproszeniem, ale taki nerwowy okres w życiu miałem: baba przedtem powolna, spokojna, zbiesiła mi się i wszystko za przekór mi robiła. Ja tak, ona nie; ja tu, ona tam; ja tędy, ona owędy – no zabić, tylko zabić. Ale jak tu zabić, jak człowiek katolikiem rzymskim jest?! Nie zabijaj! – wrzasnął, ale się opanował. – Dobrze sobie, jak tu nie zabijać, kiedy ręka śwędzi, że wściec się można!

– Ale, na miłość Boską, panie Kotula, chyba nie zabił pan swojej żony?!

– Nie, spokojnie, sama sobie poszła, Bóg wie, gdzie człowiek tam idzie? Ale gdyby nie po dobroci umarła, to nie wiem, co bym zrobił, nie ręczę za siebie...

Rozpiął kurtkę i odetchnął głęboko. Poczwała nową falę obrzydliwej woni: pot, brud, wódka i kapusta z nutą stajni, długi, uporczywy finisz – tak błyskawicznie przetransponowała klasyczny opis wina na butelce. Chciała ponowić pytanie o przyczynę wizyty, ale pohamował ją gestem ręki.

– Już się wywnętrzam, chwila, moment!

Jeszcze raz głęboko westchnął, machnął desperacko ręką, wstał z krzesła i powiedział:

– Pani Kalinowska, jest tak: pani jest wdowa, ja jestem wdowiec, może my by się ochajtli?

Popatrzyła, nic nie rozumiejąc.

– Co my...?

Podszedł bliżej.

– No, mówię, że my już znów stanu wolnego jesteśmy, to moglibyśmy się... no, pobrać!

Mariannę zatkało, nawet nie z oburzenia, a ze zdumienia. Chwilę nie wiedziała, co

powiedzieć, a kiedy otworzyła usta, on jej przerwał:

– Niech nic nie mówi! Ja się na kobitach znam, jak co pochopnie powie, to potem żałuje! Lepiej spokojnie przemyśleć, zastanowić się... Przecież się nie pali!

Marianna trochę ochłonęła, zaczęła cierpliwie, perswadująco:

– Panie Kotuła, przecież...

– Waław jestem, może mówić Wacek...

– Panie Waławie, pańska propo... To znaczy to, co pan powiedział...

– Może myśli, że ja gołodupiec jestem, a u mnie i chałupa zdrowa, murowana, i studnia na podwórku z dobrą wodą, i w oborze dwie krowki stojają, a w stajni dwa koniki... Morgów mam trzydzieści pięć, to znaczy hektarów, samych dopłat z Unii mam jedenaście tysięcy dwieście osiemdziesiąt dwa złote rocznie... A i po ojcach przygarść dularów w glinianym garnku zakopana na czarną godzinę i woskiem zaszpuntowana, żeby mysza się nie wgrzyła jaka, trzeba tylko wiedzieć, gdzie kopać... Tera żem motocyk na cacy worychtował, motor chodzi jak zegarek, bo on i przyczepę – niektórzy mówią: gondolę – napędza, to i przez wertepy rwie! A i przyczepę żem na nowo wymościł, gąbką żem wyścielił, żeby wygoda była... Jeździliby my na wycieczki po kraju, do Częstochowy, do Lichenia, cuda oglądać... Albo za granicę gdzie, do Niemiec, proszków do prania płam se kupić, a i na co dzień swojego wołwiaka by ruszać nie musiała, na motorze by się nauczyła, bo i dosiad jak się patrzy ma... Ja na to dobre oko mam, człowiek z niejednego pieca węgle wygarniał, niejeden komin czyścił w młodości! Sie zapyta tutaj babów, stare one dzisiaj so, ale swoje pamiętają, jakżem tu im wygadzał! A taka siła męska to na całe życie zostaje, sie nie boi, jam nie stary jeszcze, jeszcze wieprzka stukilowego zaszlachtować potrafię i sam na wóz go wrzucić! I zdrów ja jestem, że daj Boże zdrowie! – zakończył i usiadł zadowolony.

Marianna wstała energicznie.

– Panie Kotuła, niech pan przestanie! – prawie krzyknęła. – Co pan sobie myśli, że ja tu panna na wydaniu jestem?! Jak pan w ogóle śmie?! Pan obraża pamięć mojego męża! Ja sobie wypraszam! Proszę wyjść i nigdy tu nie wracać! Tego, co pan tu plótł, nie słyszałam i nie zapamiętam! Wyrzucam to z głowy, raz na zawsze! Żegnam!

Kotula popatrzył na Mariannę z zachwytem, chytry uśmieszek wypełził mu na twarz, zmrużył oczka i powiedział z triumfem:

– No i tak miało być. Jak kobita mówi „nie” – to znaczy: „może”, jak mówi „może” – to znaczy „tak”, ale jak mówi „tak”, to spierdalaj, chłopie, daleko, bo

to kurew jest! Bardzo szanuję odpowiedź, pani Kalinowska, bardzo. Znaczy: kobieta zna się na rzeczy. Czas leczy rany, ja poczekam, a jak słońeczko przygrzeje, krew w żyłach zaszumi, to przyjadę i na przejażdżkę gondolą zaproszę... Posiedzimy nad wodą, w krzaczkach poleżymy i się zobaczy... Kupił, nie kupił, ale próbę zrobić można, za bezdurno...

Marianna spurpurowiała, wyciągnęła rękę gestem jakiejś postaci historycznej, tylko sobie nie mogła przypomnieć jakiej, i palcem nabrzmiałym pogardą i dumą całego kobiecego rodu wskazała drzwi.

– Precz!!!

Kotula wstał i z uśmiechem pobłażania wyszedł. W sieni wbił na głowę pilotkę i okulary. Zaczął kopać pedał rozrusznika, ale silnik nie chciał zapalić, zanosił się tylko krótkim kaszlem i gaśł.

Na podwórko wjechała furgonetka, zatrzymała się. Wysiadła z niej pani Helenka i ruszyła do kuchni, obrzuciła Kotulę zdziwionym spojrzeniem.

– A z czym żeście, Kotula, u nas był?

– A, takie tam... Z Kalinosko żem miał do pogadania. Wam nic do tego!

– A to już zobaczę, czy nic! – Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i weszła do środka.

Józek wychylił się przez okno furgonetki.

– Może świecę zalało?

– Chuj tam świeca! Bendix iskry nie podaje! – odszczeknął Kotula i ponownie kopnął pedał. Józek zgasił silnik i wyszedł z samochodu.

– Pozwólcie, może ja kopnę?

Kotula wściekł się.

– Ty się, Józek, nie wpierdalaj z pomocą, bo gówno umiesz! Lepiej pilnuj bramy, bo kto chce i kiedy chce ci tu wjeżdża! A do mnie to możesz na naukę przychodzić, a szczególnie bym cię nauczył, jak z babami postępować, żeby ci jaką następną znowu ktoś nie sprzątnął! Taka piękna dupka, pod nóż ci się pchała i co? Gruźlik bez jaj ją obraca i nawet bachora jej nie potrafił zmachać!

Józek pobladł, zacisnął szczęki, złapał Kotulę za kołnierz kurtki, przyciągnął do siebie i wysyczał w twarz:

– Słuchaj, chamie: emerytów i gości w zasadzie nie biję, ale mogą być odstępstwa! Zabieraj ten złom i spierdalaj, bo psami poszczuję.

Kotula, odepchnięty mocno, aż się zatoczył. Kopnął ze złością pedał rozrusznika

i motor, o dziwo, zapalił! Kotula wsiadł na siodełko i ruszył w stronę bramy. Znalazszy się w bezpiecznej odległości, nie oglądając się, pomachał kilkakrotnie zgiętą w łokciu ręką, w obraźliwym geście. Silnik krztusił się i strzelał głośno, aż psy zaczęły wyć, wreszcie już za bramą uspokoił się i wkrótce jego odgłosy oddaliły się i ucichły.

Józek wsiadł do furgonetki i spokojnie odprowadził ją do garażu. Potem obszedł jeszcze podwórko, aż zawrócił do kuchni. Zastał matkę w szoku.

– Ty wiesz, po co on tu był?! Oświadczył się pani Mariannie!

– Nie! – Józek aż usiadł z wrażenia na krześle.

– Co za cham! Jak on śmiał?! – Pani Helena kręciła głową z oburzeniem.

– A gdzie jest pani Marianna?

– Poszła się położyć, głowa ją rozboleła. Jakbym to przeczuła, kupując aspirynę.

– Co mu do głowy przyszło?! Myślał, że ona się zgodzi? Gdzie jemu do niej, kurdupłowi! A poza tym, to przecież starsza już pani! I w żalobie!

– A co ty sobie myślisz, że on na nią się napalił?! Ich majątek mu zapachniał! Zawsze był taki pazerny na pieniądze! Biednej babie, nawet dużo młodszej, by nie zaproponował! Choćby mnie!

– Przecież mamusia starsza jest od pani Marianny.

– Ale biedna jestem! Zresztą, nie mówię ja. Ja bym go i pozłoczonego nie chciała, brudasą śmierdzącego, lenia i pijaka, fuj! Ale są w okolicy wdowy, jeszcze młode, albo starsze panny, co czekają na jakieś męskie ramię, na oparcie, na trochę serca, to takich to on nie widzi!

– Co też mamusia gada: brudas, pijak, leń, ale im by się nadał?

Pani Helenka westchnęła.

– E, co ty tam wiesz... Jak człowiek jest sam jak kołek, to nawet i o najgorszym dziadzie marzy. Dlatego, Józek, ty się za kobitą jaką rozejrzyj...

– Jak ja się mogę rozejrzeć, kiedy mamusia każdą przeganiam. Justynę mamusia pogoniła...

– Justyna to dziadówka była, nic nie miała, nawet na sukienkę ślubną by nie uzbierali, a ty też groszem nie śmierdziałeś, chociaż cię zawsze prosiłam: odkładaj, Józek, póki masz z czego, a nie ładuj wszystkiego w te swoje komputery, aparaty, narzędzia... Tak że dobrze dla Justysi się stało, że trafiła na takiego pocziwinę. Chłop z niego żaden, ale głodu już ona nie zazna...

Józek posmutniał, zamyślił się, pani Helenka nalała do kubków herbaty i też

usiadła przy stole. Rysowała paznokciem po obrusie jakieś esy-floresy i perorowała:

– Także do tej małej, do tej Karolinki, się nie przystawiaj, jak ją pani Marianna przyjmie, chociaż może ją zniechęcę. To taka sama bieda jak tamta. Nie mówię, że brzydka, ale urodą się nie najesz. A co ona umie? Kto ją miał czego nauczyć: matka wciąż chora? Ojciec pijak? Ty musisz mieć babę z krwi i kości, do tańca i różańca, taką, co się tobą zaopiekuje i dzieci ci wychowa...

Józek posłodził ostygłą już herbatę i wypił duszkiem, przytrzymując łyżeczkę palcem. Pani Helenka pokręciła z naganą głową.

– Ile razy ci mówiłam, że łyżeczkę wyjmuje się przed piciem.

– Ale ze szklanki! – zaprotestował Józek.

– Coś ty?! Z kubka też!

Marianna długo nie mogła się uspokoić, rozboleła ją głowa. Zażyła aspirynę, którą pani Helenka przywiozła z apteki w Starych Juchach, powiedziała jej tylko, co się stało i położyła się w salonie, z nadzieją, że zaśnie. Rzeczywiście zdrzemnęła się kwadransik, ale jakiś przykry sen ją obudził. Leżała w cichym świetle zmierzchu i rozmyślała. Odtwarzała w pamięci cały przebieg zajścia, przypominały się jej słowa Kotuli, jego zmrużone, bezczelne oczka, jego obrzydliwy zapach. Kiedy wyobrażała sobie, cały czas wzdrygając się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób propozycja Kotuli zostaje przyjęta i ona ogląda jakby film obrazujący to wydarzenie, to doznawała całej gamy uczuć: widząc siebie, stojącą przed ołtarzem w białej sukni, obok niego, w koszmarnej garniturze, jak do trumny, z przylizanymi na mokro, sterczącymi na boki ryżymi włoskami, zakładającego jej obrączkę grubymi, obtłuczonymi paluchami z czarnymi obwódkami pod paznokciami, wzdrygała się z niesmakiem, ale jeszcze z domieszką rozbawienia. Jazda tym starym motocyklem też nawet ją rozśmieszała, ale obraz jakiegoś zbliżenia z tym śmierdzielem przyprawiał o odruchy wymiotne. Uporczywie powracała wizja wywołana jego słowami, że on gwałci ją w krzakach, na brzegu jeziora, sapiąc, z wybałuszonymi z wysiłku oczami i obleśnym uśmiechem na zaślinionych wargach. Zobaczyła jakieś drobne szczegóły: okruszek tytoniu przyklejony do jego podbródka, jej zamoczone w jeziorze pończochy, zapiaszczoną zużytą prezerwatywę zaczepioną na kolcu głogu. Te obrazy obsesyjnie powracały, zamęczały, nie mogła ich wyrzucić z mózgu.

Wypiła jednym haustem głęboki kieliszek koniaku, ale to nie pomogło, co gorsza, jakiś złośliwy diabełek w kusym fraczku wyskoczył z kominka umorusany

sadzą i zapytał z uśmiechem:

– A gdyby to okazało się przyjemne, he? Wspaniałe? Oszałamiające? Cudowne? Przewyższające wszystkie przeżyte dotąd orgazmy?!

– Precz, precz, precz!!! – krzychała niemal na głos, zaciskała oczy, chciała odrzucić takie potworne myśli, ale one natrętnie wracały i szydziły z niej, chichotały i goniły się po kątach, kryły po zakamarkach duszy. Biedna Marianna, znikąd żadnej pomocy! Gdybyż jeszcze potrafiła się modlić, ale kiedy zaczęła sobie przypominać: „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...” – diabełek z kominka wrzasnął szyderczo:

– Stój?! *Das ist aber Unproblematisch!* (diabły w Polsce zawsze były Niemcami). On ma stałą erekcję! Choruje od dziecka na priapizm!

Marianna poszła do łazienki, włożyła sobie palec w gardło i wymiotowała. Powiedziała tylko w przelocie pani Helence, że nie będzie jadła kolacji, poszła do siebie na górę, runęła na łóżko w ubraniu, nakryła się kołdrą i zasnęła.

Spała bez snów ponad dziesięć godzin, wstała wypoczęta, wzięła prysznic, zeszła do kuchni bez jednej myśli w głowie i siadła do śniadania. Pani Helenka aż dygotała z niecierpliwości, chciałyby teraz nie zostawić na Kotuli suchej nitki, ale na pierwszą wzmiankę o nim Marianna wzruszyła obojętnie ramionami i powiedziała lekceważąco:

– To dureń. Szkoda zawracać sobie głowy durniami.

Pani Helenka już nie śmiała wrócić do tego tematu, nic nie powiedziała, ale obraziła się śmiertelnie na cały świat i milczała. Aż do obiadu.

Dwa tygodnie później, także w czasie obiadu, Józek z impetem wjechał furgonetką na podwórko, wyskoczył z szoferki, jakby go ktoś dźgnął, pędem przemierzył podwórko, wpadł do kuchni i krzyknął od progu:

– Kotuła się powiesił! Znaleźli go w stodole, wisiał na belce, już był zimny. Pewnie zrobił to nad ranem.

– Jezus Maria... – Pani Helenka włożyła sobie do ust wszystkie palce.

– Zostawił jakiś list? – zapytała Marianna rzeczowo.

– Tak. Przypiął sobie do koszuli kartkę: „Proszę nikogo nie winić”. Policja przeszukała dom i obejście, wszędzie pusto, jakby ktoś posprzątał. W domu nie było żadnych mebli, z obory zniknął inwentarz, nawet łańcuch z obrozą leżał obok pustej psiej budy. Jakby przeszła tamtędy powietrzna trąba... Sprzedał wsio na gorzałę...

– Panie, świeć nad jego duszą – wyszeptała pani Helenka i przeżegnała się.



Kończył się marzec, pogoda się ustabilizowała: dni nastąpiły przejrzyste, słońce już grzało mocno, ale w nocy temperatura spadała nawet poniżej zera. Zaczynały się przygotowania do prac polowych, wieczory wciąż jednak były długie i sprzyjały roztrząsaniu kontrowersyjnego problemu pogrzebu Kotuli. Został pochowany na cmentarzu w rodzinnej wsi, należącej co prawda do gminy Stare Juchy, ale leżącej na jej północnych krańcach, zbyt daleko dla wielu sąsiadów, a więc frekwencja była umiarkowana. Miejscowy proboszcz był tu od niedawna, nieboszczyka nigdy za życia nie widział i niewiele o nim wiedział, znał natomiast jego siostrę, aktywną parafiankę udzielającą się w przykościelnej działalności społecznej, więc kiedy go zawiadomiła, że chce pochować brata w grobie rodziców, przyjął to jako oczywistość. Czy jego decyzja, aby pochować samobójcę, stanowiła dowód na odejście Kościoła od dawnego zwyczaju chowania tak zmarłych pod płótem, czy też aktem jego osobistej odwagi? Tego nie potrafiono i wcale nie chciano rozstrzygnąć w sąsiedzkich dysputach, po prostu opinia publiczna wioski podzieliła się na tradycjonalistów, zwolenników chowania pod płótem, i liberałów, skłonnych uważać, że wybór śmierci jest sprawą osobistą, a osoby ochrzczone w dzieciństwie, niezależnie od tego, co teraz myślą o tym sakramencie, nabyły owym aktem prawo do normalnego pogrzebu. Samo istnienie tych dwóch różnych poglądów uważano za wartość intelektualną, która na jakiś czas podnosiła temperaturę towarzyskich spotkań.

Marianna i pani Helenka zadziwiły Józka, kiedy okazało się, że zamierzają pojechać na pogrzeb Kotuli.

– Po tych jego wybrykach, kiedy przyjechał na motocyklu?! Przecież mamusia tak pomstowała, a pani Marianna była ciężko przez niego obrażona?!

– Śmierć wszystko zmienia – odparła Marianna – jedne sprawy unieważnia, inne wyszlachetnia lub zmienia ich sens. To był człowiek, który cierpiał, trzeba go pożegnać z szacunkiem.

Pojechały obie autem Marianny, chociaż Józek oferował podwiezienie. Wioska okazała się bardzo mała i niczym się niewyróżniająca: kościół był bezstyłowy, cmentarz biedny, nieprzytulny. Ceremonia trwała krótko, uczestniczyło w niej tylko kilkanaście osób, przeważnie stare kobiety. Marianna zastanowiła się, czy to może te wspomniane chełpliwie przez Kotulę jego dawne kochanki, którym ongi „wygadzał”, ale w ich wypranych, pustych oczach nie znalazła żadnego blasku

dawnych namiętności, z kimkolwiek kiedykolwiek doświadczanych. Książd szybko, a nawet jakby pośpiesznie odprawił egzekwie, nie wygłosił żadnej mowy pożegnalnej, wrzucił do grobu szufelkę ziemi i szybko odszedł. Nie zdejmując komży, wsiadł do samochodu czekającego pod cmentarną bramą i odjechał. Marianna patrzyła na pomarańczową, plastikową szufelkę, najwyraźniej dziecinną zabawkę, którą teraz trzymał kościelny, przypatrujący się apatycznie pracom zasypujących grób grabarzy. Ziemia była tłusta i ciężka, uderzała w trumnę z hałasem. Pomyślała sobie, że grobowce mają swoje zalety, nie słysząc tego koszmarnego łoskotu ziemi i podzwaniania łopat. Za sprawą tej myśli poszybowała szybciej od dźwięku na cmentarz Rakowicki w Krakowie, musnęła ustami napis na tablicy „Krzysztof Kali...” i błyskawicznie wróciła na ten smutny cmentarzyk.

Kiedy wracały do samochodu zaparkowanego za ogrodzeniem, do Marianny przystąpiła jakaś kobieta, złapała ją nagle za rękę i usiłowała pocałować.

Marianna wyszarpnęła dłoń z przestrachem.

– Co pani?! Co pani?!

– Bo ja wiem, kim pani jest. Brat zawsze o pani opowiadał, pani Kalinowska, prawda? Wiktoria Wyksztopa, z domu Kotuła jestem, siostra nieboszczyka...

– Wyrazy współczucia... – wymamrotała Marianna.

– Niechaj Jezus Chrystus doda otuchy... – dorzuciła pani Helenka, ale nie podała ręki, ukryła dłonie w staroświeckiej mufce, ozdobionej karakułowym futerkiem, którą miała zawieszoną na szyi, bo dzień był zimny.

– Taka tragedia, taka tragedia! – rozpląkała się nagle siostra Kotuli. – Po śmierci świętej pamięci bratowej Wacław się załamał, pić zaczął, od świata się odgradził... Nigdy żem go takim nie widziała... Teraz i mnie osierocił! Jużem myślała, że go tu wydają, wdowa taka jedna jest, zaopiekowałyby się nim, gospodarstwo ogarnęła... Przyjeżdżał tu do niej, mieli się ku sobie, nawet nocować u niej zaczął, niebogata ona, ale robotna, dzieci dawno w świat poszły, wzięłyby ją tam, do siebie, a to, co ona tu ma, pod moją opieką by zostało... A tu taka niespodzianka, przecież jeszcze w zeszłym tygodniu u niej był...

– Widocznie tak było pisane... – westchnęła pani Helenka. – Musimy my jechać, pani Marianno, bo nam ośrodek w Juchach zamkną – znacząco mrugnęła do Marianny.

– Właśnie, właśnie, już jedziemy! – ta podjęła skwapliwie. Pożegnały się z płaczącą siostrą denata i zostawiły ją na cmentarzu. Marianna rozejrzała się po twarzach rozchodzących się kobiet, ale nie odgadła, która z nich mogłaby być

ową wybranką Kotuli.

Wsiadły do auta i Marianna szybko ruszyła.

– Dobrze pani wymyśliła z tym ośrodkiem, pani Helenko...

– No. Ona by nas zamęczyła tą swoją boleścią. Niech teraz nie mówi, że tak się o brata troszczyła, krzyż Pański z nią miał, sekowała go gorzej od jego starej, obie jędze przebrzydłe! – wyrzuciła pani Helenka jednym tchem.

W mózgu Marianny pojawił się obraz Kotuli biczanego przez dwie zajadłe czarownice i natychmiast zgasł, zmazany wzruszeniem ramion.

– Ale skoro już jedziemy, to może wstąpimy do ośrodka. Nie potrzebuje pani jakichś recept?

– Recepty zawsze są potrzebne, niestety – westchnęła w odpowiedzi pani Helenka.

Kilkaście minut później wchodziły do Gminnego Ośrodka Zdrowia, gdzie szczęśliwie poczekalnia była pusta. Przestraszyły się, że może nie ma pani doktor, ale była, wyszła z gabinetu, kiedy pielęgniarka zaniósła jej karty obu kobiet, i przywitała się z szacunkiem z Marianną. Pani Helence kiwnęła tylko zdawkowo głową, a ona też, pokazując, że zna swoje miejsce w szeregu, pokornie się odkloniła i powiedziała:

– Ja to, pani doktor, tylko receptę bym prosiła, taką jak zawsze. Może siostra tymczasem wypisze, to potem tylko pani doktor podpisze?

– Dobrze, ale ja wezmę panią jeszcze na chwilę, po pani Kalinowskiej.

Pielęgniarka zabrała z powrotem kartę pani Helenki do recepcji, a Marianna weszła za lekarką do gabinetu.

– Co pani dolega, pani Marianno?

– Mam problemy ze snem, z zasypianiem, ze snami. Są męczące, często makabryczne, budzę się zlaną potem z okrzykiem przerażenia, albo nawet własny jęk czy głośny krzyk mnie budzi. Niedawno śniło mi się coś przerażającego, jakaś akcja pełna przemocy i brutalności, coś mi bezpośrednio zagrażało, zaczęłam wzywać pomocy, krzyczałam: „Policja! Policja!” bardzo głośno i te krzyki mnie zbudziły...

– O której zjada pani ostatni posiłek?

– Och, na długo przed pójściem spać. Nie sądzę, żeby to były skutki trawienia. To zresztą są na ogół rozwinięcia wydarzeń z dnia poprzedzającego sen...

– Na przykład to wzywanie policji było poprzedzone jakąś konkretną sytuacją, w której czuła się pani zagrożona?

Marianna zastanowiła się i uświadomiła sobie, że to było po tym wieczorze, kiedy Kotula przyjechał się oświadczyć i wtedy czuła się zagrożona fizycznie i psychicznie, myślała, żeby zadzwonić po policję.

– No, tak, rzeczywiście, było to po takiej niekomfortowej dla mnie sytuacji, ale ta we śnie była o wiele poważniejsza, była w niej groza niejako metafizyczna, tak że nawet odczuwałam, że wzywanie policji jest naiwne, że powinnam wzywać jakichś egzorcystów. Śnił mi się też często zmarli, krewni, znajomi...

– A mąż?

– Bałam się, że pani o to zapyta...

– Dlaczego?

– Bo śni mi się zawsze tak samo. Zawsze tylko w dwóch sytuacjach: albo jesteśmy młodzi i trwamy w jakimś niezwykle gorącym akcie miłosnym, albo on jest już w takim wieku, jak tuż przed śmiercią, siedzi przy stole w ciemnym pokoju, do którego drzwi są otwarte. Przez te otwarte drzwi wpada tam światło z oświetlonego, „mojego pokoju”, z jakiegoś pomieszczenia, w którym jestem i z którego patrzę. Wtedy on wychyla się w to światło, patrzy na mnie i coś mówi, czego nie rozumiem. To powtarza się kilka razy, bo ja nie odpowiadam, w końcu on znużony kładzie głowę na stole i zasypia. A ja się budzę i leżę długo w ciemnościach, rozmyślając o przeszłości, o przyszłości... Czasem zaczynam płakać i w tym płaczu zasypiam, już wtedy bez snów, albo...

– Albo?

– Albo śni mi się ciemność, w której błądzę, szukam po omacku wyjścia z jakiegoś labiryntu, posuwam się powoli z wyciągniętą przed siebie ręką, aby na coś nie wejść. Po chwili wycacuję koło siebie ścianę, która przypomina opłatek, w zasadzie gładką, ale lekko porowatą, i chociaż nie widzę jej w tych ciemnościach, jestem pewna, że jest biała... I wtedy budzę się, bo dotykam ściany przy moim łóżku.

– Czy tak było od samego początku, to znaczy od zgonu męża?

– Nie. Ten sen zaczął się pojawiać w ostatnim czasie.

– Ile czasu upłynęło od śmierci?

– Prawie pół roku.

– Wybacz pani, teraz zadam być może krępujące pytanie, ale może być ważne: czy zdarza się pani czasem doświadczyć orgazmu?

Marianna najpierw szybko uciekła wzrokiem, ale się opanowała i spokojnie odpowiedziała:

- Raz czy dwa razy, we śnie. Śniłam, że kochamy się z mężem, w młodości...
- A na jawie?
- Przecież jestem sama.
- Miałam na myśli samozaspokajanie.
- Nigdy tego nie robię. To strasznie smutne...
- W aspekcie psychicznym może tak, ale dla zdrowia ciała pożyteczne. Odciąga krew nagromadzoną w miednicy, usuwa napięcie wzmagające się w środku cyklu.
- Już jestem po menopauzie.
- Ale organizm ma jeszcze pamięć tamtych procesów. Radzę się nie wzbraniać, jeśli napięcie seksualne będzie dokuczać.

Lekarka umilkła i pomilczała chwilę, zanim znowu zaczęła mówić:

- Może pani nie wie, pani Marianno, że ja też mam za sobą podobne doświadczenie. Mój mąż umierał długie miesiące i niech mi pani wierzy, że robiłam wszystko, by go ratować, a przynajmniej ulżyć mu w cierpieniach. Moi koledzy z roku są teraz ordynatorami, profesorami, dyrektorami szpitali w całym kraju, bo myśmy studiowali w Łodzi, w Wojskowej Akademii Medycznej, wtedy wszechmocnej, o nas, absolwentów zabiegały wszystkie największe szpitale. Mogłam zostać w Łodzi, bo stamtąd pochodzę, rektor widział mnie raczej w pracy naukowej, dydaktycznej, oferował świetne warunki, ale ja się zakochałam w zwyczajnym hodowcy koni i dla niego, dla jego koni i stadniny przyjechałam tu. Myślałam na rok, dwa, zostałam na całe życie. A raczej na całą śmierć. Najpierw jego, a w przyszłości moją, bo przecież tu go pochowałam i obok niego chcę leżeć...

Marianna, która słuchała cały czas z opuszczoną głową, podniosła teraz wzrok i popatrzyła lekarce w oczy, ale nie odezwała się słowem. Tamta wytrzymała jej spojrzenie i po pauzie dodała:

- Wszystko to, co pani mi opowiedziała o swoich snach, jest jakby moją relacją, przechodziłam przez podobne traumy, więc rozumiem panią i bez słów, lepiej niż ktokolwiek. Pocieszę panią: to mija. Na jawie idzie szybciej, codzienne sprawy nas pochłaniają, odciągają od wspomnień i smutnych myśli, sami sobie szukamy zajęć i sposobów, żeby nie wracać we wspomnieniach do przeszłości, omijamy je, jak język omija bolący ząb. Najgorzej jest oczywiście przed zaśnięciem, kiedy już nic dookoła nas się nie dzieje, wtedy budzą się demony, łapią nas za gardło i chcą udusić. Wtedy trzeba podjąć z nimi walkę i nie dać się zdominować, inaczej przychodzą we snach i tam nas męczą...

Wstała i podeszła do oszklonej białej szafki, wyjęła jakieś pudełeczko.

– Dam pani coś na dobry sen, tego nie ma w naszych aptekach, więc nie mogę pani tego zapisać. Dzielę się tym, co mam, bo chociaż już tego od dawna nie biorę, trzymam na wszelki wypadek. Proszę zażywać po jednej tabletkę przez pięć dni z rzędu przed snem, potem zrobić dzień przerwy i zażyć cztery, potem przerwa dwa dni i zażyć trzy, potem przerwa trzy dni i zażyć dwa, potem cztery dni przerwy i zażyć jedną, ostatnią tabletkę. W ten sposób zażyje pani połowę tego pudełeczka, piętnaście tabletek, jeden listek. Drugie piętnaście, drugi listek będzie żelaznym zapasem, jeśliby zaburzenia snu, kłopoty z zasypianiem czy koszmary senne powróciły. Ja właśnie mam ten drugi listek w moim pudełku.

Marianna popatrzyła na nią uważnie i zapytała:

– Jak długo ten drugi listek czeka w pudełku?

– Już prawie dwa lata.

– Dziękuję – uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Bardzo ważne jest ściśle wypełnienie przepisu przyjęcia leku. Dam pani karteczkę...

Usiadła przy biurku i na odwrocie recepty napisała sekwencję cyfr i liter:

„ – 5 dni – po 1 tabl.

– 1 dz. – po 0 tabl.

– 4 dni – po 1 tabl.

– 2 dni – po 0 tabl.

– 3 dni – po 1 tabl.

– 3 dni – po 0 tabl.

– 2 dni – po 1 tabl.

– 4 dni – po 0 tabl.

– 1 dz. – po 1 tabl.

Razem: 15 tabletek w ciągu 25 dni.”

Podziała jej karteczkę. Marianna wstała.

– Dziękuję, pani doktor. Jestem bardzo zobowiązana.

Podwały sobie ręce.

Zbliżały się święta wielkanocne, nadeszła koperta z kartkami od towarzystwa malujących nogami lub ustami z klasycznymi motywami pisanek, bazi i zajączków. Marianna od paru lat ich wspierała. Gdyby nie ten niezwykle fakt siły woli ludzi

ułomnych, niepełnosprawnych, nigdy w życiu nie kupiłaby takiej kartki, nie tylko ze względu na ich żalostny styl i poziom, ale dlatego, że od dawna wyzwoliła się od terroru banalnych życzeń świątecznych wysyłanych mechanicznie, żeby tylko udręczyć listonoszy i dać poczcie zarobić. A swoją drogą swego czasu kartki, zwłaszcza robione prywatnie, miały swój wdzięk. Kiedyś zrobili świąteczną pocztówkę w formie kartki żywnościowej, jaką rozklekotane już państwo pod nazwą PRL wyemitowało w nadziei sprawiedliwego rozdzielenia ochłapów, które wypadły z pociągów wywożących żywność do ZSRR. Innego roku życzenia składał w ich imieniu pies-rura, przedłużony fotomontażem do proporcji pociągu z drzwiami i oknami, w których stali Marianna, Krzysztof, Kasia i Jacek, a także ich ukochana suka Szura. Pies w psie, dobre sobie! A dziś co, nie tylko kartki, ale i listy zanikają, zostaną nam tylko e-maile, albo co gorsza esemesy.

Jedyne, co jej z tego teraz przyszło, to przypomnienie, że przyjedzie Jasiek z Londynu.

Zadzwoniła do Jacka, aby zapytać o szczegóły.

– Ja ci się wiecie, synku?

– Wszystko w porządku, tonę w robocie, a to znaczy, że jest dobrze. A ty jak się czujesz?

– Może być. Wiesz już, kiedy przyjedzie Jasiek?

– Tak. Właśnie miałem do ciebie dzwonić, bo jest pewien problem. On przylatuje w Wielki Poniedziałek, myślałem, że pobędzie w Warszawie dwa, trzy dni i razem, najpóźniej w czwartek, przyjedziemy do ciebie. Tymczasem ja muszę we wtorek, ten w Wielkim Tygodniu, polecieć jeszcze do Oslo, robimy z nimi film, i wrócę dopiero w piątek wieczór. Byłoby bez sensu, żeby on czekał na mnie w Warszawie do piątku, a ty na nas do soboty...

Marianna zastrzygła czujnie uszami: wyjeżdża? Może z Chinką? Ale przecież nie do Chin oświadczyć się rodzicom?! Przez mózg przeleciał kolorowy obrazek: stary Chińczyk z warkoczem, obok żona, uśmiechnięci, kłaniają się uprzejmie, dzwonią chińskie dzwoneczki... Wykopała tę głupotę precz z myśli i w ułamku sekundy wróciła do rozmowy.

– Oczywiście, że bez sensu! Niech przyjedzie do mnie, jak ty wylecisz, to znaczy we wtorek.

– Ale kto go zawiezie?

– Jacusiu, przecież to już nie jest dziecko! Z Londynu może sam przylecieć, a na Mazury trzeba go zawozić?! Jesteś jak tata, nie uznawał żadnych publicznych

środków komunikacji: autobusów, kolei! Jakież wielkopańskie fochy: najlepsza była bryczka w parę siwków ze stangretem!

– Wiesz, mógłbym go wysłać ze swoim kierowcą, bo i tak nie będzie miał nic do roboty, jak ja polecę, ale teraz tak patrzą, żeby nie korzystać ze służbowych samochodów do celów prywatnych, ja go nawet po papierosy wysłać nie mogę...

– Ty palisz?! Nie pal, Jacusiu, proszę cię...

– Mamo, przecież ja nie palę!

– Jak już musisz, to pal fajkę. Po ojcu pełno dobrego tytoniu zostało... Jest też jego kolekcja fajek, a także lasek, pamiętasz?

– Przecież ja nie muszę palić. Nigdy nie paliłem i nie uzależniłem się od tytoniu. Z fajką wyglądałbym jak pozer, a z laską jak dandys lub kaleka.

– Dlaczego, byłoby ci do twarzy...

– Zdaje się, że prowadzimy idiotyczną rozmowę, a do mnie zaraz przyjdą ludzie z banku. Więc dobrze: odbiorę Jaśka w poniedziałek z lotniska, a we wtorek, przed moim wylotem, wsadzę do pociągu albo autobusu.

– Wyjedziemy po niego do Ełku.

– Okay, mama! Powiem mu, żeby rozmawiał z tobą tylko po angielsku. *Be brave, mom!*

– Przestań! Nie dręcz mnie!

– *Don't worry, be happy!*

Marianna odsapnęła. Już nie pierwszy raz zauważyła, że ze swoimi dziećmi, nie wspominając o wnukach, zawsze dziwnie rozmawia. Od razu wpada w jakiś infantylny ton, plecie komunały, w których wychodzi na idiotkę z farsy. To chyba jakiś syndrom „babci”, tego wyświechtanego słówka, które zdaje się pachnieć świeżym ciastem drożdżowym z rodzynkami i lukrem, i to w całym domu! Na Wielkanoc BABCIA powinna leżeć w doniczce z owsem, zamiast baranka, stać na łąpkach z poślonych uszami zajączka, pomalować sobie twarz w pisankowe wzory, a nie zawracać głowę jakąś ogólną troską o wszystkich i o wszystko! Babcia nadopiekuńcza, babcia kochana, babcia siwiuteńka, babcia maluteńka, babcia haftowana, babcia zasuszona, babcie wszystkich krajów łączcie się! A najlepiej zapakujcie wszystkie babcie w gigantyczną raketę i wystrzelcie na księżyc! Odetchną wszystkie wnuki. I dziadkowie też! Jębać babcie!

Marianna aż się obejrzała za przestraczem, czy ktoś nie słyszał jej myśli: „jębać babcie”. Co ja mówię?! Do czego dochodzi?! Jakież żule, łysi troglodyci,

wykrzykują takie hasła na stadionach, cyniczni debile prawicowi składają im hołdy jako „obrońcom honoru ojczyzny” i to wchodzi do głowy osoby, którą wychowano, żeby umiała po francusku, grała na fortepianie, nie garbiła się i nie siorbała przy stole, żeby czytała Prousta, żeby wierzyła w ideały ludzkości! Jebać babcie – dobre sobie, o dosłownym znaczeniu tych słów – zamilcz serce...

Spojrzała do kalendarza: a więc to już tylko dwa tygodnie, trzeba zabrać się do roboty. Święta za pasem, z basem i przytupasem! Przytupasem czy przydupasem? Przypomniała sobie, jak jej mama spiekła raka, kiedy ciotka Emilka określiła tym słowem jakiegoś tam wuja szalawilę i nieroba, który jednak był uwielbiany przez żoneczkę. Zdziwiła ją reakcja mamy, ale po swoim sobie to wytłumaczyła: „Mamę zgorszyło słowo dupa, bo występuje ono wyłącznie w toalecie, w raczej nieestetycznych i wstydliwych okolicznościach, a o tym się nie mówi w salonie”. O innych występach tej części ciała dwunastolatka jeszcze nie miała pojęcia.

Sięgnęła po swoją ulubioną książkę kucharską i zaczęła układać menu na świąteczne obiady. Przede wszystkim wielkanocne śniadanie i przede wszystkim wielka, wielkanocna szynka z nogą. Nie zwlekając, zatelefonowała do starego Czerniawskiego.

– Dzień dobry, panie Tadeuszu. Najwyższy czas pomyśleć o szynce, do świąt już tylko dwa tygodnie.

– Oj, pani Kalinosko, ja o niej już od miesiąca myślę i się martwię.

– Dlaczego?!

– A to znaczy, zabiję wieprzka, jedną szynkę dla pani uwędzę, a kto mi drugą kupi? Tera ludzie forszy nie mają. Co, sami zjemy? E, to szkoda, pani, to szkoda by była...

– Jak to, przecież ja zawsze od pana obie szynki biorę.

– No, ale żem myślał, że w tym roku, w żałobie, to hucznych świąt u pani nie będzie...

– To prawda, tylko syn z wnukiem do mnie przyjadą. Oni by wprawdzie konia z kopytami zjedli, ale tę drugą szynkę pošlę córce do Warszawy. Sama pewnie dużo z niej nie zje, bo już w ósmym miesiącu jest, ale zięć bardzo ją lubi, a i gości pewnie zaproszą. Wezmę obie.

– A, no to dobrze, to dobrze. Już dzisiaj wieprzka którego krzyżem świętym przeżegnam, a jutro, o świcie, ze światem żegnać się mu przyjdzie, biedactwu. Sam sobie winien, po co żarł tyle i spisał się tak, że pod nóż się prosi! Tak że, pani Kalinosko, możemy spać spokojnie, szynki na Wielkanoc będą klasa! A co

z kiełbasami?

– To co zwykle, panie Tadeuszu: ze dwa pęta jałowcowej, trochę wiejskiej, no i białej, przede wszystkim białej, bo i żurek musi być, i sama w kapuście. Tu żartów nie ma, panie Tadeuszu, tradycja to tradycja!

– Święte słowa, pani Kalinosko, jakbyśmy tradycji nie mieli, jak Chińczyki, to byśmy dawno Niemcami byli.

Marianna zrobiła wielkie oczy: przedziwna konstrukcja myślowa, ale nie wdała się w jej analizę. Pan Tadeusz mówił dalej:

– To mi się widzi, że cały wieprzek pójdzie dla pani, bo i wątrobiankę zrobimy, i na galaretę nóżki odłożymy. A łeb? Chce pani łeb dla dekoracji?

– Nie, nie, dziękuję, panie Tadeuszu, łba nie trzeba... – Skrzywiła się ze wstrętem, dobrze, że tego nie mógł widzieć.

– Ale niech pani pomyśli: widziałem kiedyś w Łomży, na wystawie u masarza, tak zmyślnie go zrobili: w ślipia piłeczki pingpongowe mu wstawili, podmalowane na czerwono, w ryj marchewki wbili, wyglądał jak pijany, kiedy się głupio śmieje... To piękna ozdoba stołu by była...

– Nie, naprawdę dziękuję. Łeb proszę zatrzymać.

– No, dobrze – westchnął z zalem – dla nas go zrobię... Tośmy się umówili, tak?

– Tak, panie Tadeuszu. Zaraz podeślę zaliczkę przez Józka. Jak zwykle?

– A to nie trzeba, naprawdę nie trzeba... – sumitował się, ale szybko dodał: – Ale jak już, to się by i przydało...

– W porządku. Do widzenia, panie Tadeuszu.

Uspokojona odłożyła słuchawkę i poczuła satysfakcję, a nawet dumę: oto ona, u siebie, wśród swoich, już nie jakieś dziwadło, nawiedzona malarka z Warszawy, ale tutejsza, наша, Kalinoska! Jak zadzwoni do sąsiada, to on wie o niej wszystko, ma pełne zaufanie, ma ją za swoją. Wie o jej rodzinie, o radościach i smutkach, współczuł, jak straciła męża, bo to, panie, dobry człowiek był, cieszył się, jak się dowiedział, że córka przy nadziei, bo dobrzy ludzie powinni dużo dzieci mieć, żeby na świecie dobrych ludzi przybywało. A dobrej sąsiadce, z której się jest dumnym, bo nawet w Ełku ją znają i medal za zasługi jej dali, takiej sąsiadce to trzeba piękne kiełbasy i szynki wyrzyczyć i koniecznie o ogonku na barszcz nie zapomnieć!

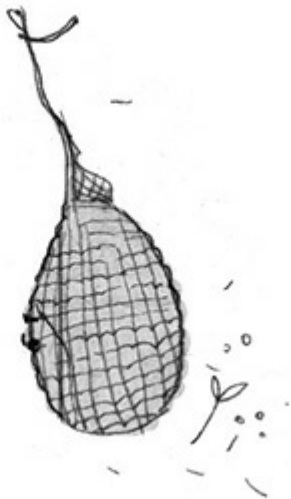
Jak tak pomyślała, to łyzy zakręciły się jej w oczach, ale po raz pierwszy od wielu miesięcy, nie były to łyzy żalu i rozpacz, a... – tu ugryzła się w myślach w język, żeby nie zapeszyć, i tylko bardzo cichutko, ukradkiem, zawstydzona, pomyślała

sobie szeptem: szczęścia...

Szybko wyrwała się z tych troszkę żenujących sentymentów i ruszyła z książką kucharską do kuchni, żeby z panią Helenką się naradzać. Siedziały pod lampą z abażurem, rzucającą na stół żółte światło, o żarówkę obijała się jakaś przebudzona przedwcześnie mucha, tak długo, aż znecierpliwiona pani Helenka musiała ją ubić ścierką, wertowały książki kucharskie, stare poplamione zeszyty z przepisami po babciach, deliberowały, pospierały się trochę o receptę na najlepszy chrzan do wędlin, czy doprawić go jajkiem na twardo, czy nie. Mówiły raz głośno, nieomal na granicy kłótni, raz zniżały głosy do szeptu, jakby dotykały jakichś intymnych tajemnic królestwa kuchni, raz mogły się wydawać spiskowcami, którzy chcą obalić tron, a raz generałami omawiającymi strategię w wojnie przeciw prymitywnemu żarciu, potrawom bez smaku, zepsutym przez niedbalstwo głupich kucharzy.

Józek przebudził się i spojrzał na zegarek: minęła północ. Pościel na łóżku matki była nietknięta. Józek wstał, poczłapał do kuchni, drapiąc się po plecach, nalał sobie szklankę wody i wypił chciwie duszkiem. Odsunął zazdrostkę w oknie i wyjrzał: w dużej kuchni paliło się światło.

Pokręcił z niedowierzaniem i naganą głową: o garach i kuchni to tylko baby mogą tyle gadać, faceci nie mogliby tak długo gadać, może dlatego nie gotują, dlatego to wszystko, co piszą w gazetach o jakichś cudownych kucharzach, nie może być prawdą, jak zresztą nic w nich nie może być prawdą. Wrócił do sypialni, położył się, nakrył z głową pierzyną i zasnął.



Myśl, żeby jednak otworzyć pensjonat, nie dawała Mariannie spokoju. Pytała o to w duchu Krzysztofa, ale on milczał, pewnie uważał, jak zwykle, że goście to dopust boży, że on, jak zwykle, nie chciałby, ale nic nie mówi, bo nie chce jej denerwować. Zawsze znosił z trudem jej entuzjazm, z jakim witała gości, jej opiekowanie się nimi, częstowanie, namawianie do spróbowania innej potrawy, wypytywanie się, czy smakuje, czy dobrze się spało, jakie są plany wycieczkowe, służenie pomocą i radą, wreszcie posyłanie na końcu kolacji po kieliszeczkę smorodinowej nalewki „od gospodarza domu”. Z tego ostatniego był raczej zadowolony, to stwarzało pozory, że darzy gości sympatią i szacunkiem, podczas gdy niektórym posłałby raczej kielich cykuty. Był nieuleczalnym odludkiem, szczęśliwie miał swój azyl i alibi: swoje prace naukowe i dydaktyczne, zawsze mógł się za nimi ukryć, wymówić się od jakiegoś uczestnictwa, w każdej chwili opuścić towarzystwo pod pretekstem pilnej pracy. Wiedziała, że nieraz uciekał do swego pokoju, robiąc męczeńską minę, jaka to ciężka robota go czeka, a zasiadał z ulgą do pasjansa na komputerze. W związku z tym przeżył trudny dylemat: układ jego gabinetu, rozmieszczenie okien i wejścia narzucało jakieś optymalne ustawienie mebli, chcąc siedzieć twarzą do któregoś z okien, miał za plecami drzwi, a w ten sposób ktoś, kto wchodził, widział przez jego ramię ekran komputera, na nim natomiast właśnie na przykład pasjansa. Obcy najpierw pukali, więc zawsze miał sekundę, aby zamknąć pasjansa i wejść na przygotowaną uprzednio stronę jakiejś pracy naukowej, ale Marianna wchodziła bez pukania, a często wręcz wpadała jak burza, i najszybszy nawet refleks nie był w stanie zapobiec przyłapaniu go na granie, co było wstydlive jak dłubanie w nosie.

Początkowo usiłował wyprzedzić Mariannę, nasłuchiwał jej zbliżających się kroków i nie raz, nie dwa zdołał ją ubiec, ale jeśli go przyłapała, nie obywało się bez reprymendy, której słuchał jak uczeń, przyłapany na paleniu papierosa w szkolnej toalecie. Kiedy się już wyzłoshiła, napastwiła i wygadała, zawsze zauważała, jak on uważnie słucha wyrzutów, i to ją rozczulało. Przypominał jej Jacka w wieku szkolnym, któremu nagadała za jakąś kolejną szkolną aferkę: też tak stał przed nią zawstydzony, czerwony, nieznajdujący słów na swoje usprawiedliwienie. Wtedy klepała delikwenta po policzku i mówiła: „No, no, już! Głowa do góry! Popraw się! Weź się do roboty”.

Potem, zmęczony już tą stałą czujnością, odwrócił układ i usiadł tyłem do okna,

ekran był teraz niewidoczny dla wchodzącego. Żeby ewentualnie podejść i zajrzeć mu przez ramię, trzeba było przedrzeć się przez przemyślnie ustawione przeszkody, fotele, stoliki, kosze na śmieci, tak że mógł nawet nie zamykać kompromitującego pasjansa i przeczekać wizytę z nim na ekranie. Rozzuchwalił się tak bardzo, że nieraz słuchał jakichś zwierzeń, żalów czy tylko informacji Marianny siedzącej na specjalnie ustawionym fotelu po drugiej stronie biurka, a jednocześnie cichaczem kładł pasjansa, od którego się uzależnił jak od narkotyku. To rozwiązanie miało jednak wadę: okno za plecami odbijało się w szybie ekranu, mąciło obraz, męczyło wzrok, wpatrywanie się w szafę zamiast na piękne jezioro za oknem działało deprymująco, otępiało, usypiało. Ustawił więc komputer bokiem do wejścia, mógł zamyślać się, wpatrzony w jezioro, zwracając głowę w prawo, mógł reagować na wchodzącego, spoglądając w lewo, na drzwi. Ale i to rozwiązanie miało swoje wady: teraz kręcił się niezdecydowany na fotelu, nie mógł sobie znaleźć wygodnej pozycji, ciężko mu było się skupić, zmobilizować do pracy, którą przecież musiał kiedyś wykonać.

Właściwe wyjście z tych dylematów znalazła, jak zwykle, Marianna. Bez słowa komentarza zniosła kiedyś ze strychu stare ramy od parawanu, wypełniła je pięknym gobelinem z jakiejś zapomnianej narzuty i ustawiła w jego gabinecie niby jako dekorację. Porozumieli się bez słów: Krzysztof wrócił do starego układu, siedział tyłem do drzwi, miał przed oczyma jezioro za oknem, a parawan rozstawił za plecami, zasłaniając się przed intruzami. To nie tylko dawało mu poczucie bezpieczeństwa, chroniło jego prywatność, zapobiegało stresom, ale w jakimś bardziej ogólnym sensie odgradzało go od świata przyziemnych spraw, zakreślało granice jego osobistego, prywatnego obszaru, jego intymnego uniwersum.

Po pierwszym okresie ich osiedlenia się na mazurskiej wsi, gdy przyjeżdżali do nich tylko przyjaciele albo zaproszeni znajomi, kiedy zdecydowali się osiąść tu na dobre, a potem kiedy zobaczyli, że muszą zapewnić sobie jakiś dochód, by utrzymać to miejsce przez cały rok – otworzyli pensjonat. Początki były trudne, najpierw musieli przebrnąć przez rozmaite biurokracje, pokonać bzdurne przepisy, dostosować się elastycznie do absurdalnych wymogów wymyślonych w zamierzchłych czasach przez troglodytów mentalnych. Mariannę zawsze najbardziej wściekał jeden warunek, od którego spełnienia zależało przyznanie pensjonatowi liczby gwiazdek, od jednej do pięciu, było nim zaopatrzenie każdego pokoju w odbiornik radiowy (jedna gwiazdka) lub telewizor (pięć gwiazdek)!

– To ludzie uciekają od miejskich hałasów do naszej ciszy i o niczym nie marzą,

jak tylko o muzyce z radia w pokoju?! A niech przyjedzie jakiś debil, który rano otworzy okno, nastawi na pełny regulator i zacznie się gimnastykować w brudnej koszulce na ramiączkach! Co wtedy?! – wykrzyczała jakimś Bogu ducha winnemu urzędnikowi w gminie.

– Zawsze może pani wezwać policję... – wyszeptał poblady z strachu ustami, ale wobec odmowy spełnienia tego warunku nie przyznał jej ani jednej gwiazdki. W rezultacie ich komfortowy, gustownie urządzonej obiekt, o którym goście, często z zagranicy, wypisywali peany, porównując go do specjalnej klasy luksusowych hoteli *boutique*, nie miał ani jednej gwiazdki i nawet nie mógł używać nazwy „pensjonat”, a tylko wieloznacznej „dwór”.

Kiedy teraz Marianna rozważała, czy ma otworzyć pensjonat, czy może wszystko zlikwidować i wrócić do Warszawy, zaczęła sporządzać swoisty bilans, listę za i przeciw, sięgając do swoich wspomnień z kilkunastu lat historii ich dworu. Zaczęła od listy „przeciw”:

– pełno kłopotów z prowadzeniem, utarczkami z urzędami i przepisami, znajdowaniem i utrzymaniem personelu, przepawy z kucharkami, pokojówkami, dostawcami itp.;

– prowadzenie rezerwacji, korespondencja lub rozmowy telefoniczne z gośćmi, cała logistyczna strona zarządzania „dworem”;

– niespodzianki ze strony gości...

...tu przerwała systematyzowanie swoich doświadczeń i zaczęła wspominać już na chybił-trafił:

– gościa, starego reemigranta z Ameryki, który o świcie wyszedł na pole i tak się wzruszył, że wrócił na prastarą polską niwę, że padł na kolana i odśpiewał nadzwyczaj doniosłym głosem: „Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki...”. Nie dość, że pobudził cały pensjonat, że przeraził małe dziecko, które się rozryczało głośniej od niego, to naraził się na kpiny grupy *yuppies*, dla których był to „obciach, żenada i wieśniactwo”, co spolaryzowało uczestników śniadania i zakończyło się nieprzyjemną kłótnią, w której Marianna nie chciała i nie mogła zająć stanowiska, pozostał tylko niesmak;

– gościa z Korei Południowej, małego żółtego jegomościa, który pożarł na kolację czternaście wielkich befsztyków, ledwie kuchnia nadążyła smażyć, a nazajutrz przyszedł pierwszy na śniadanie i zademonstrował wilczy apetyt;

– panią z dzieckiem w wózek, która zaczęła od gorączkowych poszukiwań jakiegokolwiek niani, a kiedy ją znalazła i nakazała spacerować z wózkiem

po podwórku, sama zatelefonowała i niemal natychmiast zjawił się jakiś łysy facet na motocyklu, z którym zamknęła się w pokoju na parterze oficyny. Niania chodziła godzinami tam i powrotem, speszona, dziecko ryczało głodne i zsiusiane, a z pokoju dochodziły bezwstydne spazmy pani i motocyklisty. Pod wieczór pani wyszła na chwiejnych nogach i zapytała, czy byłby wolny jakiś drugi pokój. Szczęśliwie był, zaraz obok. Pani sownie opłaciła nianię, żeby została na noc z dzieckiem, a sama wróciła do spazmowania z motocyklistą. Rano, jeszcze przed śniadaniem, do bramy zadzwonił jakiś pan, który podjechał długą limuzyną, i zapytał, czy tu zatrzymała się taka a taka pani z małym dzieckiem. Marianna natychmiast zorientowała się, o kogo chodzi, przytrzymała pana pod bramą pod pretekstem awarii systemu i wysłała do zapamiętałych kochanków pokojówkę, żeby ich ratować. Motocyklista podobno wyskoczył nagi przez małe okienko w łazience na drugą stronę domu, pani wyrzuciła za nim wszystkie jego ciuchy, sama pobiegła do pokoju, gdzie spała niania z dzieckiem. Ją, zaspaną przerzuciła do swego pokoju, sama weszła do jej łóżka i udała, że śpi. Marianna wtedy wpuściła limuzynę, wyszła do gościa i zaproponowała, aby poczekał w jadalni, bo dziecko marudziło całą noc i żona na pewno wymęczona, teraz jeszcze śpi. Mąż usłyszał, motocyklista odjechał, a Marianna miała kaca, że wzięła udział w jakiejś podłej zdradzie, tym większego, że mąż okazał się bardzo sympatycznym, kulturalnym panem, czego na pewno nie można by powiedzieć o łysym motocykliście. Jej kac się wzmógł, kiedy zobaczyła, jakimi czułościami obsypuje niewierna żona swego rogarza, za co on jej odpłaca zachwytem i oddaniem.

Niemiałą pamiątką po tym wydarzeniu było kilka szczebelków wyłamanych z zagłówek łóża, na którym harcowała para. Długo czekały na zmiłowanie Józka, zanim je skleił i wstawił na miejsce. Ubocznym produktem tej burzliwej nocy była determinacja, z jaką owa niania zdecydowała się ulec pewnemu stolarzowi, z którym chodziła już od paru miesięcy. Była to skromna, nieśmiała dziewczyna, bardzo religijna i uczciwa, po tym zaś, czego się nasłuchiwała, nocując z dzieckiem za cienką ścianą pokoju, nie chciała już odwlekać chwili, o której skrycie marzyła od dawna, i oddała się stolarzowi na jego warsztacie. Dziewięć miesięcy później powiła mu dziecko, dziewczynkę. Stolarz, w porywie szczęścia, chciał ją nazwać imieniem Motorola, na cześć dzielnego motocyklisty, któremu zawdzięczał przełom w swoim narzeczeństwie, dopiero ksiądz mu odmówił, wyjaśniając, że nie jest to imię katolickie.

Na początku działalności Marianna przyjmowała do pensjonatu tylko gości

z jakąś rekomendacją: znajomych albo znajomych znajomych, a najchętniej tych, którzy z czasem stawali się stałymi. Nie zdarzało się, aby przyjęła kogoś obcego, kto zadzwonił do bramy, zawsze takim odmawiała, chociaż miała możliwość przyjrzenia się kandydatom na gości przez zamontowaną tam kamerę. Raz bowiem popełniła błąd i zawierzyła swojemu wrażeniu, co potem na długo zapamiętała. Zadzwoniono do bramy, Marianna spojrzała na monitor, zobaczyła jakiś porządny samochód, w typie rodzinny van, i młodą sympatyczną dziewczynę przy domofonie, która zapytała o dwa lub trzy pokoje dla pięciu osób na zaczynający się weekend. Jej miła aparycja i głos osoby dobrze wychowanej skłoniły Mariannę do otwarcia bramy. Kiedy wysiedli na podwórku, pod Marianną ugięły się nogi. Była to rodzina jak z rysunku satyrycznego o strasznych drobnomieszczanach: ojciec – troglodyta z byczym karkiem w bejsbolówce na głowie, w rozciągniętym T-shircie o barwie bananowo-fioletowej, w zjadliwie zielonych bermudach i w japonkach na ogromnych, płatfusowatych stopach, matka – w wałkach we włosach pod żółtą siatką, z twarzą błyszczącą od grubej warstwy kremu, babcia – w rozciągniętym dresie sportowym w kolorze worka z wyblakłym napisem: LZS Martwica i przekrzywionej peruce na głowie oraz synalek – monstrualnie gruby piętnastolatek o twarzy debila z chomikiem na rękę. Młodzianka dziewczyna z zażenowaną miną, najwyraźniej studentka z dobrej rodziny, dorabiająca sobie na wakacjach, okazała się ich służącą. Podbiegł Najki, który wyczuł chomika i usiłował go powąchać, wspinając się na łapach. Troglodyta podniósł z ziemi spory kamyk i rzucił w psa. Na szczęście nie trafił.

– Co pan robi?! Nie wolno rzucać kamieniami, skałeczy pan mi psa! – W Mariannie się zagotowało.

– A czego skacze na chłopaka, chciał ugryźć chomika!

– Chciał go tylko powąchać. Najki, do budy!

Pies posłusznie odbiegł, Marianna obejrzała się ze strachem: żeby teraz nie przybiegł Czarny albo co gorsza Heniek, ten by nie dał się odpędzić.

– Mają państwo jakąś klatkę na chomika? – zapytała.

– Juruś, klatkę wzion? – zapytał ojciec.

– Ja myślałam, że ona weźmie – chłopiec wskazał brodą na dziewczynę.

– Wzięła klatkę? – zapytał groźnie dziewczynę troglodyta.

– Ja... nie wiedziałam nic o klatce – wyszeptała struchlała.

– A co mówiłam, kogo ma pilnować? Jirusia, nie?

– Ale pani starsza kazała mi prasować dres przed wyjazdem...

– Pani starsza nie ma nic do rozkazywania, zapamiętaj to sobie. Słuchasz tego, kto płaci, a płacę ja! Potrączę ci za te klatke!

– No, no, nie pozwalaj sobie – odezwała się kobieta w lokówkach – mamusia nie mogła jechać w wymiętym dresie. A ty nie skarż, bo źle na tym wyjdiesz! – zwróciła się do dziewczyny.

– Jak będziesz na mnie skarżyć, to ci nogi z dupy powyrywam! – powiedziała trzęsącym się głosem babcia.

– No, to może ja państwu pokażę pokoje – przerwała rodzinną pogawędkę Marianna. – Proszę za mną.

Zaprowadziła ich do oficyny i pokazała trzy pokoje: dwa dwuosobowe i jeden, mniejszy, z jednym łóżkiem. Troglodyta wparował do pierwszego.

– Ja tu, z matką, a ty z babcią w drugim, dziewczucha sama – zarządził, zwracając się do synalka.

– A może babcia sama? Lepiej wycocznie... – odezwał się chłopiec. – A ja z Małgosią.

– Żebyś znowu ją próbował podmacywać przez sen, nie ma mowy – powiedziała matka.

– To może ona z babcią, a ja sam? Z chomikiem.

– W życiu. Będzie walił konia całą noc, a potem wygląda jak wymoczek! Ma być tak, jak powiedziałem – zamknął dyskusję ojciec rodziny. – Babcia i mama zostają, ja idę zaparkować, wy idziecie po bagaże – polecił dziewczynie i synowi. Monstrualny wyrostek wypuścił chomika na podłogę, a ten natychmiast zrobił kilka bobków, jak koza, i uciekł pod łóżko. Dziewczyna wyjęła jednorazową chusteczkę z torebki i z obrzydzeniem uprzątnęła kupę.

Marianna była przerażona, nigdy jeszcze nie spotkała się u siebie z takimi ludźmi, ta uwertura źle jej wróżyła i już zaczęła marzyć, żeby nastał poniedziałek.

Nie pomyliła się, pobyt tej rodziny stał się pasmem żenujących i nieprzyjemnych sytuacji.

Przy kolacji, posadzeni na werandzie, rzucili się na jedzenie, jakby głodowali przez tydzień. Ojciec i syn pochłonęli po dwie zupy i po dwa ogromne kotlety z górą ziemniaków, na co kuchnia była przygotowana, ale potem Juruś przystawił się do wielkiej patery z kruchym ciastem dla gości na werandzie, ustawionej na bufecie z kawą i herbatą, i błyskawicznie pożarł wszystko. Ojciec klepnął go w plecy z aprobatą.

– Zuch! – huknął, ale cios był zbyt mocny i chłopiec zwymiotował. Straszliwa fontanna jak z hydrantu wylała się z jego rozdziawionej paszczy na stół, na podłogę, na spodnie i na chomika, którego trzymał na kolanach. Zwierzátko zeskoczyło na podłogę, pobiegło parę kroków i otrzepało się z wymiocin, opryskując nogi siedzącej obok nobliwej damy z Anglii.

Goście z sąsiednich stolików przerwali posiłek i gremialnie wyszli z werandy. Naddbiegła Marianna na czele brygady pokojówek z mopami i wiadrami. Troglodyta wyprowadził za kołnierz syna na pomost i kopnięciem w tyłek wrzucił go w ubraniu do jeziora. Chłopiec wylazł po drabince z wody i z płaczem, ociekając wodorostami i glonami, poszedł do pokoju się przebrać.

Marianna załamała się do tego stopnia, że Krzysztof odstąpił od swoich zasad niewtrącania się w sprawy gości i wygodnego dystansowania się od problemów pensjonatu, zebrał się w sobie i przez Józka wezwał do biura troglodytę. Marianna nigdy nie dowiedziała się, jak Krzysztof rozmawiał z gościem, jakim tonem, jakich użył argumentów, dość, że upiorna rodzina wyjechała o świcie bez śniadania. Ale i bez zapłaty...

Marianna przerwała już wspomnianie nieprzyjemnych epizodów z historii pensjonatu. Z ulgą zaczęła wywoływać z pamięci wszystko, co było miłe i miało konsekwencje trwające do dziś, a więc tych, którzy przyjeżdżali jako przyjaciele, i tych, którzy po kilku pobytach stawali się ich przyjaciółmi.

Do tych pierwszych należała para małżeńska z pieskiem rasy york, czyli yorkshire terrier, wyjątkowo uroczy ludzie. On, Maciek, był europejskiej sławy muzykiem, pianistą, koncertującym z najlepszymi orkiestrami kontynentu i solowo w najlepszych salach koncertowych, ona, Wiesia, psychiatrą, przede wszystkim – co zawsze podkreślała – psychiatrą osobistym Maćka. Stan wojenny zastał ich w Paryżu, gdzie Maciek miał serię koncertów. Postanowili tam zostać, choć byli już niemłodzi, on po czterdziestce, ona przed, i nie znali języka, co dla Wiesi byłoby niewyobrażalną przeszkodą, jeśliby zechciała tam pracować w swoim zawodzie, a zechciała. W ciągu trzech lat opanowała język tak perfekcyjnie, że nostryfikowała swój polski dyplom na Sorbonie i otworzyła praktykę psychoanalityczną w dobrej dzielnicy Paryża. Gabinet cieszył się powodzeniem, głównie ze względu na urok osobisty i empatię, którą promieniowała psychoterapeutka, a słowiańska uroda i lekki obcy akcent, który ku jej ubolewaniu brano za rosyjski, dopełniały dzieła. Maciek nie opanował tak idealnie języka, bo nie było mu to bardzo potrzebne, ale to co potrafił powiedzieć, mówił z akcentem paryżanina, bo miał słuch absolutny.

Był bardzo lubiany przez melomanów, a lwia czupryna, którą potrząsał energicznie, zyskała mu miano drugiego Paderewskiego, chociaż jego czupryna nie była siwa, a w kolorze pszenicy.

Z Kalinowskimi znali się jeszcze z czasów Hybryd, bo należeli do tego samego pokolenia. Maciek dla przyjemności grywał jazz i często, po imprezie, kiedy ustał już jazgot rocka, siadał do fortepianu i grał standardy dla małego grona fanów, którzy na to czekali cały wieczór. Krzysztof miał ten przywilej, że podpowiadał kolejne tytuły ulubionych utworów z repertuaru Oscara Petersona, Errolla Garnera czy Nata Kinga Cole'a.

Potem na kilkanaście lat ich przyjaźń się urwała, bo Maciek i Wiesia wrócili do kraju dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. Kupili w Warszawie piękne stare mieszkanie w okolicy Sejmu i wznowili działalność towarzyską. Pasją Maćka była kuchnia i gotowanie, w Paryżu stał się smakoszem i znawcą win, więc kolacje u nich, zawsze kameralne, najwyżej sześć osób przy stole, były rozkoszą dla podniebienia. Marianna i Krzysztof odwiedzili ich kilka razy, Marianna znalazła wspólny język z Maćkiem i nie były to ozorki, których Krzysztof nie cierpiał, lecz sekrety gotowania, które w przepływie sympatii wzajemnie sobie zdradzali. Tam namówili się, że ich kiedyś odwiedzą na Mazurach. Kiedy wreszcie do tego doszło, okazało się, że Krzysztof jest bardzo towarzyską osobą, że przepada za biesiadowaniem w dobrym towarzystwie, także jest gourmandem i miłośnikiem win. Ich zabawne przekomarzania się z Maćkiem przy stole, gdzie prześcigali się w wymyślaniu dla siebie coraz to nowych imion i tytułów, stały się atrakcjami wieczorów, a zasiadanie przy największym stole z nimi – specjalnym przywilejem.

Dopuszczano do tego stołu wyłącznie starych przyjaciół lub starannie wybranych obcych gości, do których należała ciekawa para z Lublina: ona sędzia i poetka amatorka, on zamożny przedsiębiorca i fotografik amator. Byli bardzo skromni, on raczej słuchał, niż mówił, a jeśli się odezwał, to zawsze z sensem, ona dawała upust swoim talentom poetyckim i odczytywała okolicznościowe wiersze napisane na plaży. Po serii absurdalnych dialogów między Krzysztofem, który mógł być tego wieczoru „panem Stefanem”, „panem inżynierem” lub „panem Bolesławem”, a Maćkiem, nazwanym chwilowo „żabojadem”, „ojcem Nikodemem” lub „Monsieur Dupontem”, Maciek zaczynał się pastwić nad swoją żoną, nazywając ją „Niemrą”, „hitlerówką”, „Szwabką”, gdyż pochodziła z Gliwic, a fakt, że urodziła się wprawdzie tam, ale w rodzinie repatriantów ze Lwowa, nie miał dla niego znaczenia. To oczywiście były żarty, znane Wiesi aż nadto, ale gdyby ktoś obcy ich słuchał,

uznałby, że po tym wieczorze dojdzie do rozwodu. Podczas owych biesiad, trwających nieraz kilka godzin, ich ukochany york, także nazywany różnie, zależnie od humoru, ale przeważnie Punciem, siedział zamknięty w pokoju i słuchał muzyki klasycznej z odtwarzacza, co podobno go uspokajało. Maciek twierdził, że pies najbardziej lubi Mozarta, Wiesia – że Pucciniego.

Marianna wspomniała też małżeństwo z Gdyni z nastolatkiem: Halinka, Karol i Julek. Ona Kaszubka, gdynianka, patriotka Trójmiasta, współpracowała z literackim periodykiem związanym z gdańską polonistyką. Na jej widok Maciek od razu orzekł, że teraz będą tutaj dwie Niemry i pewnie założą komórkę BDM, hitlerowskiego związku dziewcząt, bo przecież powiat Ełk oddał w wyborach do Reichstagu w 1932 roku aż siedemdziesiąt procent głosów na partię Hitlera, najwięcej w całej Rzeszy. W rzeczywistości Halinka stanowiła żywy dowód na przenikanie się wpływów słowiańskich i niemieckich na Pomorzu: miała słowiańską urodę i niemiecki charakter, wyrażający się przestrzeganiem reguł, zamiłowaniem do ładu i porządku w stylu germańskim. Karol był prezesem w jakiejś międzynarodowej firmie elektronicznej, a dziesięcioletni Julek miłośnikiem samochodów i kolekcjonerem samochodzików. Bardzo lubił odwiedzać Krzysztofa w jego gabinecie – kiedyś, zauważywszy, że drukarka komputerowa jest włączona, powiedział:

– Przyjacielska rada: warto wyłączać drukarkę, kiedy nie pracuje, żeby tusz nie wysychał.

Od tej chwili otrzymał ksywkę „Przyjacielska Rada”. Szczególnie zwroty: „Karol pojechał gdzieś z Przyjacielską Radą” albo „Nie widziałeś gdzieś Przyjacielskiej Rady?” wywoływały zabawne reakcje, jeśli padały w obecności niezorientowanych w temacie słuchaczy.

Sierpińscy, bo takie było ich nazwisko, zaczęli przyjeżdżać regularnie na weekendy i dłuższe pobyty wakacyjne, wkrótce stali się bliskimi przyjaciółmi Kalinowskich. Krzysztof bardzo lubił rozmawiać z Halinką, szczególnie o lekturach i ulubionych autorach, w tym wielu wspólnych, Marianna ceniła Karola za jego wiedzę i poglądy, bardzo pragmatyczne i zdroworozsądkowe, które często podzielała. Kiedyś namówieni przez Mariannę kupili działkę w sąsiedztwie i obiecali sobie, że w przyszłości zbudują tu letni dom. Zaprzyjaźnili się także z Maćkiem i Wiesią i wszyscy zaczęli już nawet spotykać się w szóstkę w Warszawie, chodzić razem do teatrów, na koncerty, jak zgrana paczka, chociaż Halinka i Karol byli w wieku dzieci Kalinowskich, a w pewnym sensie także w wieku synka Maćka

i Wiesi, yorka Puncia, którego pięć psich lat odpowiadało tym trzydziestu kilku Sierpińskich.

Przez Siedlisko przewinęła się jeszcze cała plejada stałych gości, którzy lubili tu przyjeżdżać, może dlatego, że czuli, że są tu też lubiani: pewien profesor medycyny z Poznania, utalentowany fotografik z żoną dziennikarką, znana gwiazda estrady, zapalona wędkarka, z synem i przemiłym mężem Jędrzejem, sympatyczne małżeństwo z dwiema córeczkami, które mówiły do Marianny „ciociu” i obiecywały, że jak ciocia umrze, to one poprowadzą pensjonat, stary profesor Politechniki Krakowskiej, który najpierw przyjeżdżał z żoną, a po jej śmierci z dużo młodszą pielęgniarką, zawsze do tego samego pokoju, w którym było tylko jedno, choć wielkie łóżko, aż przestał w ogóle przyjeżdżać – zapewne wrócił do żony.

Przegląd tych miłych wspomnień wprowadził Mariannę w dobry nastrój, zatęskniła do tych przyjaźni, do miłych gości, którzy uwielbiali do niej przyjeżdżać, chwalić jej kuchnię i dobry gust, radzić się jej w życiowych sprawach, wyłudzać od niej przepisy na zrazy Radziwiłłowskie, na ciasto pana Janusza, na śledzia po żydowsku à la Marek K., wyjeżdżać obładowani słoikami miodu z Olecka, butelkami smorodininówki, wiankami grzybów przynoszonymi przez głuchoniemego z Czerwonki. To wszystko umocniło ją w postanowieniu, że jednak otworzy pensjonat, bo przecież to było dzieło jej życia, jej samo życie.



Pojechała na przystanek autobusowy w Elku. Polski Express miał tu przybyć o 15.55, ale ona czekała od kwadransa, bo nie mogła już wysiedzieć w domu. Z Jasiem oczywiście zdążyła porozmawiać parę razy od chwili, kiedy Jacek odebrał go na lotnisku, ale chciała go wreszcie zobaczyć. Czerwony piętrowy bus pojawił się na końcu ulicy dokładnie o 15.54 i wolno sunął, aby punktualnie dotrzeć do celu.

Marianna nie wytrzymała. Stała obok auta i zaczęła obserwować wysiadających. Opuszczali autobus dwoma wyjściami i Marianna musiała nerwowo przerzucać spojrzenie z jednego na drugie. Zapytała nawet Jaśka przez telefon, w co będzie ubrany. Zaśmiał się:

– Co ty, babcia?! Tylko po ubraniu możesz mnie poznać?!

Ale powiedział, że będzie w czerwonej kurtce puchowej, a tu żadnej czerwieni nie było widać. Marianna zaniepokoiła się, może się spóźnił i nie wsiadł do autobusu, ale by przecież dzwonili. Przypomniała sobie, że w porze odjazdu była w piwnicy i robiła przegląd win, a tam nie ma zasięgu. No, tak, mogli wtedy dzwonić – zaczęła już wpadać w panikę, kiedy od tyłu objęły ją ramiona jakiegoś dryblasza, który powiedział dziwnie niskim głosem:

– *Here I am*, babciu!

Odwrociła się i zobaczyła uśmiechniętego wnuka. Był jeszcze wyższy, jeszcze doroślejszy niż pół roku temu, zarost mu ściemniał i najwyraźniej już się golił. Oczywiście kurtkę miał granatową.

– Miałeś być przecież w czerwonej puchówce – powiedziała ze śmieszną pretensją w głosie, jakby się miała za chwilę rzewnie rozplakać.

Roześmiał się.

– A więc jednak rozpoznajesz ludzi po ubraniach. Po prostu ojciec powiedział, że się ugotuję w tej czerwonej, bo idzie ocieplenie, i poszliśmy kupić inną. Podobam ci się?

Nawet w szatach buddyjskiego mnicha by się jej podobał. Niósł na ramieniu wypchaną torbę sportową adidasa, podejrzewała, że też prezent od ojca. Na pewno! Teraz chce odkupywać tak swoje winy...

– O, widzę, że volvo już naprawione! Jeździsz nim? Nie przeszkadza ci, że to automat? Zawsze mówiłaś, że wolisz manualne przekładnie. A co zrobiłaś z hondą?

– Nic, stoi w garażu.

– O, to super! Będę mógł nią jeździć?

– Oczywiście. Jak zrobisz prawo jazdy.

– No, to cię zaskoczę: już mam.

– Nie! Od kiedy?

– Od Nowego Roku. Teraz już wożę mamę po Londynie, kumasz? Po Londynie!

– No, to brawo! W takim razie będziesz miał tu hondę.

Doszli do jej auta, Jasiek wpakował swoją torbę do bagażnika i złożył ręce, jak do modlitwy.

– Mogę poprowadzić?

Gdyby zapytał: „Czy mogę spalić auto albo zrzucić je ze skały?”, też by mu nie odmówiła. Krzysztof by na pewno nie odmówił, może nawet sam by pierwszy mu zaproponował.

– Wskakuj! – powiedziała, siląc się na młodzieżowy styl.

– Najpierw ty. – Obiegł samochód i otworzył przed nią drzwi. Pomógł jej wsiąść, poczekał, aż zapnie pas, zatrzasknął drzwi, po czym spokojnie obszedł maskę auta, wsiadł za kierownicę i nacisnął przycisk START, dając do zrozumienia, że zna się na rzeczy, że wie, że elektroniczny kluczyk jest w jej torebce i to wystarczy.

Ruszył płynnie, ale dość szybko i bezbłędnie skierował się do ronda przy wieży ciśnieni. Gdy dojechali do nowego ronda przy obwodnicy, krzyknął z podziwem:

– O, super! Tak szybko to zrobili?

– Szybko? Kiedy ty u nas ostatni raz byłeś?

– Jeszcze jak dziadek żył, rok temu. Wtedy właśnie odebrał volvo. Wyjeżdżaliśmy na szosę do Augustowa i dawał mi prowadzić.

– Zupełnie nowy samochód, dziecku bez prawa jazdy! – krzyknęła wzburzona i westchnęła: – Cały dziadek...

– I co, nie przydało się?! Teraz czuję to auto jak swoje!

– No, no, nie rozpędzaj się! Będziesz jeździć hondą. Dam ci ją na całe wakacje, możesz nawet na Litwę pojechać... – kuśiła go chytrze, uświadamiając sobie, że ma na niego przynętę, na którą zawsze go złapie.

– Na Litwę? Po co?

– Zwiedzić. Zobaczyć Wilno, cmentarz na Rossie, uniwersytet, celę Konrada... Tam jest pełno polskich pamiątek...

– Wiesz co, babciu, nie chcę cię urazić, ale to mnie mało kręci. Jak coś jest stare, obojętnie czy ma dwa tysiące lat, czy dwa lata, to straszna nuda. No, może

z wyjątkiem historii okrętów podwodnych. Ale tam, na Litwie, chyba żadnych nie mają? Czy oni mają morze?

– Oczywiście, że mają. Bałtyk, ten sam co nasz. Moglibyśmy pojechać do Nidy i obejrzeć dom Tomasza Manna.

– Kto to jest? Jakiś wasz znajomy?

Marianna uśmiechnęła się.

– Kiedyś na niego natrafisz i zostaniesz jego fanem. To pisarz niemiecki. Wielki.

– Zobaczę w Wikipedii.

Dojechali na miejsce. Najki na widok Jaśka oszalał: rzucił się z budy ze skowytem, z łkaniem pełnym wyrzutów, ale i radości, wskoczył mu na ramiona, omal go nie przewrócił, usiłował lizać po twarzy, a kiedy Czarny i Heniek też przybiegli na przywitanie, odpędził ich naprawdę groźnym warknięciem. Potem chodził za Jaśkiem wszędzie, nie odstępował go na krok, wszedł do domu, gdzie nigdy nie wolno mu było wchodzić, siedział pod stołem, gdy jego pan jadł, i jednym klapnięciem pochłaniał kęski, które mu rzucał albo ukradkiem podawał.

Marianna zupełnie straciła głowę i władzę, Najki ignorował jej wszystkie rozkazy: „Stop, nie wolno, nie wchodzić, wyjdź!” odbijały się od niego jak od ściany, a na Jaśka nie miała sumienia krzyżeć, dzisiaj było mu wszystko wolno. Gdyby wziął półmisek wędlin i położył się z nim pod stołem, żeby karmić Najkiego, też by mu na to pozwoliła.

Patrzyła na swego wnuka z uwielbieniem niemal religijnym, potem, kiedy trochę ochłonęła, szdydziła z siebie w myślach: „Jeszcze chwila, zaczęłabyś bić przed nim pokłony, śpiewać psalmy i okadzać kadzidłem, kretynko!”. Ale jej zachwyt był uzasadniony: Jasiek rósł na przystojnego, wysokiego chłopaka, uczył się w dobrej szkole, będzie mówił płynnie po angielsku, co w dzisiejszym świecie jest niezbędne.

Kiedy skończył kolację, zjedzoną z apetytem, ku zachwytowi babci, i kiedy udało się wreszcie wyprosić Najkiego za drzwi, usiedli w salonie, przy kominku. Marianna nalała sobie kieliszek koniaku i zaważała się przed zakorkowaniem butelki.

– Chcesz?

– Nie, babciu, ja nie piję.

– Masz rację, to głupie przyzwyczajenie. Człowiek wymyśla potem różne argumenty, że zdrowo, jeden kieliszeczek, na trawienie, doktor zalecił, lepiej śpię i tak dalej, a to tylko po to, aby ukryć, że to po prostu lubi, że nie może się powstrzymać, że jest uzależniony. I nie mówię o alkoholikach, to chorzy, ale o nas wszystkich, którzy sięgają po kieliszek odruchowo. Nie przyzwyczaisz się, nie

będziesz pił. Jak z paleniem tytoniu...

Jasiek słuchał z roztargnieniem szemrania babci, rozważał jakąś decyzję, w końcu powiedział:

– I to jest właśnie problem, babciu. My pijemy, ale nie dla przyjemności ani z przyzwyczajenia. Pijemy, żeby się upić, żeby nam się zdawało, że wszystko jest proste i łatwe, że my wszystko możemy... Więc pijemy szybko i dużo, żeby nie czekać na ten stan długo.

Marianna zmartwiała.

– Jak to „my”? Gdzie pijecie, kiedy?!

– No, my: ja, koledzy, koleżanki. Gdzie się da, gdzie jest chata wolna. Ale tylko w weekendy i tylko do sobotniego wieczoru, w niedzielę już ani kropli. Musimy w poniedziałek być w szkole czyści jak łąza. Problem jest tylko w tym, że nie wszyscy umieją się zachować...

– To znaczy?

– Dostają małego rozumu i trudno ich opanować. Tak jak we wtorek...

– W jaki wtorek?

– Przecież wiesz, że miałem do ciebie przyjechać we wtorek, bo ojciec miał mnie wsadzić do autobusu i polecieć do Oslo, ale nie wiedział, że autobus odjeżdża dopiero o dwunastej trzydzieści, a swój odlot miał o dwunastej, więc już po dziesiątej musiał jechać na lotnisko. Obiecałem mu, że wyjdę wcześniej i na autobus się nie spóźnię, jednak zasnąłem i nie zdążyłem. Jak do ciebie zadzwoniłem, to naprawdę byłem zrozpaczony, że muszę zostać w Warszawie do środy, ale chwilę później spotkałem na MDM-ie kolegę, jeszcze z ogólniaka, i tak się zaczęło...

– Co zrobiliście?

– Niepotrzebnie mu powiedziałem, że zostałem na noc sam, u ojca w domu. On powiedział, że wieczorem wpadnie do mnie z flaszką, to sobie pogadamy... Przyszedł wieczorem i przyprowadził jeszcze trzech kolesi i dwie laski. Przynieśli cały plecak piwa, wódki, wina... Na początku było miło, zagraliśmy w butelkę, ale honorowo, do końca, do ostatnich majtek. Laski były trochę rozsądniejsze, trochę starsze od nas, mówiły, żeby się nie śpieszyć, że wszyscy mają mieć po równo. Nalewały każdemu po kieliszku, prawie odmierzały miarką i czekaliśmy, dopóki ostatni nie wypił. Ale jeden z tych kolesi, straszny prostak, nie wytrzymał, wychlał całą butelkę z gwinta i zaczął się dobierać do jednej z lasek, no i się zaczęło...

– Jezus Maria! – Marianna wydała okrzyk zgodny z obyczajem polskich babć.

– Nie bój się, nic straszego się nie stało. Bawiliśmy się bardzo miło. Jedna z tych dziewczyn przyniosła *Kamasutrę*, piękne wydanie z ilustracjami według starych, indyjskich miniatur, teraz wyszło niedawno, tośmy to po kolei próbowali. Tata ma niezłe płyty z dobrą muzyką. Jeden koleś miał skręty, mówię ci, było super, lepiej niż u Angoli.

– Ale jak się skończyło?!

– Właśnie. Wyszli o piątej. Jeden zarzygał mi całą łazienkę, na szczęście jedna z tych lasek została i pomogła mi posprzątać i usunąć ślady. Może ojciec się nie kapnie...

– Może... – powiedziała bez przekonania.

Popatrzył na nią badawczo.

– Tylko się nie wygadaj! Jeżeli się kapnie i coś powie, powiem, że przyszedł kolega i wypiliśmy po piwie, a jak nic nie powie – przyznam się do wszystkiego i poddam się karze!

– Karze?! Twój ojciec cię ukarze? Akurat! Jeszcze znowu cię weźmie do galerii i jakiś nowy ciuch ci kupi! – zezłościła się.

Uśmiechnął się i ziewnął głęboko.

– No, to musisz być skonany? – zatroskała się.

– Spałem cały czas w autobusie. Zbudziłem się tylko na chwilę, kiedy jechał tak gładko i zobaczyłem, że jedziemy nową autostradą, której nie znałem. Super! Byłem zachwycony: wspaniała, szeroka, ogrodzona, prawie bez zakrętów, piękne wiadukty dla zwierząt! Czy one naprawdę tak przechodzą?

– Przechodzą. Sama widziałam dwa łosie, jak stały na takim wiadukcie i przyglądały się jadącym na dole samochodom. *Bih me!*

– A Świętego Mikołaja tam nie było? – znowu ziewnął szeroko, już nawet nie zasłaniając ust.

– Wiesz co, idź ty spać. Jutro sobie pogadamy. Swoją pokój masz przygotowany. Śpij dobrze, odeśpij tamtą noc z nawiązką.

Wstał, przeciągnął się bez żenady, podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

W drzwiach jeszcze się odwrócił.

– Babciu, powiedziałaś *bih me*. Co to znaczy?

– Nie pamiętasz? Dziadek tak zawsze mówił. To po ukraińsku. *Bih me* znaczy: Bóg mnie... pewnie w domyśle – skarz! Bóg mnie skarz, jeśli kłamię. Tak mówił twój pradziadek Teodor. Oni byli ze Lwowa...

– To ja bym wolał, żebyśmy pojechali do Lwowa niż do Wilna...

Uśmiechnęła się.

– Pojedziemy i do Lwowa, i do Wilna. Będziemy sobie podróżować!

– A dasz mi poprowadzić?

– Dam ci, ty draniu! Już do łóżka!

Za ten uśmiech, który jej posłał, wychodząc, oddała życie.

Siedziała jeszcze długo, dopijała koniak, patrzyła w dopalające się bierwiona na kominku i czuła wielki zamęt w duszy. Czekwała na małego chłopczyka, na dzieciaka – przyjechał młody mężczyzna. Pije! A te dziewczyny: rozebrały się i co dalej? Czyżby tam doszło do orgii?! I one współżyły z tymi pięcioma chłopakami naraz?! I Jasiak z nimi?! Horrendum, nie, to niemożliwe, on tak koloryzuje, żeby mnie zaszokować! Z drugiej strony jednak, mówił o tym tak naturalnie, jakby to coś zwyczajnego było... No, proszę, a ja nie wierzyłam opowieściom moich kum w Mango o ekscesach w szkołach podstawowych, o poradach w gazetkach harcerskich dla trzynastolatek: „jak się zabezpieczyć przed niechcianą ciążą”. Niechcianą! To znaczy, że niektóre smarkule mogą chcieć zajść! Mamusie, z domku dla lalek! Poczula wielkie zniechęcenie i znużenie zmianami, które następują na świecie. Czy można chcieć jeszcze na nim żyć?

Rozmyślała o wszystkim: o najbliższej przyszłości, o zbliżających się świętach, o domu, w którym będzie pustawo. Będzie brakowało Krzysztofa, ciotki Emilii, która umarła dwa lata temu, lotniarza, który spadł i utonął w jeziorze, Wolfa, który umarł już tyle lat temu, proboszcza, który poszedł na emeryturę i wyjechał do Olsztyna, Takcyniego, który zaginał bez wieści, i Lolki, którą zabił mercedes, i Grafa, którego struli. Nie będzie też już Kotuli, tego awanturnika wadzącego się z całym światem, mazurskiego Don Kichota. Ale ten dom przetrwa! Będzie tu stał jeszcze i sto, i dwieście lat! Spojrzała na piękną, purpurową tankę tybetańską, na obraz potwornego demona szczerzącego zęby, otoczonego wieńcem białych czaszek. Kiedyś im ktoś wyjaśnił sens tego sztandaru, który pięknie oprawili i powiesili nad kominkiem: to duch opiekuńczy domu, odstrasza inne demony, które by chciały się tu wedrzeć, te czaszki to po upiorach, które zabił w obronie wszystkich domowników.

Posłała mu uśmiech, dodając otuchy na służbie, zgarnęła żarzący się jeszcze popiół na kominku, zgasiła światło i poszła do łóżka. Nad ranem śniła, że jest pomocnikiem demona tybetańskiego i robi groźne miny, szczerzy zęby, warczy i szczeka, aby odeprzeć napad złych duchów. To szczekanie ją zbudziło, zawstydzona

nasłuchiwała chwilę, czy nie obudziła tym Jaśka, ale była cisza, na pewno spał jak zabity.

Nastały piękne dni, mimo że był to dopiero początek kwietnia, stało się oczywiste, że nadeszła już wiosna. W czwartek Jasiek spał do południa, wstał pełen energii i z wilczym apetytem pochłonął wielkie śniadanie. Pani Helenka skakała koło niego jak wróbelek, podsuwała coraz to nowe smakołyki. Pod drzwiami, na podwórku siedział Najki i żałośnie wył, ponagłając swego pana, żeby wreszcie wyszedł i ruszył z nim na łąki rzucać kije. Czarny i Heniek siedzieli w bezpiecznej odległości od wariata i można by przysiąc, że wymieniali porozumiewawcze spojrzenia na temat nagłego szaleństwa kolegi. Marianna wróciła z ogrodu, gdzie zauważyła, że kosmate kotki bazi lada chwila wyjdą na powietrze i, kto wie, może nawet zamiauczą? Zastała Jaśka wbijającego się z trudem w ciasnawe już gumiaki.

– Dobrze robisz, bo tam błoto po pas.

– To może założę wodery dziadka?

– Przecież dziadek nie miał żadnych woderów!

– Musiałem go z kimś pomylić – rzucił od niechcienia.

Marianna przyjrzała mu się uważnie: oho, rośnie następny miłośnik absurdalnych żartów. Ale nie dała mu satysfakcji.

– Widocznie – rzuciła obojętnie.

– A, nie, już wiem! Dziadek jeździł na rowerze wodnym, tak, tak, stąd pomyłka...

– powiedział z pokerową twarzą.

Nie wytrzymała i roześmiała się.

– Ty, wariacie! Zbieraj się prędzej, bo ten drugi wariat waruje tu już od czterech godzin!

– Tak, widzę, że błady. Nie dzwoni, nie pisze...

Naciągnął wełnianą czapkę i wyszedł na podwórko. Najki najpierw chciał wskoczyć mu na ramiona, żeby liźnąć go po twarzy, ale Jasiek zrobił zręczny unik, porwał leżący na ziemi patyk i rzucił go najdalej, jak mógł. Wszystkie trzy psy pognały za patykiem, jazgocząc, jakby goniły zająca. Pierwszy dopadł zdobywczy Heniek, bo chociaż jego krótkie nóżki przegrywały z długimi nogami dwóch dużych psów, to wystartował z najlepszej pozycji i z błyskawicznym refleksem. Porwał kij i zaczął co sił uciekać w pola. Najki go dopadł kilkoma długimi susami i złapał za koniec patyka, chcąc mu go wyrwać. Szamotali się chwilę, bo Heniek, bestia, był nieustępliwy i w pewnej chwili suchy patyk pękł na dwie części. To rozstrzygnęło

walkę, obie strony zadowolili się swoją zdobyczą, tylko Czarny, oferma, biegł w koło, bezradnie przyglądając się tamtym.

Marianna dopędziła Jaśka, który poszedł za psami, na wysokości Czekoladowego Drzewa. Stał pod nim z uśmiechem i przyglądał się platformie wbudowanej między dwa grube konary rozłożystej lipy. Pomost, drabinka, poręcz przez te ponad dziesięć lat, od chwili, gdy Jasiek wszedł tam pierwszy raz, były ze dwa razy wymieniane, ale wszystko wyglądało tak samo jak kiedyś.

– Zawsze mi się śmiać chciało, że ty myślisz, że dzieci nie kumają. Te dranie udają, że wierzą w krasnoludki, które zostawiają dla nich czekoladki, bo zawsze ich jakiś starszak uświadomi, że to ty podkładasz...

– Nie, nie rań mnie! Małe dzieci wierzą.

– Do trzeciego roku życia maks.

Doszli do altany i weszli do środka. Stanęli i zamilkli: widok, jak zawsze, powalał. Jasiek patrzył z rozjaśnioną twarzą i milczał. Wypijał oczami ten pejzaż, jak szklankę świeżej, chłodnej wody.

– Chciałem to zobaczyć. W Londynie nieraz bardzo chciałem to zobaczyć...

Marianna milczała, bo gardło miała ściśnięte ze wzruszenia, wbijała z całej siły paznokcie w dłonie, żeby się nie rozbeczeć. To była ta chwila, o której marzyła całą zimą.

Jacek przyjechał w piątek późnym wieczorem. Przyleciał z Oslo wczesnym popołudniem i zaryzykował, że wyruszy od razu, nie bacząc, że jest to najgorszy dzień na wyjazd w całym przedświątecznym tygodniu, samo wydostanie się z Żoliborza na Trasę Toruńską zabrało mu ponad godzinę.

– Ludzie zawsze muszą wszystko zostawiać na ostatnią chwilę – opowiadał zirytowany.

– A ty? – uśmiechnęła się Marianna, ale obserwowała go bacznie, czy nie dostrzeże jakiegoś śladu domniemanej historii z Chinką (*Chinese connection* – pomyślałby na pewno na jej miejscu Jasiek). Mowa ciała Jacka niczego jednak nie zdradziła. Kusiło ją, aby jakoś sprowokować temat, na przykład, niby przypadkowo, naciągnąć sobie palcami kąciki oczu, ale pohamowała się.

– Co, ja? Ja nie mogłem być już krócej w Oslo. Byłem trzy dni, a rozmów miałem na tydzień. Ale udało się.

– Tam jeszcze zima? – zapytała Marianna, podając synowi zimną i postną kolację: śledzia w śmietanie z ziemniakami.

– Nie masz aby naparsteczka żytnióweczki? – zagaił Jacek poufnym tonem.

– Wyobraź sobie, że mam. Twój ojciec mnie wyszkolił, że do śledzia musi być zimna wódka, żeby śledź nie pomyślał, że to psi go jedzą. Słyszałam to mniej więcej sto razy w życiu.

– Psy, a nie psi – sprostował Jasiek.

– O nie: właśnie psi, forma staropolska – pouczył go ojciec i z rozkoszą wychylił kieliszek zmrożonego trunku.

– Wiecie, w Oslo też jadłem śledzie, na ostro, na słodko, ale nic nie pobije naszego śledzia w śmietanie, z cebulą i jabłkiem, nic! Chyba, że twój w oleju z ziołami... – Nalał sobie drugi kieliszek i podniósł go w górę. – Skol!

– A to nie po szwedzku? – zainteresował się Jasiek.

– Możliwe. Bo tam w rozmowach brał udział też jeden Szwed. I w toastach też był aktywny...

– No, no, no! Dosyć tego! – Marianna zabrała flaszkę ze stołu i zaniósła ją do lodówki.

Jacek zrobił porozumiewawczą minę do Jaśka: „Widzisz, takie są kobiety”... Skończył jedzenie, zebrał i zaniósł naczynia do zlewu i poprosił o herbatę. Marianna zrobiła dzbanek dla wszystkich i znalazła jakieś suche ciasteczka. Przenieśli się do kominka. Jacek opowiadał o wrażeniach z Oslo:

– Miasto niezbyt ciekawe, trochę bez wyrazu, architekturą przypomina Sztokholm, ale jest mniej malownicze. Ludzie za to ciekawsi, przystojniejsi, chociaż to uroda chłopska, może raczej morska, dość posępna. Wikingowie! Wciąż tkwią w traumie po tym Breiviku.

– To psychopata, groźny psychol, którego trzeba usunąć jak gangrenę – powiedziała porywczo Marianna.

– Znajdę wam, co o nim piszą w necie – powiedział Jasiek. Postukał chwilę w wyświetlacz swego smartfona i przeczytał: – Według psychiatrów Breivik posiada silne zaburzenia emocjonalne i brak empatii. Jego wypowiedzi są niespójne i wypełnione ideologicznymi neologizmami. Wykazuje również szereg zaburzeń urojeniowych: uważa siebie za regenta Norwegii, pana życia i śmierci, „najdoskonalszego rycerza od czasów drugiej wojny światowej”, wybrańca, który ma za zadanie zbawienie Norwegii. Stwierdził także, że gdyby wyszedł na wolność, kontynuowałby mordowanie „zdrajców”, których dzieli na kategorie A, B i C. Postuluje selektywny rozród Norwegów. Stwierdzono też u niego cechy narcystycznego zaburzenia osobowości.

– A jednak skazano go jako poczytalnego – zauważył Jacek. – Powiedziałem jednemu Norwegowi, fajnemu facetowi tam poznanemu, że nas bardzo zbulwersowało, że sędzia, przed rozprawą, podawał Breivikowi rękę. A on, ten Norweg, był z tego bardzo dumny, twierdził, że to dowód na obiektywizm sądu: dopóki ktoś nie jest skazany, uważa się go za niewinnego.

– Ja to rozumiem i popieram – dołączyła Marianna. – Bardzo mnie zdenerwowała taka pisanina i pokazywanie, w jakim to luksusie go trzymają. U nas wyobrażają sobie, że powinien być przykuty łańcuchem do kamiennej ściany, na wiązce zgniłej słomy, jak hrabia Monte Christo. Tam wszyscy tak siedzą, nie ma innych więzień! Głupi pan redaktor, jak zobaczył stolik i laptop, czyli to, co jest jego środowiskiem życiowym i całym światem potrzebnym do szczęścia, uznał, że to niesprawiedliwe, że więzień też to ma!

– Jedno za to mają bezkonkurencyjne: fiordy. Zawieźli nas trochę poza Oslo, mówię wam: cudowne! Musimy się tam wybrać kiedyś na rejs statkiem.

– Na razie my z Jaśkiem wybieramy się w lecie do Wilna. A później może i do Lwowa...

– Ale, ale, Lwów! Opowiadał mi jeden reżyser, starszy gość, był niedawno we Lwowie, bo stamtąd pochodzi i teraz ktoś robi o nim film, że siedzieli w kawiarni w rynku, pod parasolami. Przy sąsiednim stoliku siedział jakiś elegancki, kulturalny pan z synem i rozmawiali po szwedzku. Ten pan usłyszał, że oni mówią po polsku, zwrócił się do nich najczystszą polszczyzną i zapytał: „Przepraszam panów, czy to miasto, w którym jesteśmy, było kiedyś polskie?”. „Oczywiście, przez sześćset lat!”. „Czyli jesteśmy we Lwowie, tak?”. Popatrzyli na niego jak na wariata: „Tak, to Lwów”. „A, no właśnie, tak podejrzewałem, bo na tablicy przed miastem jakoś inaczej było napisane i teraz spieramy się z synem... A jedziemy do Kijowa...”.

– Tata uwielbia takie idiotyczne opowieści – rzucił Jasiek do babci.

– A ty nie? – spytał Jacek i dał synowi prztyczka w ucho.

Święta udały się nadzwyczajnie. Pogoda cały czas była słoneczna i ciepła, szynka od pana Czerniawskiego świetna, chrzan z jajkiem pyszny, baby pani Helenki cudowne, mazurki Marianny boskie. W lany poniedziałek polali się trochę pro forma, uważając, żeby niczego nie zniszczyć, potem pili pachnącą białą kawę i jedli ciasta. Jacek wydłubywał z babki rodzynki i podtykał je Jaśkowi, jakby ten wciąż był małym chłopcem – ta tradycja trwała u Kalinowskich od pokoleń.

– Wiesz co, babciu, zawsze było mi tu fajnie, ale teraz jeszcze fajniej. Wprawdzie

brak mi dziadka, ale jesteś ty, a ja chyba dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego się tu przenieśliście z miasta. Chciałbym kiedyś też tak mieszkać. Jeszcze nie wiem gdzie, ale podobnie. *Far from the crowd.*

– Znasz tę powieść? – zdziwiła się Marianna. – Thomasa Hardy’ego *Z dala od zgiełku*?

– Pomyliłaś się, to jest piosenka. Śpiewał ją The Coral:

When you cried out loud

It never made a sound

Away from the towns

And far from the crowds

– zanucił cicho, ale melodyjnie.

– Oboje macie rację, tylko życie w innych epokach – podsumował Jacek.

– Mówisz, że jeszcze nie wiesz gdzie, a dlaczego nie tu? Przecież kiedyś to wszystko może być twoje.

– To pięknie, ale co ja bym tu robił?

– Żył.

– Muszę pójść na studia.

– A co chcesz studiować?

– Jeszcze nie wiem.

– Tylko nie do żadnej szkoły filmowej! – wtrącił się Jacek. – Mógłbyś studiować rolnictwo albo hotelarstwo...

– Tu rolnictwo jest nieopłacalne – rzekł Jasek rzeczowo. – Ja bym dokupił tę ziemię obok i urządził tu najpiękniejsze pole golfowe w Europie. Oczywiście z całą infrastrukturą hotelowo-klubową.

– Hola, hola! – zawołała Marianna. – Czy to czasem nie jest stary pomysł dziadka?

– Owszem. Rozmawialiśmy nieraz o tym z dziadkiem, ja nawet poszedłem do czytelnicy w Londynie i poczytałem trochę na ten temat...

– No, to, synu, ja zrobię jakiś światowy hit, zarobimy parę milionów dolarów i zainwestujemy w twój interes. Będziesz tu rządził, a babcia będzie leżała na hamaku i czytała *Z dala od zgiełku*!

Żartowali tak sobie leniwie, jedli i pili, a Marianna patrzyła na swoich ukochanych mężczyzn i w sercu jej śpiewały skowronki. Zasiała w duszy swego

wnuka ziarno, które na pewno kiedyś zakiełkuje i wypuści pędy. On tu kiedyś wróci! Teraz ma po co tu siedzieć – musi trzymać Siedlisko dla niego. Krzysztof na pewno uznałby to za dobrą decyzję.

Jacek musiał wracać już we wtorek, Jasiek został jeszcze tydzień, do końca ferii. W następną niedzielę zawiozła go do Elku i wsadziła do Polskiego Expressu. Czerwony piętrowy bus oddalał się majestatycznie, aż zginął za zakrętem.



Dwudziestego trzeciego kwietnia rano zadzwonił Robert.

– Mamo, wsiadaj w auto i przyjeżdżaj. Kasia urodzi dziś albo jutro.

Od dawna miała wszystko przygotowane, więc tylko chwyciła neser i pobiegła do garażu. Wsiadła, krzyknęła do Józka, żeby powiedział matce, że pojechała do Warszawy, i ruszyła. Jechała jak furiatka, co chwila nakazywała sobie wolniejszą jazdę i rzeczywiście zwalniała, ale po chwili jej stopa sama cisnęła pedał gazu, a volvo rwało do przodu jak rakieta. Na wyjeździe z Łomży stał jak zwykle ten sam radiowóz. Pamiętała o tym, a mimo to przejechała koło nich zbyt szybko. Znajomy policjant, chociaż zajęty pisaniem mandatu jakiemuś nieszczęśnikowi, rozpoznał ją i pokręcił tylko z naganą głową, uśmiechając się pod wąsem. Zadowolona, że się jej upiekło, uspokoiła się i zwolniła trochę. Jechała teraz płynniej i rozsądniej. Dzwoniła co jakiś czas do Roberta, ale on ją uspokajał i prosił, aby nie pędziła. Poród się jeszcze nie zaczął.

Cały czas jej myśli krążyły też przy innym, równie ważnym dla niej temacie: co z Jackiem, co z tą Chinką? Czy to się jakoś rozwija? Nie wytrzymała i przy którymś kontrolnym telefonie zapytała o to Roberta.

– Niewiele nowego wiemy, ale wciąż się z nią spotyka, tyle że nie zaprasza jej do siebie.

– Chodzi do niej?

– Nie, ona mieszka w akademiku, bo jest z Wrocławia.

– Jak to z Wrocławia? Chinka?

– Tak, bo jej mama jest Polką. A więc ona jest pół-Chinką...

– Pół-Chinką?! – wykrzyknęła prawie z ulgą.

– Pół Chinką, pół Polką, urodzoną we Wrocławiu. Czyli można powiedzieć: pół biedy... – zaśmiał się Robert.

Zaśmiała się razem z nim: rzeczywiście odczuła ulgę, to zmieniałoby sprawę. Wychowała się tu, u nas, przy matce, która na pewno przygarnęła jakiegoś chińskiego studenta, zaopiekowała się nim, pomogła mu znaleźć tu pracę, może jest jakimś inżynierem, dobrym fachowcem... Ale bez niej nie dałby sobie rady, a to już świadczy, że trafił na zaradną kobietę, i można domniemywać, że taka jest też jej córka, dobrze przez nią wychowana... A już z pewnością nie gotują tylko chińszczyzny, pewnie nauczyła ją lepić pierogi, może pochodzi z lwowskiej rodziny,

bo we Wrocławiu jest dużo lwowiaków, a przecież Chińczycy też mają pierożki... – rozpedziła się tak w swoim życzeniowym myśleniu, w którym stworzyła całą historię chińsko-polskiej rodziny jakiejś wionlonczelistki, która być może wcale nie istnieje. Bo przecież Robert mówił, że to może być tylko plotka, stworzona przez kawalarzy, koleżków Jacka. Myśląc o tym, milczała chwilę, aż Robert zaczął wołać:

– Halo, halo, słyszysz mnie?!

– Coś tu słabo z zasięgiem... – powiedziała i rozłączyła się. Chciała w spokoju przeanalizować wszystkie nowe informacje: chyba dziewczyna istnieje, jacyś kawalarze nie wpadliby na pomysł, że jest pół-Polką, raczej by poszli w fantazjowaniu w inną stronę, zrobili z niej na przykład Mongołkę lub Buriatkę o pomarszczonej twarzy. Skoro ma matkę Polkę, a ojca Chińczyka, może być bardzo ładna, może mieć tylko lekkie cechy chińskiej rasy, na przykład nieco skośne oczy – Marianna spojrzała w lusterko nad kierownicą, ustawiła je, żeby lepiej widzieć, lewą tylko ręką prowadziła samochód, palcem prawej podciągnęła sobie trochę kącik oka, aby wyglądało jak skośne. Kątem drugiego oka zobaczyła, że jedzie tuż za jakimś małym volkswagenem, i z przerażeniem wyhamowała. Zatrzasnęła szybko lusterko na osłonie przeciwsłonecznej i zobaczyła napis: *Vanity mirror*. Rzeczywiście – vanity, próżność. Obiecała sobie skupić się na jeździe, a jeśli gdzieś myśl jej biegła, to znowu tam, gdzie było to teraz najważniejsze, do rodzącej Kasi. Niemal usłyszała, jak Krzysztof na głos mówi:

– Tak, teraz myśl tylko o tym!

Wjechała do Warszawy około czwartej, w zenicie szczytu i korków. Ze złością przedierała się przez jakieś koszarne objazdy, trąbiła wściekle, jak inni, rysowała sobie kółka palcem na czole pod adresem tych nieudaczników w głupich, blaszanych pudłach, którzy bezmyślnie blokowali przejazdy, aż w końcu dotarła na Mokotów. Kasia leżała w prywatnej klinice, rzecz jasna w separacie, urządzonej jak pokój w dobrym hotelu. Była blada, ale powitała matkę uśmiechem. Robert siedział przy niej na krześle i trzymał ją za rękę.

Weszła pielęgniarka i zapytała, czy Marianna życzy sobie kawy, czy herbaty. Wszedł też doktor, sympatyczny, młody, ale siwawy już mężczyzna, zresztą kolega Roberta. Przedstawił się szarmancko i powiedział, że poród może nastąpić w nocy, dlatego dla jej wygody przygotowali pokój i już może tam się rozgościć. Marianna posiedziała jeszcze trochę przy Kasi, porozmawiała z Robertem i nagle poczuła się bardzo zmęczona i senna. Powiedziała, że zdrzemnie się pół godzinki, i pielęgniarka zaprowadziła ją do jej pokoju. Okazał się bardzo miły i zaciszny. Lampka

z pomarańczowym abażurem na stoliku koło sofy zachęcała do odpoczynku. Marianna zdjęła tylko buty i wyciągnęła się na sofie. Nakryła się miękkim wielbłądzim pledem, zgasila lampkę i niemal natychmiast usnęła.

Zbudziła się w ciemnościach i w kompletnej ciszy. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, ale przypomniała sobie. Spojrzała na zegarek: fosforyzujące wskazówki pokazywały godzinę 5.50. Czyżby spała tylko kilkanaście minut, bo przecież przyjechała tu przed piątą? Nagle zrozumiała: spała dwanaście godzin! Wymacała kontakt i zapaliła lampkę.

Poszła do łazienki i cichutko się wysusiała, przemyła też twarz zimną wodą i osuszyła miłym w dotyku ręcznikiem. Wyszła z pokoju i cicho ruszyła korytarzem. Pokój Kasi był otwarty, kołdra na łóżku odrzucona, jeden pantofel pod łóżkiem, marynarka Roberta zawieszona na oparciu krzesła i cisza, ani żywej duszy. Wróciła na korytarz, zdjęła buty, żeby nie stukać obcasami, i w pończochach, bezszelestnie ruszyła przed siebie w niebieskiej poświacie nocnego oświetlenia. Nagle serce skoczyło jej do gardła: tak samo przecież szła w pończochach korytarzem szpitala wojskowego w Elku, kiedy aparatura podłączona do Krzysztofa umilkła. „Nie, nie, nie, nie!” – zaczęła krzyczeć w duchu i rzuciła się biegiem. Dopadła windy. Nie wiadomo, skąd wiedziała, że sala porodowa jest na czwartym piętrze. Wydawało się jej, że winda się wlecze, a trwało to kilkanaście sekund. W okienku wyświetliło się IV, drzwi otworzyły się bezszelestnie. Wiedziona instynktem skręciła w prawo i poszła szybko korytarzem. Serce kołatało jej jak szalone. Doszła do końca i znów skręciła w prawo, wtedy zobaczyła Roberta i zatrzymała się. Siedział na krześle, z głową opuszczoną na pierś, nie usłyszał jej. Nagle otworzyły się z hałasem drzwi, wyszła pielęgniarka z zawiniątkiem w rękach, a za nią uśmiechnięty lekarz.

– Masz syna, frajerze! – krzyknął głośno.

Robert zerwał się z krzesła, jakby go ktoś dźgnął w siedzenie, podniósł wojowniczo ramię, zacisnął pięść i wzniósł trzykrotny, kibicowski okrzyk:

– *Yes! Yes! Yes!*

Marianna pobiegła jak szalona i dopadła pielęgniarki. Ta odwróciła do niej zawiniątko i odsunęła pieluszkę: wyłoniła się okrągła, smągła buzia i czarne włoski na główce. Niemowlę otworzyło oczy i Marianna poczuła, jak przez jej plecy przebiega dreszcz grozy i zarazem wielkiego szczęścia: patrzyły na nią oczy Krzysztofa, lekko rozbawione, trochę ironiczne, bardzo mądre i bezgranicznie dobre. Patrzyły uważnie, dobitnie, jakby chciały, aby zrozumiała, co jej chce powiedzieć, jaki przekaz przesłał jej tu, przez swego nowego wnuka.

– Wykapany dziadek Krzysztof! – powiedział z zachwytem Robert i małym palcem dotknął delikatnie noska syna.

– No, już! Oddajcie dziecko matce – zarządził stanowczo lekarz.

Pielęgniarka wróciła do sali. Przez zamykające się za nią drzwi Kasia posłała im słaby, ale szczęśliwy uśmiech.

– Chodź, pójdziemy zająrać – zaproponował doktor.

Wyszli na ciasny balkonik i dygocząc w chłodzie poranka, chciwie palili na zmianę jedyne go papierosa znalezione go w kieszeni fartucha. Marianna stała i patrzyła na nich bezmyślnie przez szybę, nic nie rozumiała, co się dookoła dzieje, ale w duszy grały jej wszystkie najpiękniejsze oratoria świata.

Mały Eryk Krzysztof urodził się 24 kwietnia, w dzień urodzin Marianny, zatem jak ona pod znakiem Byka. Jej urodziny obchodzono w pośpiechu, bo trzeba było się zająć przygotowaniami do odebrania Kasi z kliniki, ale Jacek przyniósł wspaniałą tort, taktownie, bez żadnych świeczek z numerkami. Rozkroili go wieczorem w domu Roberta i jedli bez umiaru, popijając szampanem.

Marianna została jeszcze tylko dwa dni, bo w tym roku pierwszomajowy weekend był wyjątkowo długi i trzeba było otworzyć pensjonat w ostatnich dniach kwietnia. Przez Łomżę przejechała wolniutko i wesoło pomachała znajomemu policjantowi, a on zasalutował jej grzecznie.

KONIEC

Warszawa, wiosna – lato 2012 roku

Copyright © by Janusz Majewski 2012
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2012

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Irma Iwaszko, Jolanta Urban
Projekt okładki, ilustracje: Anna Pol

Wydawca dziękuje Panom Marcinowi Makowskiemu i Włodzimierzowi Niderhausowi za udostępnienie zdjęcia do publikacji na okładce książki

ISBN 978-83-63656-67-6

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa
tel./fax 22 839 91 27, 48 696 451 127
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl
Warszawa 2012

Plik opracował i przygotował Woblink


woblink.com